

**Douglas Adams**

**W zasadzie niegroźna**

**Mostly Harmless**

**Tłumaczył: Paweł Wieczorek**

**Wydanie oryginalne: 1992**

**Wydanie polskie: 1996**

**TMN**

*Dla Rona*  
*oraz*

*z serdecznymi podziękowaniami dla  
Sue Freestone i Michaela Bywatera  
za wsparcie, pomoc i konstruktywne zwymyślanie*

Wszystko, co się wydarza, wydarza się.

Wszystko, co wydarzając się, powoduje wydarzenie się czegoś innego,  
powoduje wydarzenie się czegoś innego.

Wszystko, co wydarzając się, powoduje ponowne wydarzenie się samego siebie, wydarza się ponownie.

Nie zawsze jednak odbywa się to w kolejności chronologicznej.

# Rozdział 1

Historia Galaktyki stała się ostatnio nieco pogmatwana z kilku powodów: po pierwsze nieco pogmatwało się w głowach tym, którzy próbują ją śledzić, po drugie doszło do kilku bardzo zagmatwanych wydarzeń.

Kolejny problem wiąże się z prędkością światła i perturbacjami, pojawiającymi się przy próbach jej przekroczenia. Oczywiście, nie da się tego dokonać. Nic nie porusza się szybciej od światła, może z wyjątkiem złych wieści, ale one kierują się własnymi, szczególnymi prawami. Zwisacze Na Zawiasach z Arkotoofl Minor próbowali, co prawda, konstruować statki kosmiczne napędzane złymi wieściami, nie działały one jednak najlepiej, poza tym gdziekolwiek się zjawiały, były tak niechętnie widziane, że schodzenie na ląd traciło sens.

Tak więc, ogólnie biorąc, mieszkańcy Galaktyki zaczęli ciężać ku wegetowaniu w swoich własnych małych strefach zagmatwań, a historia Galaktyki przez dłuższy czas przebiegała głównie kosmologicznie.

Nie oznacza to, że się nie starali. Wysyłali do odległych regionów wszechświata flotylle statków kosmicznych, by prowadziły tam wojny lub interesy; niestety, potrzebowały tysiącleci na dotarcie dokądkolwiek. Nim więc zdążyły dolecieć na miejsce, odkrywano nowe rodzaje podróży, wykorzystujące do pokonania prędkości światła hiperprzestrzeń; w rezultacie więc bitwy, na które posyłano wolniejsze od światła statki, kończyły się wieki przed ich przybyciem.

Nie zmniejszało to, oczywiście, zapału załóg do staczania bitw. Były doskonale wyszkolone, gotowe do walki, spały parę tysięcy lat, przylatywały z daleka, by wykonać dobrą robotę, i – na Zarkwona – zamierzały to zrobić.

Wtedy właśnie zaczęła się mocno gmatwać historia Galaktyki: czegoż bowiem oczekiwać, jeśli wieki po zlikwidowaniu sporów, wymagających zbrojnych rozstrzygnięć, od nowa wybuchały z ich powodu bitwy. Gmatwanina ta jest jednak niczym w porównaniu z tą, z którą musieli sobie poradzić naukowcy po odkryciu podróży w czasie. W ich wyniku bitwy zaczęły wybuchać setki lat przed odkryciem sporów, będących ich przyczyną. Kiedy w końcu pojawił się napęd nieskończonego nieprawdopodobieństwa i całe planety zaczęły zamieniać się nagle i nieoczekiwanie w ciasto bananowe, wspaniały wydział historii Uniwersytetu



Maximegalońskiego ostatecznie się poddał, rozwiązał i przekazał swe budynki dynamicznie rozrastającemu się połączonemu wydziałowi teologii i piłki wodnej, który miał na nie chętkę od wielu już lat.

Nie ma w tym nic złego, oznacza jednak niemal na pewno, że już nigdy nikt się nie dowie, skąd – na przykład – pochodzą Grebulończycy ani czego chcieli. Szkoda, ponieważ gdyby ktokolwiek cokolwiek o nich wiedział, istnieje spore prawdopodobieństwo, że udałoby się uniknąć straszliwej katastrofy. Przynajmniej musiałyby sobie wymyślić inny sposób, by nastąpić.

Pik, brummm.

Olbrzymi, szary grebuloński statek zwiadowczy poruszał się bezgłośnie w czarnej pustce. Rozwijał niewiarygodną, zatykającą dech w piersiach prędkość, ale na tle miliardów migoczących dalekich gwiazd wyglądał jak nieruchomy. Był mikroskopijną ciemną plamką, zamarłą przed nieskończonym bezmiarem błyszczących jaskrawo ziarenek.

Na pokładzie statku od tysiącleci wszystko było takie samo – ciemne i ciche.

Pik, brummm.

No – prawie wszystko.

Pik, pik, brummm.

Pik, brummm, pik, brummm, pik, brummm.

Pik, pik, pik, pik, pik, brummm.

Hmmm.

Głęboko w cybermózgu statku, znajdującym się w stanie półśpiączki, system kontrolny najniższego rzędu obudził system kontrolny nieco wyższego rzędu, informując go o tym, że odpowiedzią na jego pikanie jest jedynie brumanie.

System kontrolny wyższego rzędu zapytał, jaka powinna być poprawna odpowiedź, na co system kontrolny najniższego rzędu odparł, że nie pamięta dokładnie, wydaje mu się jednak, że powinno to być coś bardziej zbliżonego do wyniosłego, zadowolonego westchnienia. Nie ma pojęcia, co oznacza brumanie. Pik, brummm, pik, brummm – to wszystko, co uzyskał.

Program kontrolny wyższego rzędu przemyślał zagadnienie i doszedł do wniosku, że sprawa mu się nie podoba. Zapytał system kontrolny najniższego rzędu, co zatem kontroluje. System najniższego rzędu odparł, iż niestety tego też nie pamięta; wydaje mu się jednak, że coś, co mniej więcej raz na dziesięć lat ma pikać i wzdychać i co działało dotychczas bez zarzutu. Próbował skonsultować spis błędów, nie mógł go jednak odnaleźć, dlatego zaalarmował system kontrolny wyższego rzędu.

System kontrolny wyższego rzędu przeszedł do konsultacji swojego spisu błędów, by w ten sposób ustalić, co ma kontrolować system najniższego rzędu.

Nie mógł znaleźć spisu błędów.

Dziwne.

Sprawdził ponownie. Uzyskał jedynie komunikat o błędzie. Spróbował sprawdzić komunikat o błędzie w spisie komunikatów o błędzie, ale jego też nie mógł znaleźć. Pozwolił minąć kilku nanosekundom, sprawdzając wszystko jeszcze raz. Następnie obudził kontrolę działania sektora.

Kontrola działania sektora natrafiła natychmiast na trudności i powiadomiła swego koordynatora kontroli, który też natychmiast natrafił na trudności. W ciągu milionowych części sekundy w całym statku, migocząc, odżyły obwody, niektóre uśpione od lat, inne od stuleci. Gdzieś wydarzyło się coś okropnego, żaden program kontrolny nie był jednak w stanie ustalić, co. Na każdym poziomie brakowało istotnych instrukcji; brakowało też instrukcji w razie stwierdzenia, że brakuje istotnych instrukcji.

Po ścieżkach logicznych falami płynęły moduły programowe – jednostki czynne – które grupowały się, naradzały i przegrupowywały się. Błyskawicznie stwierdziły, że wszystkie jednostki pamięci statku, zbiegające się w module centralnym, są do niczego. W żaden sposób nie można było ustalić, co się wydarzyło. Nawet centralny moduł statku wyglądał na uszkodzony.

Dzięki temu rozwiązanie trudności było bardzo proste: należało wymienić moduł centralny. Istniał drugi egzemplarz, rezerwa, idealna kopia. Wymiana polegała na zwyczajnym włożeniu nowego na miejsce starego, ze względów bezpieczeństwa nie mogło bowiem istnieć żadne elektroniczne połączenie między oryginałem a modułem rezerwowym. Po wymianie modułu centralnego nowy przejmie kontrolę nad rekonstrukcją systemu i wszystko będzie dobrze.

Robotom wydano polecenie wydobycia rezerwowego modułu centralnego z masywnie opancerzonej komory, gdzie był przechowywany pod ich ochroną, i zainstalowania w komorze logicznej statku.

Wymagało to długotrwałej wymiany haseł i kodów, roboty musiały bowiem sprawdzić, czy wydawane przez jednostki czynne instrukcje są prawdziwe. Wreszcie roboty uznały, że wszystko jest w porządku. Wyjęły moduł centralny z osłony, w której był przechowywany, wyniosły z komory magazynowej, wypadły ze statku i wirując, poleciały w próżnię kosmosu.

Naprowadziło to na trop tego, co nie było w porządku.

Dalsze badania szybko wykazały, co się wydarzyło. W powłoce statku meteor wybił wielką dziurę. Nie zostało to zarejestrowane przez statek, ponieważ uderzenie meteora wyłączyło właśnie ten element urządzeń sterujących statkiem, który miał rejestrować uderzenia statku przez meteory.

Najpierw należało spróbować uszczelnić wyrwę. Okazało się to niemożliwe, ponieważ czujniki statku nie stwierdzały dziury, a systemy kontrolne, mające stwierdzić, że czujniki źle działają, same źle działały i upierały się, że czujniki są w porządku. Statek był w stanie

wydedukować, że dziura istnieje, jedynie na podstawie faktu, że wypadły przez nią roboty, zabierając z sobą zastępczy mózg, dzięki któremu statek mógłby stwierdzić istnienie dziury.

Statek spróbował wszystko spokojnie przemyśleć, poniósł porażkę, postanowił więc na chwilę przełączyć wszystko na zero. Ponieważ wszystko przełączył na zero, nie był, oczywiście, w stanie tego zauważyć. Był nieco zaskoczony widokiem wirujących wokół gwiazd. Kiedy gwiazdy zakończyły trzecią rundę, statek pojął nareszcie, że widocznie przełączył wszystko na zero i że nadszedł czas podjęcia poważnych decyzji.

Odprężył się.

Dotarło do niego, że nie podjął jeszcze żadnej poważnej decyzji i wpadł w panikę. Ponownie wszystko przełączył na chwilę na zero. Kiedy doszedł do równowagi, w strefie, w której musiała się znajdować niezauważalna dziura, zamknął wszystkie przegrody.

Statek myślał z niepokojem, że wszystko wskazuje na to, iż nie znalazł się jeszcze w miejscu przeznaczenia; ponieważ jednak nadal nie miał zielonego pojęcia, jakie jest jego przeznaczenie ani jak do niego dotrzeć, uznał, że kontynuowanie podróży nie ma najmniejszego sensu. Postanowił poradzić się mikroskopijnych resztek rozkazów, które udało mu się zrekonstruować ze szczątków centralnego modułu.

”Twoja !!!!!!!!!!!!!!! roczna misja polega na !!!!!!!!!!!!!!!!, !!!!!, !!!!!!!!!!!!!!!!, wylądować !!!!!!!!!!!!!!!! w bezpiecznej odległości !!!!!!!!!!!! kontrolować. !!!!!!!!!!!!!!!!...”

Reszta była kompletnym bełkotem.

Nim ostatecznie się wyłączy, statek będzie musiał przekazać instrukcje – nawet w tym stanie – prostym systemom wspomagającym. Poza tym będzie musiał dehibernować załogę.

Powstanie w ten sposób kolejny problem: w czasie hibernacji świadomość członków załogi, ich wspomnienia, tożsamość i wiedza, po które wyruszyli w drogę, dla bezpieczeństwa zostały przeniesione do centralnego modułu statku. Członkowie załogi nie będą więc mieli najmniejszego pojęcia, kim są, ani dlaczego tu się znajdują. Świetnie.

Nim statek ostatecznie się wyłączył, zdążył jeszcze zauważyć, że jego silniki też zamierzają wyzionąć ducha.

Statek i jego odhibernowana, zdeorientowana załoga dryfowali dalej, dogładani przez automatyczne systemy wspomagające, zainteresowane jedynie lądowaniem wszędzie tam, gdzie tylko się da wylądować, i obserwowaniem wszystkiego, co tylko się da zaobserwować.

Jeśli chodzi o wybór miejsca do lądowania, systemy nie poradziły sobie najlepiej. Planeta, którą odkryły, była beznadziejnie zimna, nie zamieszkana i tak boleśnie oddalona od mającego ją ogrzewać Słońca, że stworzenie warunków do zamieszkania (przynajmniej wystarczających, nadających się do tego obszarów) wymagało użycia wszystkich znajdujących się na statku środowiskomatów i systemów przeżyciopomocnych. Bliżej Słońca znajdowały się lepsze planety, ale ponieważ strategomat statku został najwyraźniej nastawiony na czatujący tryb pracy, wybrał planetę najbardziej odległą i najmniej rzucającą się w oczy; od wybranego trybu pracy byłby go w stanie odwieść jedynie główny strateg

statku. Ponieważ jednak wszyscy członkowie załogi postradali zmysły, nikt nie wiedział, kto jest głównym strategiem statku; a nawet gdyby udało się go zidentyfikować, nie wiadomo by, jak ma działać, by odwieść od czegokolwiek strategomat statku.

Jeśli jednak chodzi o wybór miejsca do obserwowania, znaleziono złotą żyłę.

## Rozdział 2

Jedną z rzeczy, świadczących o wyjątkowości życia, są miejsca, jakie potrafi sobą wypełnić. Wszędzie, gdzie jest się czego uchwycić – czy będą to odurzające morza Santraginusa Pięć, gdzie ryby wydają się nigdy nie zwracać uwagi, w jakim płyną kierunku, ogniste burze Frastry, w których życie zaczyna się ponoć od czterdziestu tysięcy stopni, czy końcowy odcinek szczurzego jelita, gdzie beztrąsko myszkuje – życie zawsze znajdzie sposób, by się gdzieś zagnieździć.

Choć nie wiadomo w jaki sposób, życie jest w stanie utrzymać się nawet w Nowym Jorku. W zimie temperatura spada tam wyraźnie poniżej dozwolonego minimum, a raczej spadałaby, gdyby ktoś miał dość zdrowego rozsądku, by takie minimum ustalić. Kiedy ostatnio zestawiano listę charakterystycznych cech nowojorczyków, zdrowy rozsądek znalazł się na siedemdziesiątym dziewiątym miejscu.

W lecie panuje potworny upał. Jest to miłe dla istot rozkwitających w cieple, na przykład Frastrańczyków, którzy za niezwykle przyjemną uważają temperaturę od czterdziestu tysięcy do czterdziestu tysięcy czterech stopni, niezbyt jednak miłe dla tych gatunków zwierząt, które w jednym punkcie orbitowania ojczystej planety wokół Słońca muszą się owijać skórą innych zwierząt, a pół obrotu dalej zauważają pęcherze na swojej skórze.

Wybitnie przeceniana jest wiosna. Mnóstwo nowojorczyków zachwyca się rozkoszami wiosny, gdyby jednak mieli choć cień pojęcia, czym naprawdę mogą być rozkosze wiosny, mieliby do wyboru przynajmniej pięć tysięcy dziewięćset osiemdziesiąt trzy miejsca, gdzie wiosnę można spędzić przyjemniej niż w Nowym Jorku, przy czym chodzi tu wyłącznie o miejscowości na tej samej długości geograficznej.

Najgorsza jest jednak jesień. Istnieje niewiele rzeczy gorszych od jesieni w Nowym Jorku. Kilka rzeczy żyjących w końcowym odcinku szczurzego jelita byłoby innego zdania, ale ponieważ większość tego, co żyje w końcowym odcinku szczurzego jelita, jest wyjątkowo obrzydliwa, nie można i nie powinno się brać ich zdania pod uwagę. Kiedy w Nowym Jorku nadchodzi jesień, w powietrzu zaczyna unosić się odorek, jakby niedaleko pieczono kozła; jeśli bardzo zależy ci na oddychaniu, powinieneś wtedy natychmiast otworzyć pierwsze lepsze okno i wetknąć w nie głowę.

Tricia McMillan kochała Nowy Jork. Powtarzała to bez ustanku. Upper West Side. *Yeah*. Mid Town. *Hey*. Ekstrasklepy. SoHo. East Village. Ciuchy. Książki. Sushi. Włosy. Delikatesy. *Yo*.

Filmy. Też: *yo*. Tricia zdążyła właśnie obejrzeć najnowszy film Woody Allena, przynudzający o strachu przed dostaniem nerwicy na Manhattanie. Nakręcił jeszcze dwa, może trzy filmy na ten sam temat i Tricia zastanawiała się, czy rozpatrywał kiedyś możliwość wyprowadzenia się; słyszała jednak, że Allen wcale nie bierze tego pod uwagę. Będą więc kolejne filmy.

Tricia kochała Nowy Jork, ponieważ miłość do Nowego Jorku jest dobra dla kariery. Nowy Jork jest dobrym miejscem na zakupy, dobrym miejscem dla smakoszy, niedobrym miejscem do jazdy taksówkami i chodzenia po chodnikach, ale jeśli chodzi o robienie kariery, jest jednym z najlepszych miejsc. Tricia prowadziła w telewizji programy informacyjne; a Nowy Jork jest miastem, w którym prowadzi się w telewizji najwięcej programów informacyjnych na świecie. Dotychczas prowadzone przez Tricię programy informacyjne ograniczały się do telewizji angielskiej: prowadziła wiadomości lokalne, telewizję śniadaniową, wiadomości popołudniowe. Gdyby nie brzmiało to dziwnie, można by powiedzieć, że była znakomicie się prowadzącą prowadzącą, ale... no cóż, to telewizja, więc niech tam: była naprawdę znakomicie się prowadzącą prowadzącą. Miała wszystko, czego potrzeba: wspaniałe włosy, wielką umiejętność strategicznie korzystnego nakładania błyszcząca do ust, niezbędny do zrozumienia świata intelekt oraz skrywane głęboko odrętwienie, co oznaczało, że na niczym jej nie zależało. Każdemu zdarza się w życiu wielka okazja i jeśli straci właśnie tę, na której mu zależało, wszystko okazuje się nagle wstrząsająco proste.

Tricia na razie straciła w życiu jedną okazję. Do dziś czasami o tym myśli, ale ostatnio nie wywołuje to u niej dreszczy. Wynika to chyba stąd, że odrętwiała w niej odpowiadająca za to część.

Stacja NBS szukała nowej prowadzącej program informacyjny. Mo Minetti wycofywała się z ogólnokrajowego programu telewizji śniadaniowej, ponieważ była w ciąży. Zaproponowano jej zawrotną sumę za urodzenie dziecka w trakcie programu, ale nieoczekiwanie odmówiła, tłumacząc się prywatnością i względami dobrego gustu. Sfora adwokatów NBS rzuciła się do analizy jej kontraktu, by zbadać, czy powody te są uzasadnione, w końcu jednak – choć niechętnie – pozwolono jej odejść. Adwokatów zalewała krew, kiedy bowiem używa się sformułowania, że „pozwolono komuś odejść, choć niechętnie”, sytuacja wygląda zwykle zupełnie inaczej.

Zaczęto przebąkiwać, że być może, jedynie „być może” dobry byłby angielski akcent.

Oczywiście, włosy, kolor skóry, koronki i mostki musiałyby spełniać standardy amerykańskich stacji telewizyjnych, ale słyszano już tyle angielskich akcentów dziękujących matkom przy rozdawaniu Oscarów, tyle angielskich akcentów śpiewało na Broadwayu, do

Masterpiece Theatre waliły tłumy, by posłuchać angielskich akcentów w perukach. Angielskie akcenty opowiadały dowcipy u Davida Lettermana i Jaya Leno. Dowcipów nikt nie rozumiał, ale akcent wszystkim się bardzo podobał, nadszedł więc już może czas, choć tylko „być może”. Brytyjski akcent w amerykańskiej telewizji śniadaniowej. Nie do wiary...

Z tego właśnie powodu Tricia przybyła do Ameryki. Z tego właśnie powodu miłość do Nowego Jorku mogła się okazać dobra dla jej kariery.

Oczywiście nie był to powód oficjalny. Zatrudniająca Tricię angielska stacja telewizyjna nie wydałaby pieniędzy na bilet i hotel, by mogła szukać pracy na Manhattanie. Ponieważ chciała zdobyć pracę z pensją mniej więcej dziesięć razy wyższą niż aktualna gaża, jej szefowie mogliby dojść do wniosku, że sama ma pokryć koszty; na szczęście znalazła dobry pretekst, otoczyła się murem milczenia na temat szczegółów i stacja zapłaciła, ile trzeba. Oczywiście, jedynie za bilet w biznes-klasie, ale jej twarz była znana i kilkoma uśmiechami załatwiła sobie przeniesienie na lepsze miejsce. Kolejne dobrze przemyślane ruchy pomogły jej zdobyć bardzo ładny pokój w hotelu „Brentwood”, gdzie obecnie przebywała i zastanawiała się, co dalej.

To, co ludzie szemrzą, to jedno, a nawiązanie kontaktów to co innego. Miała kilka numerów telefonów, parę nazwisk, wszyscy ją jednak tylko pocieszająco klepali po plecach, szybko cofnęła się do punktu wyjścia. Pokazała się tu i tam, pozostawiała wiadomości, ale na razie nikt jeszcze nie zadzwonił. To, po co przyjechała oficjalnie, załatwiła w kilka godzin, to, o czym marzyła, było w dalszym ciągu migoczącą na nieosiągalnym horyzoncie mrzonką.

Cholera jasna.

By wrócić z kina do hotelu, wzięła taksówkę. Taksówkarz nie mógł podjechać do krawężnika, ponieważ ulicę blokowała monstrualnie długa limuzyna. Tricia przecisnęła się obok i weszła z przesyconej zapachem pieczonego kozła ulicy do przyjemnie chłodnego holu. Bluzka z cienkiej bawełny kleiła jej się do pleców jak sadza. Włosy oblepiały głowę jak kupiona w wesołym miasteczku wata cukrowa. Zapytała w recepcji, czy są dla niej jakieś wiadomości, choć niczego nie oczekiwała. Była wiadomość.

Oj, to...

Świetnie.

A więc sposób zadziałał. Poszła do kina po to, by zmusić telefon do zadzwonienia. Nie mogła dłużej znieść siedzenia w pokoju i czekania.

Nie mogła się zdecydować. Otworzyć kopertę od razu? Odczuwała swędzenie, marzyła o tym, by się rozebrać i rzucić na łóżko. Przed wyjściem nastawiła klimatyzację na najniższą temperaturę i maksimum przewiewu. O niczym tak nie marzyła jak o gęsiej skórcie. Wziąć gorący prysznic, następnie zimny, położyć się na łóżku na ręczniku i czekać, aż klimatyzacja wysuszy skórę... Wtedy przeczytać wiadomość. Może dostać raz jeszcze gęsiej skórki? Miała ochotę na jeszcze wiele rzeczy...

Nie. Tym, czego pragnęła najbardziej na świecie, była praca w amerykańskiej telewizji za pensję dziesięciokrotnie większą, niż ma teraz. Najbardziej na świecie. Na świecie. Tym, czego pragnęła ponad wszystko, było przestać robić reportaże na żywo.

Usiadła w stojącym pod palmą fotelu i otworzyła kopertę.

PROSZĘ ZADZWONIĆ. NIESZCZĘŚLIWA. Pod spodem był numer i nazwisko. GAIL ANDREWS.

Gail Andrews.

Nie było to nazwisko, którego się spodziewała. Nie umiała go w żaden sposób skojarzyć. Znała je, ale nie mogła sobie przypomnieć, skąd. Sekretarka Andy'ego Martina? Asystentka Hilarego Bassa? Martin i Bass byli najważniejszymi ludźmi z NBS, do których dzwoniła, a raczej próbowała się dodzwonić. Co miało znaczyć „Nieszczęśliwa”?

NIESZCZĘŚLIWA?

Była kompletnie oszołomiona. Czyżby Woody Allen próbował nawiązać z nią kontakt pod fałszywym nazwiskiem? Kierunkowy 212, czyli ktoś z Nowego Jorku. Ktoś nieszczęśliwy. Trochę to zawężyło krąg.

Podeszła do recepcji.

– Mam pewien problem z wiadomością, którą mi pan właśnie przekazał – zaczęła. – Próbowała dodzwonić się do mnie kobieta, której nie znam i przekazała, że nie jest szczęśliwa.

Recepcjonista wpatrywał się w kartkę z marsową miną.

– Zna pani tę osobę?

– Nie.

– Hmm – mruknął recepcjonista. – Wygląda na to, że jest z jakiegoś powodu nieszczęśliwa.

– Zgadza się.

– To na dole wygląda na nazwisko. Gail Andrews. Zna pani kogoś, kto się tak nazywa?

– Nie.

– Domyśla się pani, dlaczego mogłaby być nieszczęśliwa?

– Nie.

– Dzwoniła pani pod podany numer? Jest tu numer.

– Nie. Właśnie przekazał mi pan wiadomość i chcę dowiedzieć się czegoś więcej, nim zadzwonię. Czy mogłabym porozmawiać z osobą, która przyjmowała informację?

– Hmm – zamruczał recepcjonista, dokładnie oglądając kartkę. – O ile wiem, nie pracuje u nas osoba o nazwisku Gail Andrews.

– Zdaję sobie z tego sprawę, chciałam tylko...

– Ja jestem Gail Andrews. – Tricia usłyszała za sobą głos i odwróciła się.

– Słucham?

– Nazywam się Gail Andrews. Robiła pani dziś rano ze mną wywiad.



– Och! Oczywiście! – Tricia była nieco zażenowana.

– Wiadomość zostawiłam kilka godzin temu, a ponieważ nie zgłaszała się pani, przyjechałam osobiście. Bardzo chciałabym z panią porozmawiać.

– No tak. Oczywiście. Jak najbardziej. – Tricia próbowała zorientować się w sytuacji.

– Niestety, nie mogę pani pomóc – wtrącił recepcjonista; bystrość nie była chyba jego najmocniejszą stroną. – Zadzwoń w pani imieniu pod podany numer?

– Nie, to już zbyteczne, dziękuję. Poradzę sobie sama.

– Może zadzwonić do pokoju, którego numer jest tu podany? Może to w czymś pomoże?  
– ciągnął recepcjonista, znów wpatrując się w kartkę.

– Nie, dziękuję, to naprawdę niekonieczne – przerwała Tricia. – To mój pokój. Wiadomość była dla mnie. Chyba już się wszystko wyjaśniło.

– To świetnie. Życzę miłego dnia – zakończył recepcjonista.

Tricii nie zależało na miłym dniu. Była zajęta. Tak samo nie zależało jej na rozmowie z Gail Andrews. Nie miała zwyczaju bratać się z niewinnymi owieczkami. Mianem „niewinnych owieczek” koledzy Tricii określali obiekty, z którymi robiła wywiady; zwykle, gdy widzieli „owieczkę” idącą niewinnie przez studio, żegnali się znakiem krzyża – zwłaszcza jeśli Tricia uśmiechała się dobrotliwie i szczyrzyła ząbki.

Odwróciła się do Gail Andrews, uśmiechnęła chłodno i zaczęła myśleć, jak wybrnąć z sytuacji.

Gail Andrews była znakomicie wypielegnowaną kobietą po czterdziestce. Jej ubranie należało do klasy „drogie i w dobrym guście”. Była astrologiem, sławną i – jeśli wierzyć krążącym plotkom – wpływową kobietą. Od niej zależało wiele decyzji świętej pamięci prezydenta Hudsona – począwszy od wyboru smaku jogurtu w zależności od dnia tygodnia, a skończywszy na bombardowaniu Damaszku.

Tricia ostro ją zaatakowała w czasie wywiadu. Nie chodziło jej o plotki o prezydencie, gdyż obecnie były to niegdysiejsze śniegi, zwłaszcza że panna Andrews nieraz zaprzeczała pomówieniom, jakoby doradzanie prezydentowi dotyczyło dziedzin innych niż rozwój duchowy, sprawy osobiste i dieta. Widocznie bombardowanie Damaszku do nich należało. (Prasa bulwarowa huczała wtedy: DAMASZEK TO NIE SPRAWA OSOBISTA!)

Nie, Tricia skoncentrowała się na pewnym wąskim aspekcie astrologii, na co panna Andrews nie była absolutnie przygotowana. Z drugiej strony Tricia nie była absolutnie przygotowana na rewanż w holu hotelowym. Co robić?

– Jeśli potrzebuje pani kilku minut, mogę poczekać w barze – zaproponowała Gail Andrews. – Z chęcią bym z panią porozmawiała, dziś wyjeżdżam z miasta.

Nie sprawiała wrażenia osoby obrażonej ani rozzłoszczonej, raczej nieco zaniepokojonej.

– Dobrze – odparła Tricia. – Proszę dać mi dziesięć minut.

Poszła na górę. Pomijając wszystko inne, miała tak mało zaufania do dżentelmena z recepcji i jego umiejętności obchodzenia się z czymś tak skomplikowanym jak wiadomość, że

chciała się upewnić, czy nie wetknięto jej w drzwi drugiej koperty. Nie byłby to pierwszy raz, kiedy wiadomości w recepcji i w drzwiach całkowicie sobie przeczyły.

W drzwiach niczego nie było.

Migotanie lampki na telefonie informowało, że ktoś dzwoni.

Nacisnęła odpowiedni guzik i połączyła się z centralą hotelową.

– Jest dla pani wiadomość od Gary’ego Andressa – poinformowała telefonistka.

– Tak? – Tricia nigdy nie słyszała tego nazwiska. – Jak brzmi?

– Nieszczęśliwy.

– Nieco?

– Szczęśliwy. Tak tu jest napisane. Facet chce przekazać, że nie jest szczęśliwy. Chciał widocznie, by pani o tym wiedziała. Podać numer telefonu?

Kiedy telefonistka zaczęła dyktować, Tricia natychmiast zrozumiała, że ma do czynienia ze zniekształconą wersją wiadomości, którą otrzymała przed chwilą.

– Dziękuję – powiedziała. – Ma pani dla mnie coś jeszcze?

– Numer pokoju?

Tricia podała go, choć było dla niej całkowicie niezrozumiałe, dlaczego telefonistka pyta o to tak późno.

– Nazwisko? – pytała dalej telefonistka.

– McMillan. Tricia McMillan – przeliterowała cierpliwie Tricia.

– Nie pan McManus?

– Nie.

– W takim razie nie ma nic więcej. – Trzask słuchawki.

Tricia westchnęła i wykręciła ponownie numer centrali. Zaczęła rozmowę od podania nazwiska i numeru pokoju. Telefonistka zdawała się absolutnie nie pamiętać, że rozmawiały z sobą kilkanaście sekund wcześniej.

– Idę do baru – wyjaśniła Tricia. – Do baru. Czy jeśli ktoś zadzwoni, będzie pani mogła przełączyć rozmowę do baru?

– Nazwisko?

Powtórzyły wszystko jeszcze parę razy, aż Tricia była pewna, że wszelkie niejasności zostały możliwie jak najlepiej wyjaśnione. Wzięła prysznic, z prędkością zawodowca odświeżyła makijaż, rzuciła okiem na łóżko i wzdychając, wyszła z pokoju.

Przeszło jej przez myśl, żeby uciec i gdzieś się schować.

Nie. Nie myślała o tym poważnie.

Czekając przed windą, obserwowała się w lustrze. Wyglądała na chłodną i opanowaną, a jeśli była w stanie oszukać samą siebie, oszuka każdego na świecie.

Cóż, będzie musiała przejść przez rozmowę z Gail Andrews. Zgoda, rzuciła jej pod nogi kłody. Przykro mi, ale tak to się odbywa. Powie coś w tym stylu. Panna Andrews zgodziła się na wywiad, ponieważ wyszła jej kolejna książka, recenzja oznaczała bezpłatną reklamę, tyle

tylko, że nie istnieje coś takiego jak bezpłatna promocja. Nie, koniec tej kwestii musi wykreślić.

Historia wyglądała następująco:

Przed tygodniem astronomowie oznajmili, że udało im się odkryć za Plutonem dziesiątą planetę. Szukali jej wiele lat; skłaniały ich do tego obserwacje nieregularności orbit zewnętrznych planet. Gdy ją wreszcie znaleźli, byli nieopisanie szczęśliwi, wszyscy cieszyli się razem z nimi i tak dalej.

Planetę nazwano Persefona, rychło jednak otrzymała przydomek Rupert, tak bowiem nazywała się papuga jednego z astronomów – wiązała się z nią jakaś nudna, lecz wzruszająca historia – wszystko zaś było wspaniałe i cudowne.

Tricia – z wielu powodów – śledziła wydarzenia z wielkim zainteresowaniem.

Kiedy szukała dobrego powodu, by polecieć na koszt swej stacji telewizyjnej do Nowego Jorku, przypadkiem wpadła jej do ręki notatka o Gail Andrews i jej najnowszej książce *Ty i twoje planety*.

Gail Andrews nie była, co prawda, powszechnie znana, wystarczyło jednak wspomnieć o prezydencie Hudsonie, jogurtach i amputacji Damaszku (świat zmienił się wskutek chirurgicznego stylu prowadzenia wojen. Oficjalne pojęcie brzmiało „Damasoresekcja”, czyli „operacyjne usunięcie” Damaszku.), by każdy wiedział, o kogo chodzi.

Tricia uznała to za świetny pretekst i natychmiast wmówiła, co trzeba, szefowi.

Odkrycie na niebie nowego, dotychczas nikomu nie znanego kawałka skały mocno zachwiało przekonania tych, którzy twardo wierzyli, iż kręcące się po niebie kawałki skał wiedzą o losach ludzi coś, czego oni sami nie wiedzą.

Coś takiego musi podważyć niejedno wyliczenie.

Co teraz z mapami nieba, ruchami planet i tym podobnymi rzeczami? Wszyscy wiedzieli (jakoby), co oznacza, jeśli Neptun stoi w znaku Panny i tak dalej, ale co teraz, kiedy pojawił się Rupert?

Czy nie powinno się przemyśleć całej astrologii od nowa? Czy nie czas przyznać, że była jedynie cczą gadaniną, i zająć się hodowlą świń, która opiera się jednak na racjonalnych przesłankach? Czy gdyby Rupert pojawił się trzy lata wcześniej, to prezydent Hudson jadłby jogurt jeżynowy nie w czwartek, ale w piątek? Czy uratowałoby to Damaszek? Mnóstwo pytań.

Gail Andrews przełknęła wszystko w miarę dobrze i właśnie zaczynała się otrząsać po początkowym ataku Tricii, kiedy popełniła dość poważny błąd, postanawiając ściąć ją z nóg sprytną wypowiedzią o wykresach dziennych, prawidłowych ascendentach i co dziwniejszych problemach trygonometrii trójwymiarowej. Ku swemu przerażeniu musiała przyznać, że wszystko, co serwowała, natychmiast odwracało się przeciw niej i to z siłą, na którą nie była przygotowana. Nikt bowiem nie ostrzegł Gail, że rola telewizyjnego głuptasa była dla Tricii drugą próbą zdobycia pozycji w życiu. Za błyszczkiem do ust firmy Chanel, modną fryzurą i

błękitnymi szklami kontaktowymi krył się umysł, który w poprzednim, dawno minionym etapie życia Trillian zapracował na dyplom z wyróżnieniem z matematyki i doktorat z astrofizyki.

Kiedy Tricia, nieobecna duchem, weszła do windy, zauważyła, że zapomniała wziąć z pokoju torebkę. Przez chwilę zastanawiała się, czy wyskoczyć z windy i wrócić po nią. Nie. Prawdopodobnie tam, gdzie leżała, była bezpieczniejsza niż w jej rękach, poza tym nie potrzebowała niczego z torebki. Pozwoliła drzwiom się zasunąć.

Wciągając głęboko powietrze, pomyślała, że jeśli życie czegokolwiek ją nauczyło, to jednego: NIGDY nie wracaj po torebkę.

Winda jechała w dół, Tricia patrzyła zamyślona w sufit. Ktoś, kto by jej nie znał, twierdziłby, że patrzy w sufit jak człowiek, który próbuje nie wybuchnąć płaczem. Nieprawda – wpatrywała się w obiektyw małej, umieszczonej w górnym rogu kabiny, kamery obserwacyjnej.

Minutę później dość energicznie wymaszerowała z windy. Podeszła do recepcji.

– Zapiszę to panu, ponieważ nie chcę, by doszło do jakiegokolwiek pomyłki. – Napisała swe nazwisko wielkimi literami na kawałku papieru, dopisała numer swego pokoju, zdanie JESTEM W BARZE i podała kartkę recepcjoniście, który zaczął jej się uważnie przyglądać. – To w razie gdyby ktoś mnie szukał, dobrze? – Recepcjonista dalej wpatrywał się w kartkę.

– Mam sprawdzić, czy ta pani jest w pokoju? – spytał.

Dwie minuty później Tricia sadowiła się na stołku barowym obok Gail Andrews, przed którą stał kieliszek białego wina.

– Pomyślałam, że należy pani do osób, które zamiast tkwić grzeczniutko przy stole, wolą siedzieć dumnie przy barze – zaczęła Gail.

Było to zgodne z prawdą i Tricia nieco się zdziwiła.

– Wódkę? – spytała Gail.

– Tak – odparła podejrzliwie Tricia. Z trudnością pohamowała się przed zadaniem pytania: „Skąd pani wie?”, Gail mimo to odpowiedziała.

– Zapytałam barmana – powiedziała z miłym uśmiechem. Barman eleganckim ruchem pchnął przygotowaną wódkę po połyskującym mahoniowym barze.

– Dziękuję – prychnęła Tricia i zaczęła energicznie mieszać w kieliszku.

Nie wiedziała, co począć z nieoczekiwaną przyjacielskością, postanowiła nie dać się uśpić. W Nowym Jorku ludzie nie są względem siebie mili bez powodu.

– Panno Andrews – zaczęła zdecydowanie – przykro mi, że jest pani nieszczęśliwa. Na pewno uważa pani, że obeszłam się z panią dziś rano nieco szorstko, ale astrologia jest, niestety, jedynie zabawą, aczkolwiek popularną i szeroko rozpowszechnioną. I dobrze. Jest częścią przemysłu rozrywkowego, częścią, z którą świetnie sobie pani radzi, i oby tak dalej.

Astrologia to świetna zabawa, nie jest jednak nauką i nie należy jej traktować jako nauki. Wydaje mi się, że udało nam się to znakomicie zademonstrować dziś rano, udało nam się również zabawić widzów, czym w końcu zarabiamy na chleb. Przykro mi, jeśli trudno się pani z tym pogodzić.

– Ależ ja jestem całkowicie szczęśliwa... – oznajmiła Gail Andrews.

– O... – Tricia nie wiedziała, jak sobie z tym poradzić. – Przekazała mi pani, że jest nieszczęśliwa.

– Ależ skąd! Chciałam przekazać, że uważam panią za nieszczęśliwą. Zastanawiałam się, jaki może być tego powód.

Tricia poczuła się tak, jakby ktoś uderzył ją w potylicę. Zamrugła bezradnie.

– Słucham? – spytała cicho.

– Myślę, że chodzi o gwiazdy. W czasie naszej rozmowy miałam wrażenie, że jest pani niezwykle zła i nieszczęśliwa z jakiegoś powodu, mającego związek z gwiazdami i planetami, a ponieważ mnie to zaniepokoiło, przyszłam zobaczyć, czy wszystko jest w porządku.

Tricia wpatrywała się w nią jak zaczarowana.

– Panno Andrews... – wydukała. Uświadomiła sobie jednak, że złość i nieszczęście brzmiące w jej głosie mogą zadać kłam zamierzonemu zaprzeczeniu.

– Jeśli to pani nie przeszkadza, proszę mi mówić po imieniu.

Tricia była oszołomiona.

– Wiem, że astrologia nie jest nauką – ciągnęła Gail. – Oczywiście, że nie jest. Astrologia nie jest niczym więcej jak grą z arbitralnie ustalonymi regułami, podobnie jak szachy, tenis czy... jak się nazywa to dziwactwo, w którym specjalizują się Anglicy?

– Eee... krykiet? Autoagresja?

– Demokracja parlamentarna. Jej reguły wykształciły się samoistnie z biegiem czasu. Poza swym systemem pojęciowym nie mają najmniejszego sensu, kiedy jednak zaczyna się je stosować, generują najróżniejsze procesy i dowiadujemy się o różnych osobach najróżniejszych rzeczy. Tak się złożyło, że reguły astrologiczne dotyczą planet i gwiazd, nic by się jednak nie zmieniło, gdyby dotyczyły kaczek i kaczorów. Astrologia jest sposobem patrzenia na jakiś problem, dzięki czemu wyraźniej go widzimy. Im liczniejsze, im dokładniejsze i bardziej arbitralne są zasady, tym lepiej. To jak rzucanie na kartkę papieru garści grafitowego pyłu, by odkryć niewidoczne gołym okiem zagłębienia. W ten sposób można odczytać słowa, jakie napisano na kartce, która na niej leżała i została zabrana. Grafitowy pył jest nieistotny – służy jedynie do odkrycia zagłębień. Astrologia nie ma związku z astronomią, ale wyłącznie z ludźmi zastanawiającymi się nad innymi ludźmi. Kiedy zauważyłam dziś rano... nie wiem, jak to wyrazić... jak bardzo jest pani emocjonalnie skoncentrowana na gwiazdach i planetach, pomyślałam, że wcale nie jest pani zła na astrologię, lecz faktycznie jest pani zła i nieszczęśliwa z powodu gwiazd i planet. Tak źli i

nieszczęśliwi stają się ludzie jedynie wtedy, kiedy coś stracili. Zwróciłam na to uwagę i nie wiedziałam, co to właściwie znaczy. Przyszłam więc zobaczyć, czy wszystko jest, jak należy.

Tricia osłupiała.

Część jej mózgu już od dłuższego czasu pracowała na maksymalnych obrotach. Była w trakcie wymyślania wszelkich możliwych zaprzeczeń, udowadniających głupotę gazetowych horoskopów i demaskujących statystyczne sztuczki, za pomocą których próbuje się oszukiwać ludzi, szybko jednak stwierdziła, że reszta mózgu wcale jej nie słucha, i przerwała pracę. Tricia była kompletnie osłupiała.

Zupełnie obca osoba powiedziała jej właśnie to, co ukrywała głęboko przez siedemnaście lat.

Spojrzała uważnie na Gail.

– Bo ja...

Zamilkła.

Jej ruchy śledziła mała kamera obserwacyjna, umieszczona za barem. Speszyło to Tricię do reszty. Większość ludzi nie zauważyłaby kamery. Nie była po to, by ją zauważano. Nie była po to, by myślano, że w dzisiejszych czasach nawet w drogim, eleganckim nowojorskim hotelu nie można mieć pewności, że jakiś osobnik nie wyciągnie nagle broni albo nie pojawi się bez krawata. Choć kamera była pieczołowicie schowana za butelkami z wódką, nie mogła ująć uwagi wyostrzonym zmysłem osoby prowadzącej programy telewizyjne, zawsze wiedzącej, kiedy patrzy na nią oko kamery.

– Coś się stało? – spytała Gail.

– Nie, tylko... muszę przyznać, że trochę mnie pani zaskoczyła. – Tricia postanowiła ignorować kamerę obserwacyjną. Pomyślała sobie, że to wyobraźnia robi jej psikusy, ponieważ zbyt dużo myślała dziś o telewizji. Nie pierwszy raz przydarzało jej się coś takiego. Kiedyś przy przechodzeniu przez ulicę miała wrażenie, że śledzi ją kamera rejestrująca ruch uliczny, innym razem, że obserwuje ją kamera w trakcie przymierzania kapeluszy u Bloomingdale'a. Z jej głową było coś nie w porządku. Raz w Central Parku miała nawet wrażenie, że obserwuje ją uważnie ptak.

Postanowiła odsunąć te myśli i wypła łyk wódki. Ktoś chodził po barze i pytał mężczyzn, czy nazywają się McManus.

– Świetnie – wybuchła Tricia – nie wiem, jak pani na to wpadła, ale...

– Na nic nie „wpadłam”. Jedynie słuchałam, co pani mówi.

– Wydaje mi się, że straciłam inne życie.

– Każdemu to się zdarza. Codziennie, co chwila. Każda decyzja, jaką podejmujemy, każdy oddech, jaki robimy, otwiera jedne drzwi, a zamyka drugie. Większości nie widzimy. Zauważamy tylko niektóre. Wygląda na to, że pani zauważyła jedne z nich.

– O tak... zauważyłam... Niech będzie. Opowiem pani. Historia jest bardzo prosta. Kilka lat temu poznałam na przyjęciu mężczyznę. Powiedział, że pochodzi z innej planety, i zapytał,

czy nie chciałabym z nim pójść. „Oczywiście – powiedziałam. – Jasne”. Przyjęcie było nie do wytrzymania. Poprosiłam, żeby zaczekał, bo muszę iść po torebkę, ale będę szczęśliwa, mogąc udać się z nim na inną planetę. Oświadczył, że nie będę potrzebować torebki. Odparłam, że widocznie pochodzi z bardzo zacofanej planety, każdy bowiem wie, że kobieta zawsze musi mieć przy sobie torebkę. Trochę się zniecierpliwiał, nie zamierzałam jednak aż tak bardzo ułatwiać mu sprawy tylko dlatego, że był z innej planety. Poszłam na górę. Znalezienie torebki zajęło nieco czasu, na dodatek ktoś siedział w łazience. Kiedy zesłam, już go nie było. – Tricia zrobiła przerwę.

– I...? – spytała Gail.

– Furtka ogrodowa była otwarta. Wyszłam na drogę. Nieopodal zamrugały światła, pobłyskiwał jakiś kształt. Zdażyłam tylko zobaczyć, jak wznosi się w niebo, przelatuje bezgłośnie przez chmury i znika. Tyle. Koniec historii. Koniec jednego życia, początek nowego, nie ma jednak chwili, bym nie myślała o drugiej Tricii. Tricii, która nie wróciła po torebkę. Mam wrażenie, że znajduje się gdzieś w kosmosie, a ja ciągle stoję w jej cieniu.

Między stolikami chodził pracownik hotelu, pytając każdego mężczyznę, czy nazywa się Miller. Żaden nie nazywał się Miller.

– Naprawdę pani uważa, że ten... osobnik pochodził z innej planety? – spytała Gail.

– Oczywiście. Miał statek kosmiczny. Aha, poza tym miał dwie głowy.

– Dwie głowy? Nikt nie zwrócił na to uwagi?

– To był bal kostiumowy.

– Rozumiem.

– Na drugiej głowie miał przykrytą płachtą materiału klatkę na ptaki. Udawał, że jest w niej papuga. Postukiwał w klatkę, wykrzykiwał idiotyzmy w stylu „Hej, Polly!”, skrzeczał i tak dalej. Potem zdjął na chwilę materiał i ryknął śmiechem. W klatce była druga głowa i śmiała się razem z pierwszą. Muszę przyznać, że było to dość niepokojące.

– W takim razie dokonała pani chyba właściwego wyboru, moja droga.

– Nie. Nie uważam tak. Nie mogłam już robić dalej tego, co robiłam. Byłam astrofizykiem, a nie można być dalej astrofizykiem, jeśli spotkało się dwugłową istotę z innej planety, której jedna z głów udaje papugę. Nie da się. Ja w każdym razie nie byłam w stanie.

– No tak, to nie byłoby proste. Prawdopodobnie dlatego traktuje pani nieco szorstko ludzi, którzy mówią ewidentne bzdury.

– Tak, prawdopodobnie ma pani rację. Przykro mi.

– Nie ma w tym nic złego.

– Jest pani pierwszą osobą, której o tym opowiadam.

– Tak myślałam. Jest pani mężatką?

– Eee... nie. W dzisiejszych czasach trudno to powiedzieć. Pytanie pani jest jednak uzasadnione, ponieważ prawdopodobnie właśnie problem małżeństwa stał się powodem komplikacji w moim życiu. Kilkakrotnie byłam bliska zawarcia małżeństwa, głównie dlatego

że chciałam mieć dziecko, w końcu jednak każdy kandydat pytał, dlaczego ciągle stoję nad nim jak kat nad dobrą duszą? Co można odpowiedzieć na takie pytanie? Zastanawiałam się nawet, czy nie iść do banku spermy i nie zdać się na ślepy los. Niechby przypadek zdecydował, czyje dziecko urodzę.

– Nie zamierzała pani chyba zrobić tego naprawdę?

Tricia roześmiała się.

– Chyba nie. Nigdy nie poszłam spróbować. Takie już jest to moje życie: nie próbować niczego naprawdę. Dlatego pewnie wyłądownałam w telewizji – tam nic nie jest prawdziwe.

– Przepraszam, czy pani nazywa się Tricia McMillan?

Tricia gwałtownie się odwróciła. Stał za nią mężczyzna w czapce szofera.

– Tak – odparła, natychmiast przechodząc do defensywy.

– Szukam pani od godziny! W recepcji powiedziano mi, że nikt taki tu nie mieszka, ale sprawdziłem w biurze pana Martina, gdzie powiedziano mi, że zatrzymała się pani na pewno tutaj. Zapytałem jeszcze raz, ale nadal się upierali, że nigdy o pani nie słyszeli. Poprosiłem, by mimo to wywołano panią, ale nie mogli pani znaleźć. W końcu poprosiłem w biurze, by przysłali mi do samochodu faksem pani zdjęcie, i zacząłem sam sprawdzać. – Rzucił okiem na zegarek. – Jest, co prawda, dość późno, ale może zechce pani mimo to pojechać?

Tricia znów osłupiała.

– Pan Martin? Mówi pan o Andym Martinie z NBS?

– Zgadza się, proszę pani. Chodzi o próbne zdjęcia do programu ogólnokrajowego.

Tricia zeskoczyła ze stołka jak oparzona. Już sama myśl o programach panów McManusa i Millera zwała ją z nóg.

– Musimy się jednak pośpieszyć – oświadczył szofer. – O ile wiem, pan Martin uważa, że warto spróbować z angielskim akcentem, ale jego szef sądzi, że to zwracanie głowy. Pan Zwingler leci jednak dziś na Wschodnie Wybrzeże, o czym przypadkiem wiem, ponieważ to ja mam go zawieźć na lotnisko.

– Świetnie – przerwała Tricia. – Jestem gotowa. Idziemy.

– Doskonale. Do tej wielkiej limuzyny przed hotelem.

Tricia zwróciła się do Gail.

– Przykro mi.

– Niech pani idzie! Życzę szczęścia. Bardzo miło się z panią rozmawiało.

Tricia sięgnęła po torebkę, by zapłacić rachunek.

– Cholera! – Torebka leżała w pokoju.

– Ja zapłacę – rzekła Gail. – Z przyjemnością. Rozmowa z panią była bardzo pouczająca.

Tricia westchnęła.

– Naprawdę mi przykro z powodu dzisiejszego przedpołudnia i...

– Proszę nic więcej nie mówić. Czuję się znakomicie. To tylko astrologia. Nie ma w tym nic istotnego. Świat się od niej nie zawali.



– Dziękuję. – Tricia spontanicznie pochyliła się ku Gail i objęła ją.

– Ma pani wszystko? – spytał szofer. – Nie chce pani pójść po torebkę czy coś innego?

– Jeśli życie czegokolwiek mnie nauczyło, to tego, że nie wolno nigdy wracać po torebkę.

Nieco ponad godzinę później Tricia siedziała na łóżku w swoim pokoju hotelowym. Nie ruszała się przez wiele minut. Wpatrywała się jedynie w torebkę, leżącą niewinnie u wezłowania łóżka obok.

W dłoni trzymała kartkę od Gail Andrews, na której napisano: „Proszę nie czuć się rozczarowaną. Jeśli chce pani porozmawiać, proszę do mnie zadzwonić. Na pani miejscu zostałąbym jutro wieczorem w domu. Proszę odpocząć i nie przejmować się mną. To tylko astrologia. Świat się od niej nie zawali. Gail”.

Szofer miał stuprocentową rację. Wyglądało na to, że wie lepiej o wszystkim, co się dzieje w NBS, od każdego, kogo Tricia spotkała w rozgłośni. Martin był za, Zwinger przeciw. Dostała niepowtarzalną okazję udowodnienia, że Martin ma rację, i wszystko dokładnie zepsuła.

Świetnie. Świetnie, świetnie, świetnie.

Czas jechać do domu. Czas zadzwonić na lotnisko i sprawdzić, czy zdąży na wieczorny samolot do Londynu. Sięgnęła po książkę telefoniczną.

Oj. Wszystko po kolei.

Odłożyła książkę, sięgnęła po torebkę i poszła z nią do łazienki. Postawiła ją na wannie i wyjęła plastikowe pudełeczko, w którym przechowywała szkła kontaktowe. Bez nich nie była w stanie przeczytać niczego ani z kartki, ani z plansz.

Zakładając szkła, doszła do wniosku, że jeśli życie czegokolwiek ją nauczyło, to tego, iż istnieją sytuacje, w których nie należy wracać po torebkę, i sytuacje, kiedy należy to zrobić. Teraz życie musi ją jeszcze tylko nauczyć je rozróżniać.

## Rozdział 3

W zakresie tego, co zabawnie nazywamy „przeszłością”, przewodnik *Autostopem przez Galaktykę* ma dużo do powiedzenia na temat wszechświatów równoległych. Niestety, bardzo niewiele z tego jest w stanie zrozumieć ktoś, kto nie osiągnął poziomu Zaawansowanego Boga. Ponieważ obecnie ogólnie się przyjmuje, że wszyscy znani bogowie powstali dobre trzy milionowe sekundy po powstaniu wszechświata, nie zaś – jak zawsze twierdzili – tydzień wcześniej, mają teraz sporo do wyjaśnienia i nie dysponują czasem na komentowanie problemów wyższej fizyki.

Jedna z bardziej zachęcających uwag *Autostopem* na temat wszechświatów równoległych mówi, że nie ma cienia szansy, by cokolwiek z tego zrozumieć. Z tego powodu można spokojnie powtarzać „Co?” i „He?”, a nawet zacząć zezować albo wariować, bez ryzyka, że posądzą cię o szaleństwo.

Na samym początku – twierdzi *Autostopem* – należy sobie uzmysłwić, że wszechświaty równoległe wcale nie są równoległe.

Następnie należy sobie uzmysłwić, że mówiąc ściśle, nie są też wcale wszechświatami, tego lepiej jednak nie uzmysławiać sobie od razu, lecz później, dopiero po tym, jak uświadomimy sobie, że wszystko, co sobie dotychczas uświadomiliśmy, to nieprawda.

Wszechświatami nie są z tego prostego powodu, że żaden wszechświat nie jest przedmiotem jako takim, lecz jedynie sposobem postrzegania tego, co jest znane jako CZWOP, czyli Całkowity Zbiór Wszelkiego Ogólnego Poplątania. Oczywiście także Całkowity Zbiór Wszelkiego Ogólnego Poplątania nie istnieje naprawdę, lecz jest jedynie sumą wszystkich możliwych sposobów postrzegania go. Gdyby oczywiście istniało.

Równoległe nie są z tego samego powodu, z jakiego morze nie jest „równoległe” z niebem. To absolutnie nic nie oznacza. Można przeciąć CZWOP w dowolny sposób i zawsze otrzyma się coś, co ktoś określi jako swój dom.

Teraz proszę uprzejmie zwariować.

Ta Ziemia, którą zajmujemy się tutaj z powodu jej szczególnego miejsca w Całkowitym Zbiorze Wszelkiego Ogólnego Poplątania, została – w odróżnieniu od innych Ziemi – trafiona

przez neutron. W porównaniu z innymi rzeczami, jakimi można zostać trafionym, neutron nie jest duży.

Co więcej – trudno sobie wyobrazić coś mniejszego od neutronu, czym można by zostać trafionym. Dla czegoś o wielkości Ziemi trafienie przez neutron nie jest niczym nadzwyczajnym. Wręcz przeciwnie – niezwykłością byłaby nanosekunda, w której Ziemia nie zostałaby trafiona przez parę miliardów neutronów.

Biorąc pod uwagę, że materia składa się niemal wyłącznie z pustki, ważne jest oczywiście, co rozumiemy przez słowo „trafić”. Prawdopodobieństwo, że podróżujący przez szalejącą, wzburzoną pustkę neutron w coś trafi, jest mniej więcej takie, jak trafienie wyrzuconą przypadkowo z przelatującego boeinga 747 piłką w – powiedzmy – leżącą na ziemi kanapkę z jajkiem.

A jednak neutron w coś trafił. Można by uznać, że w nic ważnego, nie należy jednak tak mówić, ponieważ oznaczałoby to czężą gadaninę. Jeśli w czymś tak wariacko skomplikowanym jak wszechświat coś się wydarza, jedynie Kevin sam w domu wie, co z tego wyniknie. („Kevin” oznacza tu przypadkową istotę, która nie ma o niczym pojęcia).

Otóż ów neutron zderzył się z atomem.

Atom był częścią molekuly. Molekuła była częścią kwasu rybonukleinowego. Kwas rybonukleinowy był częścią genu. Gen był częścią kodu reprodukcyjnego... i tak dalej. W rezultacie pewnej roślinie wyrósł dodatkowy liść. W hrabstwie Essex. Dokładnie: w miejscu, które po nie kończących się pertraktacjach i lokalnych sporach geologicznych miało się kiedyś stać hrabstwem Essex.

Rośliną ową była koniczyna. Koniczyna ta w szczególnie efektywny sposób się rozprzestrzeniła, rozsiała nasiona i wkrótce stała się dominującym gatunkiem koniczyny. Dokładny związek przyczynowo-skutkowy między tym drobnym epizodem biologicznym oraz innymi, nieistotnymi zmianami w naszym plastrze Całkowitego Zbioru Wszelkiego Ogólnego Poplątania (na przykład faktem, że Tricia McMillan nie uciekła z Zaphodem Beeblebroxem, że nastąpiło znaczne zmniejszenie sprzedaży lodów o smaku orzechowym, albo że Ziemia, na której wszystko to się wydarzyło, nie została zburzona przez Vagonów w celu zrobienia miejsca nowej hiperprzestrzennej drodze szybkiego ruchu) znajduje się obecnie na miejscu 4 763 984 132 na liście projektów badawczych instytucji, będącej kiedyś wydziałem historii Uniwersytetu Maximegalońskiego, i nikt z gromadzących się tam, nad brzegiem basenu, do modlitwy nie uważa sprawy za pilną.

## Rozdział 4

Tricia zaczęła mieć wrażenie, że świat sprzysiągł się przeciwko niej. Wiedziała, że to normalne, jeśli leciało się całą noc na wschód i nagle ma się przed sobą następnym trudny dzień, na który w żaden sposób nie jest się przygotowanym, ale mimo wszystko...

Na trawniku przed swoim domem znalazła wyciśnięte ślady.

Niewiele ją obchodziły ślady na trawniku. Mogły zebrać się razem i iść sobie gdzie pieprz rośnie. Była sobota rano. Właśnie wróciła z Nowego Jorku, była zmęczona, źle usposobiona, podejrzliwa i niczego nie życzyła sobie bardziej od padnięcia na łóżko, włączenia cicho radia i zaśnięcia przy niezwykle przemądrzałych uwagach Neda Sherrina nie wiadomo o czym.

Jednakże Eryk Bartlett nie zamierzał puścić jej, nie przeprowadziwszy przedtem dokładnego badania śladów. Eryk był starym ogrodnikiem, przychodzącym co sobotę rano ze wsi, by pogrzebać patykami w jej ogródku. Nie wierzył, że ludzie mogą wracać wczesnym rankiem z Nowego Jorku. Nie podobało mu się to. Było to wbrew naturze. Wierzył za to w różne inne rzeczy.

– To pewnie kosmici – oznajmił, schylił się i zaczął wodzić laską po konturach zagłębień.

– Dużo się o nich ostatnio słyszy. Myślę, że to oni.

– Sądzi pan? – Tricia powiedziała to, patrząc równocześnie ukradkiem na zegarek. „Dziesięć minut” – pomyślała. Uznała, że wytrzyma na stojąco jeszcze dziesięć minut, potem padnie i to niezależnie od tego, czy będzie już w sypialni, czy jeszcze w ogrodzie. Jeśli będzie musiała tylko stać, wytrzyma dziesięć minut. Jeśli na dodatek będzie musiała od czasu do czasu potakująco kiwać głową i mówić „Sądzi pan?”, wytrzyma prawdopodobnie tylko pięć.

– Oczywiście – stwierdził Eryk. – Lądują tu, stają na trawniku, potem odlatują, czasem nawet z kotem. Kot pani Williams z poczty – pamięta pani, taki w rudobrazowe pręgi – został porwany przez ufoludki. Fakt, oddały go następnego dnia, ale zwierzątko było naprawdę w kiepskiej formie. Zaczęło wałęsać się rankami, a spać popołudniami. Przedtem robiło odwrotnie – rano spało, po południu wałęsało się. To efekt przesunięcia czasu, jakiemu zostało poddane w trakcie podróży statkiem kosmicznym.

– Aha – mruknęła Tricia.

– Pani Williams mówi, że namalowali kotu dodatkowe pręgi. Ślady na trawie wyglądają na zrobione podporami ich statków.

– Nie mogą pochodzić od kosiarki?

– Gdyby były nieco bardziej zaokrąglone, to tak, ale te są bardziej kanciaste. Widzi pani? Te kształty są dość niezwykłe.

– Wspominał pan, że kosiarka szaleje i że trzeba ją naprawić, jeśli nie chce, by robiła dziury w trawie.

– Faktycznie tak mówiłem, panno Tricio, i nie wypieram się. Nie wykluczam w stu procentach, że to kosiarka, mówię tylko, co uważam za bardziej prawdopodobną przyczynę powstania dziur. Oni nadlatują swoimi talerzami stamtąd, znad drzew...

– Eryku... – powiedziała Tricia wyrozumiale.

– Powiem pani, co zrobię. Obejrzę kosiarkę, właściwie chciałem to już zrobić w zeszłym tygodniu, i dam pani spokój, żeby mogła pani pozajątwiać swoje sprawy.

– Dziękuję, Eryku. Marzę o łóżku. Proszę brać z kuchni, na co tylko będzie pan miał ochotę.

– Dziękuję, panno Tricio. Oby była pani szczęśliwa. – Schylił się i zerwał coś z trawnika.

– Proszę, trzylistna koniczyna. Czeka panią szczęście. – Obejrzał dokładnie koniczynę, by przekonać się, że jest naprawdę trzylistna, a nie czterolistna z oderwanym listkiem. – Na pani miejscu miałbym jednak oczy otwarte na znaki przybyszów z innych planet. – Omiótł badawczym wzrokiem horyzont. – Zwłaszcza z kierunku Henley.

– Dziękuję, Eryku – powtórzyła Tricia. – Będę uważać.

Położyła się spać i śniła niespokojnie o papugach i innych ptakach. Obudziła się po południu i zaczęła nerwowo chodzić po domu, nie mogąc zdecydować, co zrobić z resztą dnia, czy ściślej mówiąc – resztą życia. Bitą godzinę dumiała, czy jechać do miasta i spędzić wieczór u Stavra. Jego klub był obecnie najmodniejszym miejscem spotkań ludzi robiących karierę w branży radiowo-telewizyjnej; spotkanie z paroma przyjaciółmi będzie chyba najlepszym sposobem na uspokojenie nerwów i powrót do właściwego rytmu. W końcu postanowiła pójść. Oczywiście. Trochę się rozerwie. Bardzo lubiła Stavra, Greka z niemieckim ojcem, co jest dość niezwykłą kombinacją. Kilka dni temu była w „Alfie”, pierwszym klubie Stavra w Nowym Jorku, prowadzonym przez jego brata, uważającego się za Niemca z grecką matką. Stavro niezwykle się ucieszy, kiedy mu powie, że Karlowi kiepsko idzie prowadzenie klubu. Pójdzie choć po to, by zrobić mu tę przyjemność. Naprawdę trudno było utrzymywać, że Stavro i Karl Miiller żywią wobec siebie braterskie uczucia.

Świetnie. Właśnie tak robi.

Następną godzinę spędziła na dumaniu, w co się ubrać. W końcu zdecydowała się na szykowną krótką, czarną sukienkę, którą wypatrzyła w Nowym Jorku. Zadzwoiła do

znajomego, by dowiedzieć się, kto może być dziś u Stavra, okazało się, że klub jest zamknięty z powodu wesela.

Pomyślała sobie, że próba spędzenia życia według ustalonego przez siebie planu to jak próba kupienia w supermarkecie składników do podanego w gazecie przepisu. W supermarkecie zwykle dostaje się wózek na zakupy, który odmawia jazdy tam, dokąd się go pcha, i człowiek musi kupić zupełnie co innego, niż zamierzał. Co z tym potem począć? Jak zrobić to, co każe przepis? Nie miała pojęcia.

Nie przejmując się tymi pytaniami, w nocy na trawniku Tricii wylądował pozaziemski statek kosmiczny.

## Rozdział 5

Kiedy zobaczyła, że od strony Henley zbliża się jakiś obiekt, z początku była tylko trochę zaciekawiona, co to za światła. Ponieważ nie mieszkała zbyt daleko od lotniska Heathrow, była przyzwyczajona do oglądania wieczorami świateł na niebie. To prawda, że rzadko widywała je o tak późnej porze i tak nisko – stąd nieduże zaciekawienie.

Kiedy owo nie wiadomo co coraz bardziej się zbliżało, zaciekawienie Tricii zaczęło przechodzić w zdziwienie.

„Hmmm” – pomyślała. Na razie nie była w stanie pomyśleć więcej. W dalszym ciągu była półprzytomna, jej wewnętrzny zegar nie tykał jeszcze prawidłowo; to, o czym jedna połowa mózgu gwałtownie informowała drugą, nie docierało w odpowiednim czasie ani tam, gdzie należy. Tricia wyszła z kuchni, gdzie właśnie parzyła sobie kawę, i poszła otworzyć drzwi do ogrodu. Wciągnęła głęboko chłodne wieczorne powietrze, wyszła na dwór i spojrzała w górę.

Mniej więcej trzydzieści metrów nad trawnikiem wisiało coś wielkości małego autobusu.

Było tam naprawdę. Wisiało. Niemal bezgłośnie.

W głębi duszy Tricii coś drgnęło.

Powoli opadły jej ręce. Nie zauważała, że po nodze spływa jej gorąca kawa. Przestała niemal oddychać – maszyna powoli, centymetr po centymetrze, metr po metrze zaczęła opadać. Ostrożnie, jakby chciały ją wysondować i wymacać, ziemię oświetlały stożki światła z reflektorów. Światła omiotły Tricię.

Nigdy nie odważyła się mieć nadziei na drugą szansę. Odnalazł ją? Wrócił?

Statek opadał, wreszcie bezgłośnie wylądował na trawniku. Nie wyglądał tak samo jak ten, który zniknął na jej oczach przed laty, ale mogła się mylić; w końcu trudno określić kształt czegoś, jeśli widziało się jedynie światła, migocące na tle ciemnego nieba.

Cisza.

Po chwili rozległo się „pik” i „brummm”.

Jeszcze jedno piknięcie i brumnięcie. Pik brummm, pik brummm.

Otworzył się luk wejściowy i na trawnik padło światło.

Tricia stała, drżąc.

W świetle pojawił się kontur postaci, następnie drugi i trzeci. Patrzyły na nią spokojne, wielkie oczy. Ręce uniosły się powoli w geście powitania.

– McMillan? – rozległ się w końcu dziwny, piskliwy głos, z widoczną trudnością radzący sobie z ziemskimi zgłoskami. – Tricia McMillan? Panna Tricia McMillan?

– Tak... – szepnęła Tricia niemal bezgłośnie.

– Obserwowaliśmy panią.

– Ob... obserwowaliście? Mnie?

– Tak.

Wielkie oczy powoli lustrowały ją od góry do dołu.

– W naturze jest pani mniejsza – powiedziała jedna z istot.

– Słucham?

– Mniejsza.

– Nie... nie całkiem rozumiem. – W najmniejszym stopniu nie spodziewała się czegoś podobnego, ale nawet jak na coś, czego się nie spodziewała, sprawa przybierała zupełnie inny obrót, niż mogłaby się spodziewać. – Przysłał... przysłał was... Zaphod?

Pytanie to wywołało wśród trójki przybyszów niejaką konsternację. Zaczęli się naradzać rwanym, niezrozumiałym językiem. Po chwili zwrócili się ku Tricii.

– Nie sądzimy. W każdym razie nic nam o tym nie wiadomo.

– Gdzie leży ten Zaphod? – zapytał jeden z przybyszów, spoglądając w niebo.

– Nie... nie mam pojęcia... – szepnęła Tricia.

– Daleko stąd? W jakim kierunku? Nic o nim nie wiemy.

Tricia dość niechętnie, ale musiała pogodzić się z faktem, że przybysze nie mają pojęcia, o kim ani o czym mówi. Ona też nie miała pojęcia, o czym mówią obcy. Odsunęła nadzieję i uruchomiła mózg. Rozczarowanie nic nie da. Musi myśleć przede wszystkim o tym, że ma przed sobą dziennikarską sensację stulecia. Co robić w takiej sytuacji? Pobiec do domu po kamerę wideo? Zaczekać, aż wróci, czy uciekną? Była zbyt oszołomiona, żeby kierować się jakąś strategią. „Zrób wszystko, by dalej mówili – pomyślała. – Resztą zajmiesz się później”.

– Obser... obserwowaliście mnie?

– Was wszystkich. Wszystko na waszej planecie. Telewizję. Radio. Telekomunikację. Komputery. Konferencje wideo. Domy towarowe.

– Co?

– Parkingi. Wszystko. Obserwujemy wszystko.

Tricia wlepiła w nich wzrok.

– To musi być strasznie nudne! – wybuchnęła.

– Jest.

– Dlaczego więc...?

– Poza...

– Tak? Poza... nie rozumiem.



– Poza teleturniejami. Lubimy oglądać teleturnieje.

W czasie przerażająco długiej chwili ciszy, jaka zapanowała po tym wyznaniu, Tricia wpatrywała się w obcych, a oni w Tricię.

– Chciałabym przynieść coś z domu – wykrztusiła w końcu możliwie obojętnie. – Może... może chcecie... może któryś z was ma ochotę wejść do środka i się rozejrzeć?

– Bardzo chętnie! – Wszyscy trzej byli zachwyceni.

Podczas gdy Tricia z największym pośpiechem przygotowywała kamerę wideo, aparat fotograficzny, magnetofon i inne znajdujące się w zasięgu ręki urządzenia do zapisu obrazu i dźwięku, obcy stali nieporadnie na środku salonu. Byli bardzo szczupli, w świetle lamp ich skóra wyglądała na powleczonej matową warstwą rdzawej zieleni.

– Jeszcze sekundę cierpliwości, chłopcy – poprosiła Tricia, grzebiąc w szufladach w poszukiwaniu taśm i filmów.

Obcy zaczęli przeglądać regały ze starymi płytami i z kompaktami. Jeden delikatnie stuknął drugiego łokciem w bok.

– Patrz. Elvis.

Tricia zamarła i ponownie wbiła wzrok w swych gości.

– Lubicie Elvisa?

– Oczywiście – odpowiedziała cała trójka zgodnym chórem.

– Elvisa Presleya?

– Oczywiście.

Próbując wepchnąć w kamerę nową kasetę, Tricia, zupełnie zdezorientowana, kręciła głową.

– Niektórzy Ziemianie – nieśmiało odezwał się jeden z przybyszów – uważają, że Elvisa uprowadzili kosmici.

– Słucham? A uprowadzili?

– Bardzo możliwe...

– Chcecie powiedzieć, że porwaliście Elvisa? – sapnęła Tricia. Robiła, co mogła, by zachować spokój i nie zaplątać się w sprzeczcie, ale sytuacja zaczynała ją przerastać.

– Nie. Nie my – odparli goście. – Kosmici. To dość interesująca teoria i często o niej dyskutujemy.

– Muszę to nagrać... – wymamrotała Tricia pod nosem.

Upewniła się, że kamera wideo jest załadowana i pracuje. Skierowała ją na gości. Nie chcąc ich wystraszyć, nie podnosiła kamery do oka, miała jednak wystarczające doświadczenie, by filmować z biodra.

– Świetnie – zaczęła. – Teraz powoli i dokładnie opowiedzcie, kim jesteście. Najpierw ty – powiedziała do obcego z lewej strony. – Jak się nazywasz?

– Nie wiem.

– Nie wiesz?

– Nie wiem.

– Aha. A wy dwaj?

– Też nie wiemy.

– Dobrze. Znakomicie. Może więc powiecie, skąd przybywacie.

Cała trójka pokręciła głowami.

– Nie wiecie, skąd jesteście?

Znów pokręcili głowami.

– W takim razie... co w takim razie... eee. – Zaczęła tracić koncept; dzięki zawodowej rutynie dalej jednak trzymała kamerę odpowiednio skierowaną.

– Mamy zadanie – powiedział jeden z obcych.

– Zadanie? Jakie?

– Nie wiemy.

W dalszym ciągu trzymała kamerę pewną ręką.

– Co robicie na Ziemi?

– Przybyliśmy po ciebie.

Stalową ręką, stalową ręką. Jak na statywie. Zaczęła się zastanawiać, czy jednak nie wziąć statywu. Na szczęście myśl ta dała jej chwilę spokoju i mogła przetrwać to, co usłyszała. Postanowiła zrezygnować ze statywu, dzięki filmowaniu z ręki była operatywniejsza. Przeleciało jej przez myśl: „Boże, co teraz?”

– Dlaczego – spytała najspokojniej w świecie – przylecieliście po mnie?

– Ponieważ straciliśmy rozum.

– Przepraszam bardzo – uznała Tricia – ale jednak muszę iść po statyw.

Zupełnie im nie przeszkadzało stać bezczynnie i czekać, aż Tricia przyniesie statyw i zamocuje kamerę. Na jej twarzy nie drgnął ani jeden mięsień, nie miała najmniejszego pojęcia, co właściwie się dzieje i co ma o tym wszystkim sądzić.

– Świetnie – powiedziała, kiedy skończyła. – Dlaczego...

– Podobał nam się twój wywiad z astrolożką.

– Widzieliście go?!

– Widzimy wszystko. Bardzo interesujemy się astrologią. Lubimy ją. Jest bardzo interesująca. Nie wszystko jest interesujące, ale astrologia tak. Wszystko, co jest w gwiazdach. To, co przepowiadają. Kilka informacji bardzo by się nam przydało.

– Ale... – Tricia nie wiedziała, co dalej mówić. „Daj sobie spokój – pomyślała. – Zastanawianie się nie ma sensu”. W końcu przyznała: – Ale ja nie mam pojęcia o astrologii.

– My mamy.

– Wy macie?

– Tak. Kierujemy się horoskopami. Jesteśmy żądni wiedzy. Czytamy wszystkie wasze gazety i czasopisma i traktujemy je bardzo poważnie. Nasz przywódca uważa jednak, że mamy pewien problem.

- Macie przywódcę?
- Tak.
- Jak się nazywa?
- Nie wiemy.
- Jakim imieniem się przedstawia, do jasnej cholery?! Przepraszam. To trzeba będzie wyciąć. Jakim imieniem się przedstawia?
- Żadnym. Nie pamięta go.
- Skąd więc wiecie, że to wasz przywódca?
- Bo objął przywództwo. Powiedział, że ktoś musiał to zrobić.
- Aha! – Tricia pochwyliła wskazówkę. – Gdzie?
- Na Rupercie.
- Co?!
- Twoi współplemieńcy nazywają to miejsce „Rupert”. Dziesiątą planetę waszego Układu Słonecznego. Osiedliliśmy się tam wiele lat temu. Bardzo tam zimno i ponuro, ale miejsce jest dobre do obserwacji.
- Dlaczego nas obserwujecie?
- Nie umiemy robić nic innego.
- Doskonale. Świetnie. W czym tkwi problem, zdaniem waszego przywódcy?
- W triangulacji.
- Słucham?
- Astrologia to bardzo precyzyjna nauka. Doskonale o tym wiemy.
- Hmm...
- Ale tylko tu, na Ziemi.
- Ahaaa... – Tricia miała wrażenie, że coś zaczyna jej świtać.
- No więc, na przykład, jeśli Wenus wchodzi w znak Koziorożca, dotyczy to wyłącznie Ziemi... Co to oznacza dla Ruperta? Co oznacza Ziemia w Koziorożcu? Skąd mamy to wiedzieć? Wśród ogromu udokumentowanej wiedzy, jaką straciliśmy, musiała być trygonometria.
- A więc... – wydukała Tricia – chcecie, bym... poleciała z wami... na Ruperta?
- Tak jest.
- Aby biorąc pod uwagę pozycje Ziemi i Ruperta, zinterpretować na nowo horoskopy?
- Tak jest.
- Dostanę wyłączność?
- Oczywiście.
- Lecę! – oznajmiła Tricia, myśląc, że w najgorszym razie sprzeda historię „National Enquirerowi”.

Pierwszą rzeczą, na jaką zwróciła uwagę na pokładzie statku, który miał ją zawieźć na kraniec Układu Słonecznego, był szereg monitorów. Gnały przez nie, błyskawicznie się zmieniając, tysiące obrazów. Przed monitorami siedział czwarty obcy, koncentrował się na jednym z nich. Pokazywał on zaimprovizowany wywiad, jaki Tricia przeprowadziła przed chwilą z jego trzema kolegami. Widząc, że wchodząca do statku Ziemia jest wyraźnie zaniepokojona, odwrócił się w jej stronę.

– Dobry wieczór, panno McMillan – powiedział. – Świetna robota.

## Rozdział 6

Ford Prefect dotknął podłogi w pełnym pędzie. Była mniej więcej dziesięć centymetrów niżej szybu wentylacyjnego, niż pamiętał, przeliczył się więc co do momentu, w którym wylądował, ruszył zbyt wcześnie, potknął się i skręcił sobie kostkę. Cholera! Mimo to, lekko utykając, pobiegł dalej.

Jak zwykle, w całym budynku dziko wyły podekscytowane alarmy. Ford skoczył szczupakiem za zwykle stojącą tu szafę, rozejrzał się na wszystkie strony, by upewnić się, że nikt go nie może zobaczyć, i zaczął gwałtownie szukać w plecaku, by wyjąć zazwyczaj potrzebne w takiej sytuacji przedmioty.

Niezwykłe było jedno; piekielnie bolała go kostka.

Podłoga znajdowała się nie tylko dziesięć centymetrów niżej, niż pamiętał, znajdowała się na zupełnie innej planecie, zaskoczyło go jednak tylko tych dziesięć centymetrów. Redakcję *Autostopem przez Galaktykę* nieraz przenoszono na inne planety z powodu warunków klimatycznych, lokalnych nieporozumień, rachunków za prąd czy ponagleń do zapłacenia podatku, za każdym jednak razem odtwarzano ją z dokładnością niemal co do molekuly. Dla większości pracowników firmy wygląd ich gabinetów był w końcu jedyną stałą w ich mocno poszatkowanych indywidualnych światach.

Mimo wszystko w otoczeniu było coś dziwnego.

Ford uznał, że właściwie to nic zaskakującego, i wyciągnął lekki ręcznik służący do rzucania. W jego życiu wszystko było mniej lub bardziej dziwne, tyle tylko że tutaj było dziwnie nieco inaczej, niż był do tego przyzwyczajony, tu było... no cóż – kuriozalnie. Jeszcze nie umiał dokładnie określić, na czym to polegało.

Wyjął klucz wzorcowy numer 3.

Alarmy wyły w doskonale znany mu sposób. Brzmiały jak melodia, którą mógłby nucić z pamięci. Wszystko w środku było doskonale znane. Świat na zewnątrz był czymś zupełnie nowym, nigdy jeszcze nie był na Sakro-Filia Hensza, ale planeta spodobała mu się. Panowała tu karnawałowa atmosfera.

Wyciągnął z torby dziecięcy łuk i strzałę, kupione od ulicznego handlarza. Szybko odkrył, że panujący tu karnawałowy nastrój bierze się stąd, iż mieszkańcy świętują rocznicę

Przypuszczenia Świętego Antwelm. Za życia święty Antwelm był potężnym i lubianym królem, który wysunął bardzo ważne i lubiane przypuszczenie. Król Antwelm przypuścił, że świat tak naprawdę życzy sobie z całego serca jedynie tego, by być szczęśliwym, dobrze się bawić i jak najprzyjemniej spędzać czas, w zamian za to byłby gotów zrezygnować ze wszystkiego innego. W testamencie kazał cały swój majątek przeznaczyć na organizowanie co roku w rocznicę Przypuszczenia wielkiej fety, w trakcie której można było dobrze zjeść, potańczyć i pobawić się w niemądre gry typu „łap wocketa”. Przypuszczenie było tak znakomite, że król został za nie kanonizowany. Mało tego – wszyscy dotychczasowi święci, którzy zostali kanonizowani albo za to, że dali się w nędzny sposób ukamienować, albo za to, że wegetowali przez lata głową w dół w beczce z gnojem, zostali zdegradowani i uznani za kłopotliwe indywidua.

Kiedy Ford przyleciał na planetę, podobna do litery H budowla redakcji *Autostopem*, złożona z dwóch wieżowców, dominowała nad przedmieściami w zwykły dla siebie sposób; Ford wszedł do środka również w zwykły dla siebie sposób. Od wchodzenia przez hol preferował wchodzenie systemem wentylacyjnym, hol bowiem patrolowały roboty, których zadanie polegało na wyciąganiu od przybywających pracowników informacji na temat ich kont służbowych. Konta Forda miały sławę bardzo skomplikowanych i wyjątkowo trudnych do rozeznania; w końcu doszedł do wniosku, że grasujące po holu roboty, niestety, nie dysponują wystarczającymi potencjałami umysłowymi, aby pojąć argumenty, jakie zamierzał wysunąć dla uzasadnienia sytuacji na swoich kontaktach. Z tego powodu wolał wkraczać do redakcji inną drogą.

Powodowało to, że niemal w całym budynku, z wyjątkiem księgowości, włączały się alarmy, ale Fordowi bardzo to odpowiadało.

Kucnął za szafą, polizał znajdującą się na czubku strzałę przyssawkę i pieczołowicie przyłożył ją do cięciwy.

Nie minęło pół minuty, jak pojawił się nie większy od melona robot nadzorczy, lecący mniej więcej półtora metra nad ziemią. Leciał korytarzem, rozglądając się na lewo i prawo, szukał czegoś niecodziennego.

Ford wypuścił strzałę w idealnie obliczonym momencie. Śmignęła przez korytarz i przykleiła się do przeciwległej ściany. Kiedy przelatowała obok robota, jego czujniki natychmiast ją wychwyciły i robot obrócił się o dziewięćdziesiąt stopni, by obejrzeć obiekt i stwierdzić, co to, do diabła, jest oraz dokąd leci.

Właśnie to dało Fordowi sekundę za czujnikowymi plecami cybermatu. Zarzucił na robota ręcznik i złapał go w potrzask.

Ponieważ robot był przyozdobiony wypustkami licznych czujników, był w stanie szarpać się jedynie w tył i w przód, nie mógł pod ręcznikiem manewrować, ani tym bardziej odwrócić się i spojrzeć swemu oprawcy w oczy.

Ford szybkim zamachem przyciągnął robota do siebie i przygniótł do podłogi. Robot zaczął rozdzierająco skamleć. Zręcznym, wypracowanym ruchem Ford wsunął klucz wzorcowy numer 3 pod ręcznik i podniósł znajdującą się na szczycie robociej kuli plastikową klapkę, za którą kryły się obwody logiczne maszyny.

Logika jest świetną rzeczą, ma jednak – co wykazała ewolucja – kilka wad.

Wszystko, co logicznie myśli, może zostać oszukane przez coś, co myśli przynajmniej tak samo logicznie. Najprostszym sposobem stuprocentowo logicznego oszukania robota jest podawanie mu ciągle tego samego zestawu bodźców, co spowoduje, że zapłacze się w błędnym kole. Zademonstrowano to po raz pierwszy w sławnym, przeprowadzonym kilka tysięcy lat temu w MIPIMBNOZ-ie (Maximegalońskim Instytucie Powolnego i Męczeńskiego Badania Nieoczekiwane Oczywistych Zjawisk) eksperymencie z kanapką ze śledziem.

Zaprogramowano robota tak, by sądził, że lubi kanapki ze śledziem. (Była to najtrudniejsza część eksperymentu.) Następnie położono przed nim kanapkę ze śledziem i robot natychmiast pomyślał: „Oj! Kanapka ze śledziem! Lubię kanapki ze śledziem!” Schylił się, podniósł kanapkę, wsunął ją sobie w przykryty klapką otwór do wsadzania kanapek ze śledziem i wyprostował się. Na nieszczęście został tak skonstruowany, że prostowanie ciała powodowało wypadanie kanapki z otworu i jej lądowanie pod jego nogami. Robot więc natychmiast pomyślał: „Oj! Kanapka ze śledziem!” i tak dalej i całe działanie odbywało się od nowa. Kanapka nie zanudziła się w kurzu na śmierć i nie odpelzła w poszukiwaniu ciekawszych sposobów spędzania czasu, tylko dlatego że składała się jedynie z dwóch kromek chleba i martwej ryby i jeszcze mniej od robota zdawała sobie sprawę z tego, co się dzieje.

W ten sposób naukowcy odkryli siłę napędową wszelkich zmian, rozwoju wszechświata i postępu w życiu: kanapki ze śledziem. Opublikowali na ten temat artykuł, został on jednak wyśmiany jako wybitnie głupi. Zweryfikowali dane i stwierdzili, że w rzeczywistości odkryli „nudę”, czy raczej jej funkcję praktyczną. Uskrzydleni tym przełomowym odkryciem, zaczęli odkrywać kolejne uczucia: „drażliwość”, „depresję”, „niechęć”, „wstręt” i inne. Do kolejnego przełomu doszło po rezygnacji w trakcie badań z używania kanapek ze śledziem. Nagle okazało się, że wyzwoliło to mnóstwo nowych emocji, takich jak „ulga”, „radość”, „swoboda”, „apetyt”, „zadowolenie” i – co najważniejsze – „dążenie do szczęścia”.

Ostatnie było największym przełomem.

Nagle okazało się, że można w bardzo prosty sposób zastąpić mnóstwo niezwykle skomplikowanych programów, koniecznych do sterowania robotami w najróżniejszych sytuacjach. Wystarczało wyposażyć roboty w zdolność nudzenia się albo cieszenia i spełnić kilka prostych warunków, sprowadzających jeden lub drugi stan. Resztę załatwiały same.

Robot, którego Ford więził pod ręcznikiem, nie był – przynajmniej w tej chwili – szczęśliwym robotem. Był szczęśliwy, kiedy mógł się poruszać. Był szczęśliwy, kiedy mógł

widzieć. Był szczególnie szczęśliwy, widząc coś, co się poruszało, zwłaszcza jeśli poruszające się coś robiło rzeczy zakazane. Wtedy robot mógł z największą radością o tym zameldować.

Ford zaraz sobie z tym poradzi.

Kucał nad robotem i trzymał go między kolanami. Ręcznik w dalszym ciągu zakrywał wszystkie czujniki, Ford odsłonił już jednak obwody logiczne. Robot pomrukiwał smętnie i wydawał z siebie cierpiętnicze odgłosy, był jednak w stanie jedynie nędznie się szarpać. Ford podważył kluczem chipa. W momencie, kiedy go wyjął, robot zamilkł i popadł w śpiączkę.

Wyjęty przez Forda chip zawierał rozkazy dotyczące warunków, jakie musiały być spełnione, by robot był szczęśliwy. „Szczęście” osiągał wtedy, gdy z kontaktu znajdującego się po lewej stronie docierał drobny elektryczny impuls do kontaktu po prawej stronie. O tym, czy impuls dotrze, decydował chip.

Ford wyciągnął z ręcznika cienki drucik. Jeden jego koniec wetknął w lewy górny punkt gniazdka, drugi w prawy dolny. Koniec roboty. Od tej chwili robot będzie szczęśliwy bez względu na to, co się będzie działo.

Ford wstał i ściągnął ręcznik. Chwiejąc się na boki, robot wzleciał nad ziemię. Obrócił się i zauważył Forda.

– Pan Prefect! Tak się cieszę, że pana widzę!

– To ja się cieszę, że cię widzę, przyjacielu.

Robot natychmiast złożył do centrali raport, że wszystko w tym najlepszym ze wszystkich możliwych światów jest w najlepszym porządku; na skutek tego alarmy zamilkły i wszystko wróciło do normy.

No, prawie wszystko.

Było coś dziwnego w wyglądzie otoczenia.

Robocik zachłystywał się elektroniczną rozkoszą. Ford szedł szybko korytarzem, robot leciał za nim podskakując; bez przerwy opowiadał, jakie wszystko jest wspaniałe i jak bardzo jest szczęśliwy, że może o tym opowiadać.

Ford nie był szczęśliwy.

Mijał ludzi, których nie znał. Nie wyglądali na swojaków. Byli zbyt dobrze ubrani. Mieli zbyt martwe oczy. Za każdym razem, kiedy zobaczył w oddali kogoś znajomego i podbiegał, by się przywitać, z bliska stwierdzał, że to ktoś inny, ze znacznie lepszą fryzurą i znacznie bardziej zaciętym wyrazem twarzy od... no tak, każdego znajomego Forda.

Schody były przesunięte kilka centymetrów w lewo. Sufit był nieco niższy. Hol przebudowano. Nie było to niepokojące, jedynie nieco dziwne. Niepokojem napawał wystrój. Z założenia miał być nachalny i papuzi, a poza tym drogi, ponieważ *Autostopem* sprzedawało się doskonale w całym cywilizowanym i postcywilizowanym świecie. Drogi, ale dowcipny. W korytarzach ustawiono szeregi najdziwniejszych automatów do gry. Z sufitów zwisały idiotycznie pomalowane fortepiany, w basenach znajdujących się na wewnętrznych



podwórkach kotłowały się odrażające morskie stwory z planety Viv, korytarze przemierzały roboty-lokaje, poszukujące dłoni, w które mogłyby wcisnąć pieniące się drinki. Ludzie prowadzili na smyczy smoki, w biurach na kurzych grzędach trzymali wiroloty. Wiedziano, jak się bawić, kto zaś nie wiedział, mógł nauczyć się tego na kursach doszkalających.

Po tym wszystkim nie było śladu.

Ktoś wziął się za budynek i poddał go inkwizycyjnej kuracji.

Ford ostro skręcił, wszedł do wnęki, kiwnął ręką i przyciągnął do siebie robota. Kucnął i spojrzał surowo na paplającego cybernautę.

– Co tu się stało?

– Oj, same piękne rzeczy, panie Prefect. Najpiękniejsze, jakie można sobie wyobrazić. Mogę usiąść panu na kolanach?

– Nie! – krzyknął Ford, odrzucając intruza na bok.

Zachwycony brutalnym odrzuceniem, robot zaczął podskakiwać i trajkotać i popadł w absolutny zachwyty. Ford znów go złapał i przytrzymał na wyciągniętej dłoni. Robot starał się zachowywać spokojnie, ale nie był w stanie powstrzymać delikatnego dygotu.

– Coś tu się zmieniło, nie? – syknął Ford.

– Oczywiście! – pisnął robocik. – W cudowny i wspaniały sposób. Nie jestem w stanie wyrazić, jak mi się to podoba.

– A jak tu było przedtem?

– Ekstra.

– I mimo to podoba ci się tak, jak jest teraz?!

– Wszystko mi się podoba – westchnął robot. – Zwłaszcza to, jak pan na mnie krzyczy. Proszę jeszcze raz na mnie nakrzyczeć...

– Gadaj, co się stało!!!

– Dziękuję, dziękuję...

Ford westchnął.

– Dobrze, już mówię... – dyszał robot. – *Autostopem* zostało przejęte. Kierownictwo jest nowe. Mógłbym się rozpląnąć, takie to świetne. Stare kierownictwo, oczywiście, też było doskonałe, choć nie wiem, czy wtedy tak uważałem.

– Wtedy nie miałeś w głowie drucika.

– Zapewne. To cudownie prawdziwe. Wspaniale, perliście, pieniąco, bulgocząco prawdziwe. Cóż za wywołujące najwyższy zachwyty, złotousto stwierdzenie!

– Co się stało? – spytał ponownie Ford. – Co to za nowe kierownictwo? Kiedy przejęli interes? Co... ach, dajmy sobie spokój. – Machnął ręką, robocik znów bowiem zaczął trajkotać bez opamiętania i ocierać się Fordowi o udo. – Cóż, sam się dowiem.

Ford rzucił się na drzwi gabinetu redaktora naczelnego. Kiedy framuga pękła i puściła, przykucnął, zwinął się w maleńką kulkę i potoczył do miejsca, w którym zwykle stał barek na kółkach, zastawiony paroma najmocniejszymi i najdroższymi w Galaktyce trunkami. Złapał

go i zastawiając się nim jak tarczą, potoczył go przez otwartą przestrzeń pośrodku biura do miejsca, gdzie stała droga, choć niezwykle wulgarna rzeźba Ledy z kałamarnicą, i skrył się za nią. Robocikowi nadzorcemu, który wleciał za Fordem i unosił się na wysokości piersi dorosłego człowieka, samobójczą radość sprawiało branie na siebie ognia zaporowego.

Tak wyglądał plan, a był niezbędny. Obecny redaktor naczelny, Stagyar-zil-Doggo, był niebezpiecznie niezrównoważonym osobnikiem z morderczymi skłonnościami wobec pracowników, którzy zjawiali się w jego biurze bez świeżych, gotowych do druku materiałów. Dla odstraszenia tych, którzy nie mogli służyć nowym materiałem, lecz jedynie listą powodów, dlaczego nic nie napisali, miał arsenał broni laserowej, połączonej ze specjalnym urządzeniem we framudze drzwi. Dzięki temu firma miała zapewniony intensywny dopływ materiałów.

Niestety, nie było barku na kółkach.

Ford rozpaczliwie rzucił się w bok, fikając koziołki w kierunku Ledy z kałamarnicą, niestety, rzeźby też nie było. Przerażony i ogarnięty paniką wirował po pokoju; potknął się, stracił równowagę, huknął w okno, na szczęście zrobione z przeciwrakietowego szkła, odbił się i poobijany i wycieńczony padł za elegancką, szarą, obitą gniecioną skórą kanapę, której dawniej tu nie było.

Po kilku sekundach wyjrzał ostrożnie znad kanapy. Nie tylko brakowało barku na kółkach i Ledy z kałamarnicą, ale jakby brakowało też ognia zaporowego. Zmarszczył czoło. Wszystko było nie tak.

– Pan Prefect, jak mniemam – powiedział jakiś głos.

Głos należał do pedantycznie ogolonego jegomościa, skulonego za wielkim biurkiem z ceramotiku. Stagyar-zil-Doggo był może i niezwykłym facetem, ale nikt – i to z wielu powodów – na pewno nie określiłby go jako pedantycznie ogolonego. Człowiekiem za biurkiem nie był Stagyar-zil-Doggo.

– Ze sposobu, w jaki pan wszedł, wnoszę, że nie dysponuje pan nowym materiałem dla... eee... *Autostopem* – powiedział wygolony osobnik. Trzymał łokcie na stole i stykał duże palce dłoni w sposób, który z niewiadomego powodu nie został dotychczas uznany za gorszący.

– Byłem zapracowany – powiedział Ford dość niemrawo. Wstał z wysiłkiem i otrzepał ubranie. Zaczął się zastanawiać, dlaczego usprawiedliwia się tak niemrawo. Musi przejąć inicjatywę. Musi się dowiedzieć, kim, do diabła, jest ten człowiek. Nagle wpadł na pomysł, jak to zrobić.

– Kim pan, do diabła, jest? – zapytał.

– Pańskim nowym redaktorem naczelnym. Oczywiście, jeśli zdecydujemy się korzystać dalej z pańskich usług. Nazywam się Vann Harl. – Nie wyciągnął ręki, ale dodał: – Co zrobił pan robotowi?

Robocik powoli, bardzo powoli przetaczał się pod sufitem to w lewo, to w prawo. Cicho pojękiwał.

– Uszczęśliwiłem go – prychnął Ford. – Uważam uszczęśliwianie innych za życiową misję. Gdzie Stagyar? Co ważniejsze – gdzie barek?

– Pan zil-Doggo nie należy już do naszej organizacji. Wyobrażam sobie, że zawartość barku pomaga mu pogodzić się z tym faktem.

– Organizacji? – wrzasnął Ford. – Organizacja! Co za kompletnie idiotyczne słowo na określenie tego interesu!

– Byliśmy tego samego zdania. Niedostatek struktury, nadmiar kosztów, brak efektów, nadmiar alkoholu. I to tylko w przypadku samego redaktora naczelnego.

– Hej, ja tu jestem od robienia dowcipów! – wtrącił Ford.

– Nie – zaprzeczył Harl. – Pan zajmie się restauracjami. – Rzucił na biurko kawałek plastyku.

Ford nie zrobił najmniejszego ruchu, by po niego sięgnąć.

– Pan... co?! – spytał Ford.

– Nie. Ja Harl. Pan Prefect. Pan robić kolumna o restauracjach. Ja wydawca. Ja siedzieć i mówić, że pan robić kolumna o restauracjach. Jasne?

– Kolumnę o restauracjach? – Ford był zbyt zaskoczony, by móc się wściec.

– Siadać, Prefect! – Harl obrócił się wraz z fotelem, wstał, podszedł do okna i zaczął obserwować małe plamki, które dwadzieścia trzy piętra niżej świeciły karnawał. – Czas, byśmy postawili biznes na nogi, Prefect. My z przedsiębiorstwa „NieskończoMęt”...

– My skąd?

– „NieskończoMęt”. Kupiliśmy *Autostopem*.

– Nieskończoment?! –

– Nazwa kosztowała nas miliony, Prefect. Natychmiast pan ją polub, albo zaczynaj się pakować.

Ford wzruszył ramionami. Nie miał co pakować.

– Wszechświat się zmienia – mówił Harl – i musimy zmieniać się razem z nim. Dostosowywać do wymogów rynku. Rynki zbytu ekspandują. Nowe cele, nowe metody. Przyszłość...

– Proszę nie mi nie mówić o przyszłości. Zwiedziłem ją całą. Spędziłem w niej pół życia. W przyszłości jest tak samo jak gdziekolwiek. Tak samo jak kiedykolwiek. Dzieją się takie same bzdury, jedynie w nieco szybszych samochodach i gorszym powietrzu.

– To tylko jedna z przyszłości. Pańska, jeśli się pan z nią pogodzi. Musi pan zacząć myśleć wielowymiarowo! W tej chwili we wszystkich możliwych kierunkach rozprzestrzenia się niezliczona liczba przyszłości! I w tej! I w tej też! Miliardy rozgałęziających się co chwila przyszłości! Z każdej pozycji każdego elektronu wypączkowują miliardy możliwości! Miliardy, biliony świetlanych, rozbłyskających wszystkimi kolorami tęczy przyszłości! Wie pan, co to oznacza?

– Obślinił pan sobie brodę.

– Miliardy, biliony nowych rynków!

– Rozumiem. Na których sprzeda pan miliardy albo biliony egzemplarzy *Autostopem*.

– Nie. – Harl szukał chusteczki, ale nie mógł jej znaleźć. – Proszę mi wybaczyć, ale to mnie zawsze tak emocjonuje... – Ford podał mu swój ręcznik. – Powodem, dla którego nie sprzedamy miliardów ani bilionów przewodników – powiedział Harl, wytarłszy sobie usta – są koszty. Zamiast tego sprzedamy miliardy albo biliony razy ten sam egzemplarz. Wykorzystamy wielowymiarową strukturę wszechświata i w ten sposób zmniejszymy koszty. Poza tym nie będziemy sprzedawać *Autostopem* autostopowiczom bez grosza przy duszy. Co to w ogóle był za idiotyczny pomysł! Wybrać sobie grupę konsumencką, która z definicji nie ma pieniędzy! Koniec z tym. W miliardach i bilionach przyszłości skoncentrujemy się na zamożnych podróżujących biznesmenach i ich uwielbiających urlopy żonach. To najbardziej radykalna, najdynamiczniejsza i najambitniejsza operacja handlowa w wielowymiarowej nieskończoności wszystkich możliwych prawdopodobieństw czasoprzestrzennych.

– A ja mam być krytykiem gastronomicznym?

– Cenilibyśmy sobie wielce możliwość współpracy z panem.

– Zabij! – wrzasnął Ford.

Rozkaz dotyczył ręcznika.

Ręcznik wyskoczył Harlowi z dłoni.

Nie zrobił tego oczywiście sam, to Harl wyrzucił go przed siebie, przerażony perspektywą, że ręcznik mógłby zrobić coś podobnego. Następną rzeczą, jaka go przerażała, był widok lecącego na niego z wyciągniętymi pięściami krytyka gastronomicznego. Faktycznie Ford jedynie sięgał po leżącą na biurku kartę kredytową, nie można jednak w takiej organizacji, w jakiej pracował Harl, osiągnąć stanowiska, jakie piastował, bez zdrowego, paranoidalnego stosunku do życia. Uznał za przezorne i rozsądne rzucić się do tyłu. Na skutek tego huknął potylicą w szybę z przeciwrakietowego szkła i osunął się na podłogę w objęcia niespokojnych, bardzo prywatnych snów.

Ford leżał na biurku i dziwił się, jak bezproblemowo wszystko przebiegło. Rzucił okiem na kawałek plastyku, wcześniej leżący na stole, teraz znajdujący się w jego ręku. Była to najbardziej ekscytująca rzecz, jaką widział w życiu: karta kredytowa, na której wybito jego nazwisko i dwuletnią datę ważności. Włożył kartę do kieszeni. Przeczłogał się po biurku, by rzucić okiem na Vann Harla.

Oddychanie nie sprawiało mu trudności. Ford doszedł do wniosku, że Harlowi będzie jeszcze łatwiej oddychać, jeśli nic nie będzie go uciskać w pierś, sięgnął więc do wewnętrznej kieszeni ubrania nieprzytomnego i wyciągnął portfel. Zaczął go przeglądać. Spora sumka w gotówce. Odznaki honorowe. Karta członkowska klubu ultragolfa. Dalsze karty członkowskie. Zdjęcia kobiety z dziećmi – prawdopodobnie jego rodziny, choć trudno być pewnym do końca; intensywnie pracujący menedżerowie często z braku czasu wynajmowali rodziny jedynie na weekendy.

Ha!

Miał w ręku rzecz zupełnie niepojętą.

Powoli wyciągnął spomiędzy pliku pokwitowań niezwykle ekscytujący kawałek plastyku.

Prawdę mówiąc, nie wyglądał ekscytująco. Wyglądał wręcz nudno. Był nieco mniejszy i grubszy od karty kredytowej, półprzezroczysty. Podniesiony pod światło, ukazywał holograficznie zakodowane słowa i rysunki, umieszczone pozornie kilka centymetrów pod powierzchnią.

Był to identołatwizer. Noszenie czegoś takiego w portfelu to wybitna nieprzyzwoitość i głupota, choć nietrudno było zrozumieć Harla. W obecnych czasach jest się tak niesamowicie często zmuszonym do jednoznacznego dokumentowania na najróżniejsze sposoby swej tożsamości, że już z tego powodu może się odechcieć żyć, nie wspominając o poważnych trudnościach egzystencjalnych z zachowaniem spójnego poczucia własnego ja w tak wieloznacznym epistemologicznie wszechświecie.

Weźmy na przykład automaty do gry. Stały przed nimi długie kolejki ludzi czekających, by sprawdzono im linie papilarne lub tęczę, wycięto z karku kawałek skóry, przeprowadzono natychmiastową analizę genetyczną (może niezupełnie „natychmiastową”, w rzeczywistości trwała sześć, siedem sekund), a na końcu pytano w podchwytliwy sposób o członków rodziny, których nawet nie pamiętali, albo o ulubione kolory obrusów. Wszystko to odbywało się jedynie dlatego, żeby zdobyć parę groszy na weekend. Procedura stawała się jeszcze bardziej uciążliwa, gdy chciało się wziąć kredyt na kupno odrzutowca, podpisać umowę na wycieczkę rakieta albo zapłacić rachunek w restauracji.

Tak wymyślono identołatwizer. Mając coś takiego, posiadało się wielofunkcyjną, możliwą do odczytania przez wszystkie czytniki plastikową pamięć, nadającą się do noszenia w portfelu i zawierającą wszystkie informacje o życiu i ciele właściciela. Identołatwizer był bez wątpienia największym triumfem techniki nad samą sobą i nad zdrowym rozsądkiem.

Ford wetknął kartę do kieszeni. Właśnie wpadła mu do głowy niezła myśl. Zastanawiał się, kiedy Harl odzyska przytomność.

– Hej ty! – zawołał na robocika, który w euforii unosił się pod sufitem. – Chcesz pozostać szczęśliwy?

Robot wycharczał, że tak.

– To leć za mną i rób, co każę.

Robot podziękował bardzo uprzejmie, stwierdził jednak, że czuje się pod sufitem znakomicie. Nigdy nie zdawał sobie sprawy, ile rozkoszy może dać sufit, i chciałby teraz jak najdokładniej przebadać swą euforię względem sufitów.

– Jeśli zostaniesz – przerwał mu paplaninę Ford – złapią cię i znów wsadzą ci chipa warunkującego. Jeżeli chcesz pozostać szczęśliwy, leć za mną.

Robot wydał z głębi duszy pełne bezgranicznego smutku westchnienie i spłynął niechętnie z góry.

– Słuchaj, mały – powiedział Ford. – Jesteś w stanie uszczęśliwić na jakiś czas system ochrony?

– Dzielone szczęście to podwójne szczęście – zatrajkotał robocik. – Roznosi mnie, przepełnia, kipi we mnie szczęś...

– Dobra, dobra. Rozsiej jedynie trochę szczęścia w sieci. Nie udzielaj żadnych informacji. Zrób system tak szczęśliwym, by nie wpadł na pomysł o cokolwiek zapytać.

Ford wziął ręcznik ze stołu i radośnie podszedł do drzwi. Ostatnio jego życie było nieco ospałe. Wszystko wskazywało jednak na to, że jest teraz na najlepszej drodze, by stało się bardziej interesujące.

## Rozdział 7

Artur Dent poznał w życiu niejedno, ale nigdy jeszcze nie był na lotnisku, witającym pasażerów napisem PODRÓŻOWANIE BEZ CELU JEST ZNACZNIE LEPSZE NIŻ DOTARCIE TUTAJ. Drugim elementem powitalnym w hali przylotów było zdjęcie uśmiechniętego prezydenta planety, która nazywała się AToCo. Było to jedyne zdjęcie prezydenta, jakie udało się znaleźć; ponieważ zostało zrobione tuż po tym, jak strzelił sobie w głowę, mimo wielkich wysiłków włożonych w retusz, uśmiech wyglądał nieco upiornie. Brakującą połowę głowy domalowano kredkami. Nie zmieniano zdjęcia, bo nie udało się znaleźć innego prezydenta. Mieszkańcy planety mieli tylko jeden cel w życiu – zniknąć stąd.

Artur wynajął pokój w moteliku na skraju miasta, usiadł przygnębiony na brzegu wilgotnego łóżka i zaczął przeglądać broszurę informacyjną, też wilgotną. Napisano w niej, że planeta AToCo została tak nazwana od słów, jakie wypowiedzieli pierwsi kolonizatorzy, którzy odkryli ją po latach świetlnych podróży po najodleglejszych, niezbadanych zakamarkach Galaktyki. Stolica planety nazywała się NoToŁadnie, innych godnych wspomnienia miast nie było. Kolonizacja AToCo nie była szczególnym sukcesem, mieszkający tu ludzie nie należą do takich, jakich chciałoby się widywać.

W broszurze napisano o handlu. Planeta handlowała głównie skórami atocowych świń błotnych, niezbyt jednak skutecznie, ponieważ nikt, kto jest przy zdrowych zmysłach, nie interesuje się skórami atocowych świń błotnych. Branża utrzymywała się – choć była na skraju przepaści – jedynie dzięki temu, że we wszechświecie jest spora liczba istot nie będących przy zdrowych zmysłach. Jeśli chodzi o współpasażerów z małej kabiny statku, którym przyleciał, Artur nie czuł się zbyt dobrze w ich obecności.

Broszura przedstawiała fragmenty historii planety. Autor rozpoczął od zrobienia planecie reklamy, chcąc wywołać u czytelników odrobinę zachwytu. Na początku podkreślił z naciskiem, że na AToCo nie zawsze jest zimno i wilgotno, ponieważ jednak nie umiał już dodać nic pozytywnego, dość szybko popadł w niesamowicie ironiczny styl.

Była tu mowa o pierwszych latach kolonizacji. Według broszury życie na AToCo składało się głównie z łapania, obdzierania ze skóry i jedzenia atocoskich świń błotnych – jedynego istniejącego jeszcze na planecie gatunku zwierząt, wszystkie inne wyginęły bowiem

z rozpaczy. Świnie błotne były to nieduże, kąśliwe potworki; jedyną granicą dzielącą je od niejadalności była konieczność utrzymania życia na AToCo. Jaki więc można było mieć motyw, by postanowić osiąść na AToCo? Nie było go. Nie istniał. Nawet próba zrobienia ze skór świń błotnych jakiegoś ubrania była ćwiczeniem się w bezsensie i rozczarowaniu, ponieważ z niewiadomego powodu skóry były cienkie i przepuszczały wodę. Powodowało to wśród kolonistów liczne dyskusje. Dzięki jakiej tajemnej sztuczce świnie błotne utrzymują ciepło? Gdyby komuś udało się zrozumieć ich język, dowiedziałby się, że nie kryje się za tym żadna sztuczka. Świnie błotne były tak samo przemoczone i przemarznięte jak reszta istot na planecie. Nikt jednak nie czuł najmniejszej potrzeby uczenia się języka świń błotnych, bo porozumiewały się za pomocą bardzo silnych ugryzień w uda. Poza tym na podstawie ich zachowania łatwo było się domyślić, co świnie błotne mają do powiedzenia o warunkach życia na AToCo.

Artur przekartkował dalej, aż znalazł, czego szukał. Znalazł kilka map planety. Choć były bardzo uproszczone i toporne – widocznie uznano, że nikomu nigdy się na nic nie przydadzą – uzyskał odpowiedzi na swe pytania.

Mapy wydały mu się na początku dość osobliwe, wynikało to stąd, że nie spostrzegł, iż zostały dziwnie – przynajmniej jak na jego gust – wydrukowane: do góry nogami. Góra i dół, północ i południe są, oczywiście, ustalone całkowicie arbitralnie, jesteśmy jednak przyzwyczajeni tak widzieć świat. Artur musiał odwrócić broszurę o sto osiemdziesiąt stopni, by odczytać mapy.

Z lewej strony mapy u góry znajdował się potężny, zwężający się ku dołowi kontynent, przechodzący na południu w monstrualny przecinek. Z prawej strony było widać wielkie, pomieszane w znajomy sposób kontury. Nie były zupełnie takie same i Artur nie wiedział, czy wynika to z niedokładności mapy, wyższego poziomu wody w oceanach czy też z tego, że wszystko jest tu inne. W każdym razie dowód był jednoznaczny.

Z pewnością była to Ziemia.

Dokładnie mówiąc – jednoznacznie nie była to Ziemia.

Planeta wyglądała jak Ziemia i miała te same współrzędne w czasie i przestrzeni, osobnym problemem było jednak, jakie ma współrzędne prawdopodobieństwa.

Artur westchnął.

Bliżej ojczyzny już być nie mógł, ale równocześnie nie mógł być już od niej bardziej oddalony. Przygnębiony zamknął broszurę i zaczął się zastanawiać, co robić.

Pozwolił sobie na głuchy śmiech z tego, o czym właśnie pomyślał. Popatrzył na swój staromodny zegarek i potrząsnął nadgarstkiem, by go nakręcić. By tutaj dotrzeć, potrzebował roku, licząc oczywiście w jego osobistej skali czasu. Rok od wypadku w hiperprzestrzeni, w którym zniknęła Fenchurch. Siedziała sobie spokojnie obok niego w skokolocie, statek skoczył rutynowo w hiperprzestrzeń; kiedy po chwili odwrócił się do niej, fotel był pusty. Nawet nie był ciepły. Nie było jej nawet na liście pasażerów.



Towarzystwo lotów raketowych przyjęło skargę z nieufnością. W trakcie lotów kosmicznych często zdarzają się przedziwne rzeczy – wiele z nich oznacza duże wynagrodzenia dla adwokatów. Kiedy go zapytali, z którego sektora galaktycznego przylecieli, i odpowiedział, że z ZZ 9 Plural Z Alfa, rozluźnili się tak wyraźnie, iż Arturowi zrobiło się niemiło. Nawet się trochę pośmiali. Współczująco, ale jednak. Zwrócili mu uwagę na punkt w regulaminie przewozów osób, zalecający wszystkim urodzonym w strefach pluralowych rezygnację z podróży w hiperprzestrzeni i stwierdzający, że odbywa się to na ich własne ryzyko. „Przecież każdy o tym wie” – twierdzili. Zaslaniając usta dłońmi, chichotali oraz kręcili głowami.

Wychodząc z biura firmy raketowej, Artur czuł delikatne drżenie. Nie wynikało ono tylko z tego, że tak zupełnie i ostatecznie stracił Fenchurch. Miał coraz silniejsze wrażenie, że im dłużej podróżuje po Galaktyce, tym więcej odkrywa rzeczy, o których nie ma zielonego pojęcia albo których kompletnie nie rozumie.

Teraz siedział w motelowym pokoju i zagłębiał się w smutnych wspomnieniach. Usłyszał pukanie do drzwi, które natychmiast się otworzyły. Na korytarzu stał gruby, obdarty mężczyzna z neseserem Artura w ręku. Udało mu się powiedzieć jedynie „Gdzie mam posta...”, kiedy coś na niego gwałtownie skoczyło. Grubas huknął o framugę i zaczął strząsać z siebie niedużego stwora z parszywą sierścią, który prychnąwszy wyprysnął z wilgotnej ciemności i mimo grubej warstwy skórzanych łat, wbił mu zęby w udo. Stwór coraz bardziej wgryzał się w udo mężczyzny, czemu towarzyszyły głośne, tępe razy. Mężczyzna darł się wniebogłosy i pokazywał na stojącą obok drzwi pękatą pałkę. Artur chwycił pałkę i uderzył świnię bagienną w łeb.

Świnia natychmiast puściła udo mężczyzny i oszołomiona oraz nieszczęśliwa zatoczyła się na środek pokoju. Przestraszona skuliła się w kącie, ogon wcisnęła między tylne łapy i patrzyła nerwowo na Artura. Raz za razem jej łeb podrygiwał w jedną stronę. Wyglądało na to, że ma wybitą szczękę. Popiskiwała cichutko i skrobała wilgotnym ogonem o podłogę. Mężczyzna, który przyniósł neseser Artura, siedział przy drzwiach na podłodze, kłął i próbował zahamować krwawienie z uda. Deszcz już wcześniej przemoczył mu ubranie.

Artur patrzył niezdecydowanie na świnię bagienną. Świnia patrzyła pytająco. Wydając z siebie pełne skargi pojękiwania, próbowała się zbliżyć. Poruszyła szczęką z wyraźnym bólem. Jednym susem skoczyła Arturowi na udo, z powodu wybitej szczęki nie była jednak w stanie wgryźć się w nie i opadła, smutno pojękując, na ziemię. Grubas wstał, złapał pałkę i zaczął tłuc w łeb świni, aż zmienił się w lepka, miękką breję, która rozmazała się na wytartym dywanie. Ciężko oddychając, stał nad martwym zwierzęciem, jakby wyzywał je do zrobienia jeszcze jednego, ostatniego ruchu. Poblaskujące w zmiażdżonym łbie samotne ślepie patrzyło na Artura z wyrzutem.

– Jak pan sądzi, co chciała nam powiedzieć? – spytał Artur słabo.

– Nic szczególnego. To miał być objaw przyjaźni. A to – podniósł pałkę – nasz sposób reagowania na takie objawy.

– Kiedy odlatuje stąd następna maszyna?

– Myślałem, że właśnie pan przyjechał.

– Zgadza się, ale nie zamierzałem zostać długo. Chciałem jedynie sprawdzić, czy jestem w odpowiednim miejscu. Niestety.

– Chce pan powiedzieć, że jest pan na niewłaściwej planecie? – spytał smutno mężczyzna. – Dziwne, ile osób to mówi. Zwłaszcza spośród tych, co tu mieszkają... – Spoglądał na zwłoki świni z głębokim, dziedzicznym z pokolenia na pokolenie obrzydzeniem.

– Ależ skądże. Planeta jest właściwa. – Artur wziął ze stolika broszurę reklamową i wetknął ją do kieszeni. – Pan pozwoli, że wezmę neseser – powiedział, łapiąc rączkę walizki. Otworzył drzwi i wyszedł w zimną, wilgotną noc. – Oczywiście, że to właściwa planeta, ale niewłaściwy wszechświat.

Kiedy siedł na kosmodrom, krążył nad nim samotny ptak.

## Rozdział 8

Ford miał swój własny kodeks moralny. Może nie był on czymś szczególnym, ale stanowił jego własność i Perfect kierował się nim w życiu. Przynajmniej z grubsza. Jedną z jego zasad było, że nigdy nie płacił za drinki. Nie był do końca pewien, czy można to uznać za zasadę etyczną, ale jeśli się nie ma, co się lubi... Był zdecydowanym przeciwnikiem okrucieństwa wobec zwierząt, z wyjątkiem gęsi. Nigdy by nie okradł swego pracodawcy.

W każdym razie nie okradłby naprawdę.

Kiedy Ford rozliczał się z wydatków służbowych, a odpowiedzialny za rozliczanie jego kont księgowy nie zaczynał natychmiast gwałtownie oddychać i nie krzyczał „ratuj się, kto może”, Ford miał poczucie, że źle wykonał pracę. Kradzież była jednak czymś zupełnie innym – to tak, jakby ugryzło się rękę, która karmi. Wolno ją porządnie possać, nawet pieszczotliwie popodgryzać, ale nie wolno naprawdę ugryźć. Nie wolno tego robić, jeśli karmiącą ręką jest *Autostopem*. Przewodnik był czymś szczególnym i świętym.

„To jednak – myślał Ford, klucząc korytarzami, schylając się, jakby zaraz go miano ostrzelać – niebawem się zmieni i sami sobie będą winni”. Wystarczyło się rozejrzeć: wszędzie szeregi schludnych boksów-biur i komputerów, powietrze wypełnione smętnym buczeniem gnających elektronicznymi sieciami protokołów posiedzeń i notatek. Na zewnątrz ludzie szaleli w „łap wocketa”, tu jednak, w sercu redakcji *Autostopem*, nikt nawet nie kopał futbolówki ani nie nosił plażowych strojów w nieodpowiednich kolorach.

„NieskończoMęt”... – zżymał się Ford, przebijając się żwawo przez korytarze. Kolejne drzwi otwierały się przed nim bez problemu, jakby kierowane czarodziejską siłą. Windy zawoziły go radośnie w miejsca, w które nie powinny go zawozić. Ford starał się dotrzeć jak najdalej w głąb budynku, i to najbardziej skomplikowanymi i poplątanymi drogami. Jego szczęśliwy robocik spełniał swoje zadanie i we wszystkich systemach zabezpieczających, na jakie natrafiali, wywoływał fale bezgranicznego szczęścia.

Ford uznał, że małemu trzeba nadać jakieś imię; postanowił nazwać go „Emily Saunders” – na cześć dziewczyny, którą bardzo miło wspominał. Zaraz jednak uznał, że to absurdalne imię dla robota nadzorczego, i zdecydował się nazwać go „Colin” – na cześć psa Emily.

Znajdowali się głęboko we wnętrzu budynku, w strefach o coraz wyższych stopniach tajności, w których nigdy jeszcze nie był. Pracownicy wydawnictwa, których spotykał, rzucali mu zaskoczone spojrzenia. Na tym poziomie tajności nie spotyka się już ludzi, lecz „pracowników wydawnictwa”; wszyscy robili prawdopodobnie to, co mogą robić jedynie pracownicy wydawnictwa. Kiedy osobnicy ci wracają wieczorem do domu, stają się ponownie ludźmi; na zadawane przez dzieci pytanie: „Tato, co robiłeś cały dzień?”, odpowiadają: „Wykonywałem obowiązki należące do pracownika wydawnictwa”. Faktem jest, że za wesołą, beztroską fasadą, jaką *Autostopem* lubiło prezentować, wydarzało się mnóstwo wyjątkowo paskudnych historii. (Przynajmniej taką fasadę chętnie prezentowało, nim pojawiła się banda „NieskończoMętu”, która natychmiast zaczęła dopasowywać fasadę do brzydkiego wnętrza.) Cała dotychczasowa znakomita konstrukcja opierała się na rozlicznych oszustwach i sztuczkach podatkowych, łapówkach i dwuznacznych interesach; centrala kierowania tymi działaniami znajdowała się na najniższych, doskonale strzeżonych piętrach budynku, na poziomie badawczoanalitycznym.

*Autostopem* co kilka lat przenosiło swą siedzibę, a więc i budynek centrali, na inną planetę, gdzie natychmiast wybuchała radość i próżna euforia. Przewodnik natychmiast wrastał w kulturę i gospodarkę planety, tworzył miejsca pracy, nadawał planecie blask i posmak przygody, a fiskusowi płacił znacznie mniejsze podatki, niż spodziewali się miejscowi urzędnicy.

Gdy przewodnik przenosił się wraz z budynkiem dalej, robił to niemal tak jak złodziej w nocy, a właściwie tak samo jak złodziej w nocy. Zazwyczaj przewodnik znikał świtem, w ciągu najbliższych dni zaś okazywało się, że zniknęło z nim mnóstwo innych rzeczy. Po zniknięciu przewodnika ginęły – często w ciągu tygodnia – całe kultury i gospodarki, zdewastowane i zachwiane w posadach planety pustoszały, dziwnym jednak trafem pozostawało im poczucie, że brały udział w wielkiej przygodzie.

Pracownicy wydawnictwa, spotykani w coraz głębiej położonych strefach budynku, spoglądali w kierunku Forda ze zdumieniem, uspokajali się jednak na widok robocika, unoszącego się w ekstazie tuż nad jego głową i torującego mu drogę.

W jakiejś części budynku rozszalały się alarmy. Mogło to oznaczać, że znaleziono Vann Harla i że zaczną się kłopoty. Ford miał nadzieję, że uda mu się wetknąć identołatwizer do kieszeni Vann Harla, nim ten odzyska przytomność, ale nie miał pojęcia, jak to robi. Na razie tym się nie martwił. Gdziekolwiek doszedł z Colinem, otaczała ich aura przyjacielskości, zapalały się światła i – co ważniejsze – spotykali oddane i gotowe do działania windy oraz sympatycznie przychylnie drzwi.

Ford zaczął pogwizdywać i prawdopodobnie to było błędem. Nikt nie lubi gwizdzących ludzi, zwłaszcza bogowie wyznaczający nasze losy.

Następne drzwi nie chciały się otworzyć.

Było to o tyle żałosne, że Ford bardzo chciał przez nie przejść. Stał przed szarymi, bezlitosnymi drzwiami z napisem:

ZAKAZ WSTĘPU  
TAKŻE DLA UPOWAŻNIONEGO PERSONELU.  
MARNUJESZ TU JEDYNNIE CZAS.  
ODEJDŹ STĄD!

Colin zameldował, że w dolnych strefach budynku drzwi zrobiły się generalnie znacznie bardziej ponure. Znajdowali się dziesięć pięter poniżej parteru. Powietrze było zimne jak w lodówce, gustowne tapety ustąpiły miejsca brutalnie szarym, nitowanym stalowym ścianom. Nieokleźnana euforia Colina opadła do poziomu wymuszonej radości. Oznajmił, że robi się coraz bardziej zmęczony. Musi mobilizować całą swą energię, by wtłoczyć w któreś z tutejszych drzwi choć trochę dobroduszości. Ford kopnął drzwi, które natychmiast się otworzyły.

– Kij i marchewka – mruknął. – To działa zawsze.

Wszedł do pomieszczenia, Colin wleciał tuż za nim. Nawet ze spiętym na krótko obwodem radości był dość nerwowy. Lekko podskakiwał w powietrzu.

Pomieszczenie było małe, szare i wypełnione buczeniem.

Znajdowali się w sercu *Autostopem*.

Ustawione rzędem przy ścianie monitory były jakby oknami, przez które szczegółowo i pod wszystkimi możliwymi kątami można było obserwować wszelkie działania *Autostopem*. Po lewej stronie zbierano nadawane na falach sub-eta sprawozdania pracowników terenowych, przebywających w najodleglejszych zakątkach Galaktyki, stąd transmitowano je bezpośrednio do biur redaktorów naczelnych, gdzie sekretarki wycinały najlepsze fragmenty – naczelni byli bowiem na obiedzie. Reszta tekstu była transportowana do drugiej wieży budowli przypominającej literę H, do działu prawnego. Tam likwidowano, co jeszcze nadawało się do użytku, resztę przekazywano do biur redaktorów działów, którzy też byli na obiedzie. Ich sekretarki czytały teksty, oświadczały, że to ewidentne bzdury, i skreślały większość z tego, co jeszcze pozostało.

Kiedy wreszcie któryś z redaktorów przywłókł się z obiadu, zaczynał zwykle wrzeszczeć: „Co za szmelc ten X – zamiast „X” wymieniał nazwisko autora artykułu – przesyła nam przez pół Galaktyki?! Dlaczego pozwalamy siedzieć komuś przez trzy obiegi planety w zakichanym pasie rozrywkowym Gagrakacki, jeśli przy tym, co się tam wydarza, nie wpada mu do głowy nic poza płaskim, bezsensownym szmelcem? Nie uznaję rozliczenia jego wydatków służbowych!”

– A co każe pan zrobić z manuskrypcem? – pytała wtedy zwykle sekretarka.

– Niech go pani wrzuci do sieci. Coś musimy napisać. Idę do domu, boli mnie głowa.

W ten sposób manuskrypty trafiały do ostatecznego posiekania do działu prawnego, skąd przekazywano je do centrali na dole, która rozpowszechniała je na całą Galaktykę. Odpowiedzialne za to urzędnicy stały po prawej stronie. Zarządzenie, by nie przyjmować rozliczenia wydatków, było przenoszone do wiszącego w prawym górnym rogu pokoju terminalu komputera. Właśnie tam skierował swe kroki Ford Prefect.

(Jeśli niniejszą książkę czytacie na Ziemi, to:

a. Dużo szczęścia. Istnieje wiele rzeczy, o których nie macie pojęcia, ale nie jesteście w tym osamotnieni. Niestety, w waszym przypadku konsekwencje tego są szczególnie straszne, choć... no cóż, taki już jest zdeptujący i rozwałkujący wszystko bieg rzeczy.

b. Nie sądźcie, że macie pojęcie, co to jest terminal komputera.

Prawdziwy terminal komputera nie ma nic wspólnego z topornym, staromodnym telewizorem, przed którym leży klawiatura od maszyny do pisania. Terminal to interfejs, w którym ciało i duch wnikają we wszechświat, by poruszać jego częściami.)

Ford pospiesznie podszedł do terminalu, usiadł przed nim i zagłębił się w jego wszechświat.

Nie był to wszechświat, jaki znał. Był to wszechświat złożony z mocno splecionych z sobą światów, dziko uformowanego terenu, wysokich szczytów górskich, zapierających dech w piersiach przepaści, księżyców rozpryskujących się na kawałki przypominające morskie koniki, pękniętych skał z rozpadlinami przypominającymi rany cięte, bezgłośnie falujących oceanów i bezdennie zderzających się z sobą wirozpunktów.

Ford zamarł, by się w tym wszystkim zorientować. Wstrzymał oddech, zamknął oczy, spojrzał jeszcze raz.

A więc to tu księgowi spędzają czas. Na pierwszy rzut oka trudno ich było o to podejrzewać. Ford ostrożnie się rozejrzał – robił to w taki sposób, by wszystko natychmiast nie napuchło, nie rozmyło się i nie przygniotło go.

Nie rozumiał tego wszechświata. Nie znał praw fizycznych, rządzących jego wymiarami i zachowaniem, domyślał się jednak instynktownie, że musi odnaleźć coś najbardziej charakterystycznego i tym się zająć.

W niemożliwej do określenia odległości (kilometra? milionów kilometrów? może był to tylko pyłek w jego oku?) wznosił się niesamowity, zakrywający pół nieba szczyt, rosnący i wzbijający się coraz dalej i dalej w górę, przemieniający się na czubku w kwieciste akanty, aglomeraty i archimandrytów.\*

Ford poturlał się w jego kierunku w rozbijacki i skośnie halsujący sposób, dotarł do celu po wielokrotnie nieistotnie rozległych momentach.

---

\* Akant – rodzaj krzewu o wielkich, kolczastych liściach; aglomerat – zlepek; archimandryta – przełożony kilku klasztorów w Kościele prawosławnym.

Złapał się szczytu, obejmując go ramionami, paznokcie obu rąk wbił z całej siły w podobną do spękanej kory drzewa powierzchnię. Ledwie uznał, że jest bezpieczny, popełnił duży błąd i spojrzął w dół.

W czasie rozbijackiego i skośnie halsującego turlania się, odległość do gruntu niespecjalnie go zajmowała, teraz jednak, gdy był przyczepiony do czegoś stałego, widok ten skurczył mu serce i skrzywił mózg. Palce miał zbielełe z bólu i napięcia. Zęby szczękały i zgrzytały w nie kontrolowany sposób. Oczy obróciły się do środka, co wywołało falowanie wypustek nudności.

Największym wysiłkiem woli i wiary puścił się i odepchnął od tego, co obejmował rękami.

Poczuł, że płynie. Odpływa. Wbrew oczekiwaniu zaczął płynąć w górę. Unosił się coraz wyżej.

Wygiął krzyż do przodu, opuścił ramiona, spojrzął w górę i całkowicie rozluźniony pozwalał się nieść dalej i dalej w górę.

Po krótkim czasie (jeśli pojęcie to ma sens w wirtualnym wszechświecie) ujrzał tuż pod sobą gzyms, którego mógł się przytrzymać, nawet na nim przysiąc.

Powstrzymał wznoszenie, przytrzymał się, wdrapał na gzyms.

Nieco się zadyszał. Mimo wszystko było to dość męczące.

Siedział na gzymsie i wbijał weń palce. Nie był pewien, czy robi to dlatego, by nie spaść, czy dlatego, by się dalej nie unosić; w każdym razie potrzebował czegoś do trzymania się, by móc się w spokoju rozejrzeć po świecie, w którym wylądował.

Był osaczony przez wirującą, wywołującą zawrót głowy wysokość. Potęga skreśliła i zasupłała mu wszystkie zmysły, musiało minąć trochę czasu, nim odzyskał świadomość i stwierdził, że zaciska z całej siły powieki i rozpaczliwie obejmuje odrażającą pionową ścianę skalną. Z ogromnym wysiłkiem uregulował oddech. Powtórzył kilka razy w myśli, że to, co tak rozpaczliwie obejmuje, to tylko grafika. Wszechświat wirtualny. Symulowana rzeczywistość. W każdej chwili może wyjść z programu.

Wyszedł z programu.

Siedział na niebieskim, obitym skajem, biurowym obrotowym fotelu, przed sobą miał terminal komputera.

Odprężył się.

Siedział na wąskim gzymsie, wystającym z niemal pionowego zbocza niewyobrażalnie wysokiej góry, i wpijał się weń paznokciami; patrzył w przepaść o tak niewyobrażalnej głębi, że zasupłała mu się każda komórka mózgu.

Mało tego – dno przepaści nie tylko było niezwykle daleko, ale kłębiło się i falowało.

Musiał się czegoś złapać, byle nie ściany, bo była jedynie iluzją. Musiał zapanować nad sytuacją, spowodować, że będzie w niej przebywał cieleśnie, ale zniknie emocjonalnie.

Zagryzł zęby, natychmiast po puszczeniu ściany wyrzucił z myśli jej obraz i – wyzwolony oraz oczyszczony – usiadł. Rozejrzał się. Oddychał spokojnie. Znowu panował nad sobą.

Znajdował się w czterowymiarowym topologicznym modelu działu finansowego *Autostopem przez Galaktykę*; ktoś albo coś wkrótce zechce się dowiedzieć, dlaczego.

Nadchodzili.

Przez wirtualną przestrzeń szła w jego kierunku chmara nikczemnych, stalowookich istot, mających, poza niedużymi, jajowatymi główkami i cienkimi wąsikami, listę pytań do zadania: kim jest, co tu robi, kto go upoważnił, kto upoważnił tego, co jego upoważnił, jaką ma długość spodni i tak dalej. Forda omiatały promienie licznych laserów, jakby był paczką herbatników przy kasie w supermarkecie. Do tej pory nie wyciągnęli ciężkich służbowych pistoletów laserowych. Fakt, że wszystko odbywało się w sztucznej rzeczywistości, nie odgrywał najmniejszej roli. Sztuczne zastrzelenie sztucznym laserem w sztucznym świecie jest tak samo skuteczne jak zastrzelenie w rzeczywistym świecie, ponieważ człowiek jest zawsze tak martwy, jak martwo się czuje.

Roboty z czytnikami laserowymi, omiatając jego linie papilarne, tęczę i skórę u nasady włosów, na podstawie której sprawdzały wzorzec hormonalny, coraz bardziej się ekscytowały. To, co miały przed sobą, nie podobało im się w najmniejszym stopniu. Wypluwały i wyrzaskiwały zuchwałe i bardzo osobiste pytania coraz piskliwymi głosami. Kiedy wysunął się niewielki chirurgiczny skrobak i zbliżał się do jego karku, Ford wstrzymał oddech, króciutko się pomodlił, wyciągnął z kieszeni identyfikacyjny Vann Harla i pomachał nim przed nosem intruza.

Wszystkie lasery natychmiast skoncentrowały się na karcie. Zaczęły ją czytać i badać aż po najdrobniejszą molekułę. Przerwały badanie. Sfora wirtualnych strażników przyjęła służbową postawę.

– Bardzo się cieszymy, że nas pan zaszczycił, panie Harl – wyklepały monotonie. – Czy możemy coś dla pana zrobić?

Ford uśmiechnął się sprytnie.

– Wiecie co? Chyba tak.

Pięć minut później już go nie było.

Trzydzieści sekund zajęło mu to, co zamierzał, trzy i pół minuty zatarcie śladów. W tej wirtualnej strukturze mógł zrobić wszystko, na co miał ochotę. Mógłby przenieść na siebie prawo własności całej organizacji, wątpił jednak, by pozostało to nie zauważone. Poza tym wcale nie miał na to ochoty. Oznaczałoby to odpowiedzialność i siedzenie w biurze po nocach, nie wspominając o konieczności uczestnictwa w licznych czasochłonnych procesach o oszustwa i dość długich pobytach w więzieniu. Chciał zrobić coś, co zauważy jedynie komputer – właśnie to zajęło mu trzydzieści sekund.



Trzy i pół minuty zajęło wpisanie do komputera komendy, że nie przyjął żadnej komendy.

Komputer miał jedynie chcieć nie wiedzieć tego, co zakodował w nim Ford; wymyślanie – w razie gdyby manipulacja się ujawniła – uzasadnień, dlaczego tak się stało, można było spokojnie zostawić samemu komputerowi. Technikę tę opracowano za pomocą metody negatywnego wnioskowania o przyczynach psychotycznych blokad myślowych, pojawiających się u normalnych ludzi po wybraniu ich na wysokie stanowiska polityczne.

Ostatnią minutę Ford potrzebował na stwierdzenie, że komputer ma już blokadę myślową, i to wielką.

Gdyby sam nie zamierzał założyć blokady myślowej, nigdy by tego nie zauważył. Natrafił na łańcuch sprytnych, logicznie wyglądających zaprzeczeń i podprogramów, mącających dokładnie tam, gdzie chciał założyć własne. Komputer oczywiście zaprzeczył, że cokolwiek o tym wie, następnie zdecydowanie odrzucił samą wzmiankę o tym, że istnieje cokolwiek, czemu mógłby zaprzeczać. Robił przy tym tak przekonujące wrażenie, że Ford zaczął niemal wierzyć, iż popełnił błąd.

To naprawdę robiło wrażenie.

Ford był pod tak wielkim wrażeniem, że zrezygnował z zakładania własnych blokad myślowych i jedynie zaktywizował istniejące, te zaś w razie czego uruchomiłyby następne i tak dalej.

Natychmiast zabrał się do sprawdzania poprawności wprowadzonych przez siebie kodów i stwierdził, że ich nie ma. Klnąc, zaczął ich ponownie szukać, wszystkie kody zniknęły jednak bez śladu.

Właśnie zamierzał ponownie je instalować, kiedy przyszła mu do głowy myśl, że nie może ich odnaleźć, ponieważ właśnie pracują.

Uśmiechnął się zadowolony.

Zaczął badać, czemu służy już istniejąca blokada myślowa; stwierdził jedynie, że komputer ma w tej sprawie blokadę, czego należało się spodziewać. W dodatku jest to tak dobra blokada, że nie było po niej śladu. Forda zastanowiło, czy pomysł mógłby pochodzić od niego. Zastanawiał się, czy byłby w stanie wpaść na pomysł, żeby blokada miała coś wspólnego z czymś w budynku, gdzie właśnie się znajdował, oraz z liczbą 13. Przeprowadził kilka testów. Tak, pomysł mógł jak najbardziej pochodzić od niego.

Nie było już czasu na długie wycieczki, ponieważ, oczywiście, podniesiono wielki alarm. Ford wjechał windą na parter, gdzie przesiadł się do windy ekspresowej. Musi wsunąć identyfikacyjny Vann Harlowi do kieszeni, nim ktokolwiek się zorientuje, że go zabrał. Nie miał pojęcia, jak to zrobić.

Drzwi windy otworzyły się i Ford ujrzał sporą grupę ochroniarzy i robotów, gotowych do ataku i mierzących z groźnie wyglądających karabinów.

Kazali mu wysiadać.

Wzruszył ramionami i wyszedł z windy. Cała banda, przepychając się po chamsku, wcisnęła się do środka, by zjechać na dół i szukać go na podziemnych poziomach.

„Bomba” – pomyślał Ford i przyjaźnie klepnął Colina. Colin był chyba pierwszym robotem, jakiego spotkał w życiu, który się do czegoś przydał. Robocik podskakiwał i podrygiwał w radosnej ekstazie tuż nad głową Forda. Ford cieszył się, że dał mu imię po psie.

Czuł przemożną ochotę, by uciec i pozostawić wszystko nadziei, że sprawy same się ułożą; wiedział jednak, że sprawy będą miały większą szansę na ułożenie się, jeśli Harl nie zauważy zniknięcia identyfikowacza. Musi mu go jakoś podrzucić do kieszeni.

Poszli do windy ekspresowej.

– Cześć! – odezwała się winda, kiedy wsiadali.

– Cześć – odparł Ford.

– Dokąd lecimy, chłopaki?

– Na dwudzieste trzecie piętro.

– Dość dziś popularne – rzekła winda.

„Hmmm” – pomyślał Ford, któremu wcale się to nie podobało. Winda zapaliła na wskaźniku liczbę 23 i pognęła w górę. Coś zastanowiło Forda w wyglądzie wskaźnika pięter, nie umiał jednak dokładnie określić co i zapomniał o tym. Znacznie bardziej martwił się tym, że jadą na popularne piętro. W rzeczywistości nie myślał jeszcze, jak sobie poradzi z tym, co go tam czeka, nie miał bowiem pojęcia, co go czeka. Jakoś sobie poradzi.

Dojechali.

Drzwi rozsunęły się.

Panowała kompletna cisza.

Korytarz był pusty.

Podłoga przed drzwiami biura Harla była pokryta cienką warstwą kurzu. Ford wiedział, że pył pozostawiły miliardy robotów molekularnych, które wypełzły z drewna drzwi, zespoliły się w większego robota, naprawiły drzwi, rozłożyły się na kawałki i wpełzły z powrotem w drewno, oczekując następnego uszkodzenia. Ford zadumał się nad ich życiem, rychło jednak przestał, wystarczyło mu bowiem w pełni zamartwianie się własnym.

Wciągnął głęboko powietrze i wziął rozbieg.

## Rozdział 9

Artur nie bardzo wiedział, co robić ani co myśleć. Miał do dyspozycji całą Galaktykę, pełną wszystkiego, co tylko dusza zapagnie, i nie opuszczała go myśl, czy to nie bezczelność z jego strony narzekać, że brakowało w niej dwóch rzeczy: planety, na której się urodził, i kobiety, którą kochał.

„Wybij to sobie z głowy” – pomyślał i poczuł potrzebę, by nim pokierowano i dano mu kilka dobrych rad. Zajrzał do *Autostopem przez Galaktykę*. Spojrzał pod KIEROWANIE i przeczytał: „Patrz: Rada”. Spojrzał pod RADA i przeczytał: „Patrz: Kierowanie”. Ostatnio dość często znajdowano w przewodniku podobne rzeczy, Artur zastanawiał się, czy nie jest on trochę przereklamowany.

Udał się na kraniec wschodniego ramienia Galaktyki, gdzie – jak mówiono – można znaleźć mądrość i prawdę, zwłaszcza na planecie Hawalius; mieszkało tam wielu wróżbitów, wizjonerów i przepowiadaczy prawdy. Poza tym – ponieważ większość mistyków nie potrafiła przygotować sobie czegokolwiek do jedzenia – znajdowało się tam mnóstwo pizzerii.

Wyglądało na to, że na planecie wydarzyło się jakieś wielkie nieszczęście. Kiedy Artur szedł uliczkami wioski, w której mieszkali najznamienitsi prorocy, miał wrażenie, że wokół panuje atmosfera wielkiego przygnębienia. Spotkał zniechęconego proroka, który właśnie zamykał kram, i zapytał go, co się stało.

– Nie ma już na nas zapotrzebowania – odparł szorstko prorok i zaczął wbijać gwóźdź w deskę, którą zamierzał zabić okno.

– Ojej... Dlaczego?

– Proszę przytrzymać deskę z drugiej strony, to wyjaśnię.

Artur zrobił, o co go poproszono, stary prorok zaś wszedł do rozpadającej się chaty i wrócił po krótkiej chwili. W rękę trzymał radio sub-eta. Włączył je, znalazł jakąś stację i postawił radyjko na ławeczce, na której zwykle siedział, głosząc swe prorocтва. Wziął od Artura deskę i dalej ją przybijał. Artur usiadł i zaczął słuchać radia.

– ...potwierdzono. Jutro wiceprezydent Puppla Vinus, Ruppi Bla Pip, ogłosi swą kandydaturę na stanowisko prezydenta. W mowie, którą wygłosi...

– Proszę zmienić stację – powiedział prorok. Artur znalazł nową stację.

– ... odmówili komentarza w tej sprawie. Liczba bezrobotnych w sektorze Zajbusz osiągnie w przyszłym tygodniu maksimum. Zgodnie z raportem, który zostanie ogłoszony w przyszłym miesiącu...

– Następną! – warknął prorok. Artur znalazł kolejną stację.

– ...kategorycznie zaprzeczono. Planowany na przyszły miesiąc ślub następcy tronu, księcia Duppa z dynastii Pupling, z księżniczką Luli von Audi Alfa będzie najbardziej niezwykłą ceremonią, jaka odbyła się kiedykolwiek w strefie Bjanczi. Nasza reporterka Trillian Astra znajduje się na miejscu i opowie o ceremonii.

Artur oniemiał.

Z radia wydobywał się wrzask wiwatujących tłumów, orkiestry grały skoczne marsze. Znany mu głos mówił:

– A więc, Krart, nie do opisania, co tu się będzie dziać w połowie przyszłego miesiąca. Księżniczka Luli wygląda zachwycająco w...

Prorok zmiotł radio z ławki na zakurzoną ziemię, gdzie paplało dalej jak spłoszona kura.

– Rozumie pan teraz, z czym musimy walczyć? Proszę potrzymać. Nie to. To. Nie, nie tak. Tą stroną na zewnątrz. Odwrotnie, głupcze!

– Chciałbym posłuchać – narzekał Artur, nieporadnie machając młotkiem proroka.

– Wszyscy chcą. Dlatego zaczyna tu się robić jak w mieście duchów. – Splunął w kurz.

– Nie o to chodzi. Wydaje mi się, że znam tę kobietę.

– Księżniczkę Luli? Gdybym musiał gadać z każdym, kto zna księżniczkę Luli, potrzebowałbym nowych płuc.

– Nie księżniczkę, reporterkę. Nazywa się Trillian. Nie wiem, skąd wzięła to „Astra”. Jest z tej samej planety, co ja. Często się zastanawiałem, gdzie rzucił ją los.

– Och, szwenda się po całym kontinuum czasoprzestrzeni. Z powodu Wielkiego Zielonego Spazmu Arkelów nie odbieramy tu oczywiście telewizji trójwymiarowej, ale przez radio można się nasłuchać, jak włóczy się, gdzie tylko można, po czasie i przestrzeni. Chce wyrobić sobie pozycję i osiedlić się w jakiejś porządnej, odpowiedniej dla młodej, eleganckiej damy epoki. To się źle skończy. Prawdopodobnie już się źle skończyło. – Zabrał Arturowi młotek, zamachnął się nim, huknął się w palec i zaczął na całe gardło pomstować.

W Wiosce Wyroczni nie było lepiej.

Artur dowiedział się, że jeśli chce znaleźć dobrego przepowiadacza przyszłości, powinien zwrócić się do tego, do którego chodzą pozostali przepowiadacze przyszłości. Drzwi jego mieszkania były, niestety, zamknięte. Wisiała na nich tabliczka z napisem: NIC JUŻ NIE WIEM. PROSZĘ SPRÓBOWAĆ OBOK – ALE TO NIE PRAWDZIWA PRZEPOWIEDNIA, LECZ JEDYNIEM PROPOZYCJA. Obok, to znaczy kilkaset metrów dalej, była jaskinia.

Artur ruszył w jej kierunku. Znad niedużego ogniska unosił się dym i para, choć para wydobywała się raczej z zawieszonoego nad ogniskiem powgniatanego metalowego kociołka. Poza parą z kociołka wydostawał się wyjątkowo obrzydliwy smród. Tak przynajmniej wydawało się Arturowi – że smród dochodzi z kociołka. Na rozciągniętym między dwoma palikami sznurku suszyły się na słońcu wzdęte pęcherze miejscowych kozopodobnych zwierząt i odór mógł pochodzić także od nich. Poza tym niepokojąco blisko znajdowała się sterta trupów tych kozopodobnych zwierząt, które również mogły być źródłem smrodu.

Równie dobrze źródłem smrodu mogła być starucha, odganiająca od kozich trupów muchy. Zadanie było beznadziejne, ponieważ muchy przypominały wielkością uskrzydłone kapsle od butelek, a jedyną bronią kobiety była raketka od ping-ponga. Poza tym wyglądała na półślepą. Jej szaleńcze ciosy trafiały przypadkowo i niezbyt często muchę, choć trzeba przyznać, że kiedy to się zdarzało, rozlegało się głośne klaśnięcie. Trafiona mucha wpadała w korkociąg i roztrzaskiwała się parę metrów dalej o skałę.

Starucha sprawiała wrażenie, że żyje dla tych momentów.

Artur przez pewien czas oglądał to egzotyczne przedstawienie z większej odległości, w końcu postanowił jednak zwrócić na siebie uwagę łagodnym chrząknięciem. Niestety, by móc łagodnie, grzecznie chrząknąć, musiałby być bardziej przyzwyczajony do miejscowej atmosfery; zamiast więc chrząknąć, dostał ataku zachrypniętego, okraszonego potokami śliny kaszlu i dusząc się oraz zalewając łzami, osunął się po skalnej ścianie i legł u jej podnóża. Łapczywie chwycił powietrze, ale to jedynie pogarszało sprawę. Zwymiotował, znów o mało się nie udusił, przeturlał się przez własne wymiociny, potoczył parę metrów. W końcu udało mu się podeprzeć dłońmi, wdrapać po ścianie, stanąć i przesunąć w strefę nieco świeższego powietrza.

– Przepraszam – wydyszał. Oddychało mu się trochę lepiej. – Naprawdę niezmiernie mi przykro. Czuję się jak ostatni idiota, ale... – Zamachał rękami w kierunku rozbryzanych przed wejściem do jaskini wymiocin. – Co mam powiedzieć? Cóż takiego powinienem powiedzieć? – Dzięki ostatnim zdaniom udało mu się zwrócić na siebie uwagę starej. Odwróciła głowę w jego stronę i zaczęła się podejrzliwie przyglądać, na szczęście z powodu znacznej ślepoty miała duże trudności z zauważeniem Artura na tle rozmytego, skalistego krajobrazu. – Halo! – zawołał Artur i zamachał rękami.

W końcu go zauważyła, jęknęła i wróciła do roztrzaskiwania much.

Spowodowany przez staruchę ruch powietrza sprawił, iż stało się jasne, że to ona była głównym źródłem obrzydliwego smrodu. Schnące pęcherze, gnijące trupy i dziwna zupa wносиły niemały wkład w ogólną atmosferę, ale największy wpływ na zmysł węchu wywierała kobieta.

Znów udało jej się trafić muchę. Owad trzasnął o skalną ścianę, wnętrzności zaczęły spływać w sposób, który – jeśli starucha miała dość dobry wzrok – musiał sprawiać jej wielką przyjemność.

Artur stanął niepewnie na nogi i spróbował się oczyścić kępą suchej trawy. Nie wiedział, co jeszcze może zrobić, by ściągnąć na siebie uwagę staruchy. Mało brakowało, by sobie poszedł, wstyd mu było jednak zostawić przed wejściem do cudzej jaskini swoje wymiociny. Co z nimi zrobić? Obydwoma rękami zaczął wyrywać wystające to tu, to tam kępy trawy. Niestety, obawiał się, że jeśli za bardzo zbliży się do wymiocin, ich powierzchnia się nie zmniejszy, ale raczej zwiększy.

Podczas gdy rozpatrywał, jaka byłaby optymalna metoda działania, zdał sobie sprawę, że kobieta zaczęła z nim rozmawiać.

– Słucham? – krzyknął.

– Pytałam, co mogę dla pana zrobić – powiedziała słabym, szeleszczącym jak papier, ledwie słyszalnym głosem.

– E... chciałem poprosić o radę. – Mówiąc to, Artur wydał się sobie śmieszny.

Spojrzała na niego półślepymi oczami, odwróciła się, machnęła na muchę, ale nie trafiła.

– Jakiego rodzaju?

– Słucham?

– Jakiego rodzaju radę?

– Hm. Dość ogólną. W broszurze...

– Ha! W broszurze! – Stara splunęła. Machała teraz chaotycznie wokół siebie.

Artur wyciągnął z kieszeni wygniecioną broszurę. Nie wiedział właściwie, dlaczego. Znał jej treść, wyglądało na to, że starej nie interesuje, co tam napisano. Otworzył ją jednak, głównie po to, by mieć na co rzucić znacząco okiem. Broszura piała z zachwytem nad prastarym, mistycznym kunsztem hawaliońskich wizjonerów i mędrców oraz niesamowicie przesadzała, jeśli chodzi o poziom noclegów na Hawalionie. Artur cały czas nosił przy sobie egzemplarz *Autostopem*, stwierdził jednak, że hasła stają się coraz bardziej mętne i paranoidalne oraz że pojawia się w nim coraz więcej iksów, igreków i nawiasów. Działo się coś złego. Nie miał pojęcia, czy była to wina jego egzemplarza, czy po prostu ktoś lub coś dostało kręćka i halucynacji w sercu redakcji przewodnika. Bez względu na przyczynę Artur miał coraz mniejszą ochotę opierać się na *Autostopem*; w jego przypadku oznaczało to, że całkowicie przestał na nim polegać i używał go jedynie jako podstawki do kanapek, które spożywał siedząc na kolejnej skale i wpatrując się tępo w przestrzeń.

Kobieta powoli podchodziła w jego kierunku. Artur próbował dyskretnie ustalić kierunek wiatru. Kiedy starucha podeszła, odsunął się nieco w bok.

– Rada! – skrzeknęła. – Chce pan rady, tak?

– No... tak. Chcę. To znaczy... – Marszcząc czoło, wbił wzrok w broszurę, jakby chciał się upewnić, że dobrze przeczytał i że nie jest na innej planecie. W broszurze napisano: „Przemili mieszkańcy będą szczęśliwi, mogąc podzielić się z Państwem wiedzą przodków. Zajrzyjcie razem z nimi w strumień tajemnic przeszłości i przyszłości!” Dołączono do tego

kupony na gratisowe usługi, ale Artur nie miałby śmiałości ich wycinać i komukolwiek pokazywać.

– Chce pan rady, tak? – powtórzyła starucha. – Ogólnej natury. Po co? Chodzi może o coś dotyczącego pańskiego życia?

– Coś w tym rodzaju. Prawdę mówiąc, mam z nim czasem problemy. – Małymi, niepewnymi ruchami rozpaczliwie próbował usunąć się spod zasięgu staruchy. Zaskoczyła go jednak, bo gwałtownie się odwróciła i ruszyła do jaskini.

– W takim razie będzie mi pan musiał pomóc z kserokopiarką.

– Słucham?

– Z kserokopiarką – powtórzyła cierpliwie. – Musi mi pan pomóc ją wyciągnąć. Działa na energię słoneczną. Muszę ją trzymać w jaskini, żeby ptaki jej nie zabrudziły.

– Aha.

– Na pańskim miejscu wzięłabym kilka głębokich oddechów – wymamrotała stara, wchodząc w mrok jaskini.

Artur posłuchał rady, to znaczy, zaczął niemal hiperwentylować. Kiedy poczuł się wystarczająco silny, zatrzymał powietrze w płucach i poszedł za staruchą.

Kserokopiarka była wielka, stara i stała na chyboczącym się stoliku na kółkach. Postawiono ją w cieniu tuż obok wejścia. Każde kółko stolika sterczało w innym kierunku, grunt pod nogami był nierówny i kamienisty.

Przy pierwszej próbie przesunięcia kserokopiarki Artur zaczerwienił się jak burak.

– Niech pan wyjdzie na zewnątrz zaczerpnąć powietrza – zaproponowała kobieta.

Skinął z ulgą głową. Jeśli jej nie było głupio, jemu też nie będzie. Wyszedł na zewnątrz, wziął kilka głębokich oddechów i wrócił do jaskini, by dalej pchać. Nim urządzenie znalazło się na zewnątrz, zrobił niejedną wycieczkę na świeże powietrze.

Słońce oświetliło kserokopiarkę. Stara zniknęła w jaskini, wróciła z kilkoma pokrytymi cętkami płytami w metalowych obudowach, wyglądającymi na ogniwa słoneczne, i podłączyła je do urządzenia.

Spojrzała sceptycznie w niebo. Słońce było dość jasne, ale dzień był ponury i mglisty.

– Trochę to potrwa – uznała.

Artur zapewnił, że z chęcią poczeka.

Stara wzruszyła ramionami i poczłapała do ogniska. Zawartość kociołka bulgotała. Zamieszała w nim patykiem.

– Może chce pan coś zjeść? – zapytała.

– Dziękuję, już jadłem. Naprawdę już jadłem.

– Jasne, że pan jadł. – Stara jeszcze raz zamieszała w kociołku. Wyłowila kawał czegoś nieokreślonego, podmuchała, by ochłodzić, i wetknęła sobie do ust. W zadumie przez chwilę żuła. Pokuśtykała do sterty zwierzęcych korpusów. Wypluła to, co żuła, na trupy, wróciła, kuśtykając, do kociołka i usiłowała zdjąć go z trójnoga, na którym był zawieszony.

– Pomóc pani? – spytał Artur, skacząc uprzejmię na pomoc.

Wspólnymi siłami zdjęli kociołek ze stojaka i nieporadnie znieśli go w dół łagodnie opadającego zbocza, prowadzącego od jaskini do kępy poskręcanych, skarłowaciałych drzew, stojących nad płytkim wykopem; unosiło się z niego sporo zupełnie nowych obrzydliwych smrodów.

– Gotowy? – spytała kobieta.

– Tak... – potwierdził Artur, choć nie miał pojęcia, o co chodzi.

– Raz – rzekła kobieta. – Dwa – dodała. – I trzy.

Artur w ostatniej chwili zdążył domyślić się, co stara zamierza. Wylali razem zawartość kociołka do wykopu.

Po dwóch godzinach milczenia starucha uznała, że ogniwa słoneczne wystarczająco się naładowały, by podłączyć je do kserokopiarki. Zniknęła więc w jaskini i zaczęła w niej potwornie hałasować. Po kilku minutach wyszła z plikiem papierów, które wepchnęła do urządzenia.

Wręczyła Arturowi uzyskane kopie.

– To pani rada? – Artur niepewnie kartkował.

– Nie – odparła starucha. – To moja biografia. Aby móc prawidłowo ocenić jakość czyichś rad, należy znać jej minione i obecne życie. Przy przeglądaniu dokumentów zauważy pan, że ważniejsze podjęte przeze mnie decyzje podkreśliłam. Są zebrane w osobnym spisie i zaopatrzone w odnośniki. Widzi pan? W dodatku radzę podejmować decyzje dokładnie odwrotne do tych, jakie sama podjęłam, wtedy będzie miał pan szansę... – zawiesiła na chwilę głos, by wypełnić płuca powietrzem i wykrzyknąć z całych sił – ...nie spędzić schyłku życia w takiej śmierdzącej jaskini jak ta!

Capnęła raketkę pingpongową, podwinęła rękaw, podeszła na sztywnych nogach do sterty kozich trupów i z nowym zapalem zabrała się do likwidowania much.

Ostatnia wieś, jaką Artur odwiedził, składała się wyłącznie z bardzo wysokich pali. Były tak wysokie, że z dołu nie było widać, co znajduje się na ich szczycie; Artur musiał wspiąć się na trzy pale, nim odkrył coś poza pełną ptasich odchodów platformą z desek.

Było to niełatwe zadanie. By wejść na platformę, trzeba było pokonać setki krótkich drążków, powbijanych spiralnie dookoła pala. Każdy mniej gorliwy od Artura turysta zrobiłby kilka fotografii, poszedł prosto do najbliższego baru, wybrał któryś z wielu niezwykle słodkich, lepkich torcików czekoladowych i jadł na oczach miejscowych ascetów. Niestety, większość z nich zniknęła właśnie z powodu objadających się tortami turystów. Przenieśli się do bogatszych światów północno-zachodniej odnogi Galaktyki i założyli lukratywne ośrodki terapeutyczne, życie jest tam bowiem około siedemnastu milionów razy łatwiejsze, a czekolada boska. Okazało się, że większość ascetów przed rozpoczęciem kariery ascetycznej nie miała pojęcia, co to jest czekolada, w odróżnieniu od klientów, którzy zjeżdżali do ich ośrodków i wiedzieli o czekoladzie niemal wszystko.



Na trzecim palu Artur pozwolił sobie na odpoczynek. Ponieważ każdy pal miał od piętnastu do dwudziestu metrów, Artur był spocony jak mysz i ledwo dyszał. Świat wokół niego zdawał się wirować i podrygiwać, ale nie bardzo go to niepokoiło. Wiedział, że wedle praw logiki nie może umrzeć, nim nie odwiedzi Stavromula Beta\* dlatego też mógł traktować dość pogodnie różne zagrożenia życia. Mimo to czuł się trochę nieswojo, siedział bowiem na dwudziestometrowym palu; poradził sobie jednak z tym, jedząc kanapkę. Właśnie chciał przeczytać skserowany życiorys starej przepowiadaczki przyszłości, kiedy – ku jego zdumieniu – ktoś za jego plecami odkaslnął.

Odwrócił się tak gwałtownie, że wypuścił z ręki kanapkę, która na ziemi zrobiła się zupełnie mała.

Wokół Artura stało około czterdziestu pali – jedyny zajęty (oczywiście, poza tym, na którym sam siedział) był oddalony o dziesięć metrów. Siedział na nim starzec, zagłębiony w myślach i wpatrujący się ponuro w dal.

– Przepraszam! – zawołał Artur.

Stary zignorował go. Mógł nic nie słyszeć, wiatr ciągle zmieniał kierunek. Pokasływanie musiał usłyszeć przypadkowo.

– Hej, hej! – wołał Artur. – Halo!

Mężczyzna szybko na niego spojrział. Wyglądał na zaskoczonego, że kogoś widzi. Artur nie był pewien, czy sam jest zaskoczony i ucieszony, że widzi starego, czy jedynie zaskoczony.

– Jest pan czynny? – zawołał Artur.

Mężczyzna zmarszczył czoło, nie rozumiejąc pytania. Artur nie wiedział, czy został nie zrozumiany, czy nie usłyszany.

– Wejść do pana. Proszę nie odchodzić. – Zszedł z platformy, szybko pokonał spiralę palików i z dość silnymi zawrotami głowy stanął na dole. Ruszył do pala, na którym siedział stary, nagle jednak uświadomił sobie, że nie wie, który to jest. Zaczął szukać punktów orientacyjnych i w końcu znalazł właściwy pal.

Wspiął się na górę. Nie był na tym, co trzeba.

– Cholera – zaklął. – Przepraszam! – krzyknął do dziadka, który siedział przed nim, ale w odległości około dwunastu metrów.

– Pomyliłem się. Za minutę do pana wchodzę. – Spocony i zezłoszczony ponownie zszedł na dół. Kiedy dysząc i zalewając się potem, wpełzł na czubek pala, który na pewno był właściwy, domyślił się, że stary robi sobie z niego żarty.

– Czego pan chce? – krzyknął staruszek wyraźnie niezadowolony. Siedział teraz na palu, w którym Artur rozpoznał ten, na którym przed chwilą siedział i jadł kanapkę.

– Jak się pan tam dostał?

---

\* Zob.: *Życie, wszechświat i cała reszta*, rozdział 18.

– Sądzi pan, że tak po prostu zdradzę sposób, którego odkrycie zajęło mi czterdzieści wiosen, lat i jesieni spędzonych na palu?

– A co z zimami?

– A co ma być z zimami?

– Nie siedzi pan na palu w zimie?

– To, że spędzam większość życia na palu, nie znaczy, że jestem stuknięty. W zimie wyjeżdżam na południe, gdzie mam domek przy plaży. Siadam tam na kominie.

– Ma pan jakąś dobrą radę dla podróżnika?

– Tak. Niech pan sobie kupi domek przy plaży.

– Aha.

Stary wpatrywał się w gorącą, suchą, odrażającą okolicę. Z góry Artur widział jak przez mgłę staruchę, z którą niedawno rozmawiał, była małą plamką, od czasu do czasu zabijała muchę.

– Widzi ją pan? – spytał starzec.

– Tak. Prosiłem ją nawet o radę.

– Dużo wie. Domek przy plaży dostałem tylko dlatego, że go nie chciała. Co panu poradziła?

– Robić zawsze inaczej, niż ona sama robiła.

– Innymi słowy, kupić domek przy plaży.

– Chyba tak. Może kupię.

– Hmm.

Horyzont zniknął za ścianą śmierzącego, upalnego powietrza.

– Ma pan jeszcze jakąś radę dla mnie? Może nie związaną z nieruchomościami?

– Domek przy plaży to nie nieruchomość, ale filozofia życiowa – odparł stary.

Odwrócił się i popatrzył uważnie na Artura.

W dziwny sposób głowa mędrca znalazła się w odległości metra od Artura. Mężczyzna wyglądał całkiem normalnie, ale choć siedział w kucki na oddalonym o dwanaście metrów palu, jego głowa znajdowała się mniej niż metr od Artura. Nie ruszając głową, nie robiąc nic niezwykłego, mędrzec wstał i jednym krokiem przeszedł na platformę obok. Artur pomyślał, że albo mać mu się w głowie z upału, albo przestrzeń ma dla nich różne postaci.

– Domek przy plaży nie musi stać przy plaży – powiedział mędrzec. – Choć trzeba przyznać, że tam są najlepsze. Lubimy znajdować się na granicach.

– Co pan powie?

– Gdzie woda spotyka się z ziemią. Gdzie ziemia spotyka się z powietrzem. Gdzie spotykają się duch i ciało. Uwielbiamy stać po jednej stronie i obserwować przeciwną.

Artur czuł niesamowite podniecenie. Właśnie to obiecywała broszura. Siedział przed człowiekiem, który umiał się poruszać w przestrzeniach skonstruowanych przez Eschera i miał do powiedzenia naprawdę głębokie rzeczy na różne tematy.

Mimo wszystko było to denerwujące. Mężczyzna schodził z pali na ziemię, wchodził z ziemi na pale, przechodził z pali na pale, przechodził z pala za horyzont, wracał. Sprowadzał do absurdu kosmos Artura.

– Niech pan przestanie! – krzyknął Artur.

– Nie może pan wytrzymać, co? – Nie robiąc najmniejszego ruchu, mężczyzna usiadł w kucki na oddalonym o dwanaście metrów palu. – Przychodzi pan po radę, a nie jest pan w stanie zaakceptować niczego, czego pan nie zna. Hmm. Musimy więc opowiedzieć coś, co pan zna, a co mimo to zabrzmi jak coś zupełnie nowego. Jak zwykle. Tja. – Westchnął i zapatrzył się w dal, mrużąc ponuro oczy. – Skąd przybywasz, chłopcze?

Artur zdecydował się na dowcipną odpowiedź. Miał dość traktowania go jak cymbała.

– Przecież jest pan jasnowidzem. Może pan zgadnie?

Stary znów westchnął.

– Chciałem tylko trochę porozmawiać – powiedział, sięgając ręką za głowę. Kiedy wyciągnął ją przed siebie, na czubku wystawionego pionowo w górę palca wskazującego kręcił się globus. Ziemia. Bez najmniejszej wątpliwości. Schował globus. Artur był oszołomiony.

– Skąd pan wiedział..

– Nie mogę powiedzieć.

– Dlaczego? Przyjechałem z tak daleka!

– Nie może pan widzieć tego, co ja, ponieważ widzi pan swoje. Nie może pan wiedzieć tego, co ja, ponieważ wie pan swoje. To, co ja widzę i wiem, nie może zostać dodane do tego, co pan widzi i wie, ponieważ są to zjawiska zupełnie odmiennej natury. To, co widzę i wiem, nie może zastąpić tego, co pan widzi i wie, ponieważ oznaczałoby to zastąpienie pana jako takiego.

– Sekundę, mogę to zapisać? – spytał Artur, nerwowo grzebiąc w kieszeni.

– Może pan w kosmodromie zrobić to na ksero – odparł stary. – Mają tego na kopy.

– O! – Artur był mocno rozczarowany. – Nie ma... nie ma czegoś bardziej... tylko dla mnie?

– Wszystko, co pan widzi, słyszy i czego dowiaduje się w jakikolwiek sposób, dotyczy tylko pana. Postrzegając otoczenie, tworzy pan swój wszechświat, a więc wszystko, co postrzega pan we wszechświecie, dotyczy tylko pana.

Artur patrzył z powątpiewaniem.

– To też dostanę na kosmodromie?

– Niech pan zapyta.

– W broszurze napisano – Artur wyciągnął ją z kieszeni i zaczął kartkować – że mogę otrzymać modlitwę, dostosowaną do mnie i do moich problemów.

– Jak pan chce – powiedział stary. – No to pomódlmy się za pana. Ma pan coś do pisania?

– Mam.

– Modlitwa brzmi następująco. Sekundę... „Ochroń mnie przed wiedzą, której nie potrzebuję. Ochroń mnie przed przecuciem, że istnieje coś godnego poznania, o czym nie wiem. Ochroń mnie przed świadomością, że postanowiłem nic nie wiedzieć o tym, czego postanowiłem nie wiedzieć. Amen”. To wszystko. Powtarza pan to ciągle w myślach, ale może pan to spokojnie mówić głośno.

– Hmm – odparł Artur. – Hm. Dziękuję.

– Jest do tego jeszcze suplement, bardzo istotny – dodał stary. – Lepiej będzie, jak też go pan zapisze.

– Oczywiście.

– Brzmi: „Panie, Panie, Panie...” – Lepiej tego na wszelki wypadek nie opuszczać. Nigdy nic nie wiadomo. „Panie, Panie, Panie. Ochroń mnie przed konsekwencjami powyższej modlitwy. Amen”. Koniec. Jeśli ktoś ma w życiu problemy, wynikają zwykle stąd, że opuścił suplement modlitwy.

– Słyszał pan kiedyś o Stavromula Beta? – spytał Artur.

– Nie.

– No tak, pięknie dziękuję za pomoc.

– Nie ma o czym mówić – oznajmił mężczyzna na palu i zniknął.

## Rozdział 10

Ford rzucił się na drzwi gabinetu redaktora naczelnego. Kiedy framuga ponownie pękła i puściła, przykucnął, zwinął się w maleńką kulkę i potoczywszy się do miejsca, w którym stała elegancka, szara, pokryta gniecioną skórą kanapa, umieścił za nią swą strategiczną bazę operacyjną.

Taki przynajmniej był plan.

Niestety, eleganckiej, pokrytej gniecioną skórą kanapy nie było.

„Dlaczego – pomyślał Ford, wirując w powietrzu, zakręcając jak pijany bąk i skacząc za biurko Harla – niektórzy ludzie mają głupią manię przestawiania co pięć minut mebli w biurze? Dlaczego zastępują bardzo przydatną, choć prostą kanapę czymś, co przypomina niewielki czołg? Kim jest ten olbrzym z wyrzutnią rakiet na ramieniu? Kimś z centrali? Niemożliwe. To właśnie jest centrala. Przynajmniej centrala *Autostopem*. Zarkwon wie, skąd pochodzą te typki z «NieskończoMętu». Sądząc po ich przypominającym ślimaka kolorze i strukturze skóry, na pewno z niezbyt słonecznej okolicy – dumał Ford. – Nic tu nie gra. Ludzie mający cokolwiek wspólnego z przewodnikiem powinni pochodzić ze słonecznych okolic”.

W gabinecie było więcej gości, w dodatku mocniej opancerzonych i uzbrojonych niż można by się spodziewać po członkach zarządu, nawet przy dzisiejszych surowych, zmuszających do rozpychania się łokciami stosunkach w biznesie.

Jedyne, co Ford był w stanie wyciągnąć, to wnioski. Doszedł do wniosku, że ogromni faceci z byczymi karkami i ślimaczą skórą muszą być w jakiś sposób związani z „NieskończoMętem”. Wniosek był niezwykle trafny, co potwierdzały umieszczone na pancerzach napisy i znaki firmowe, oznajmiające: NIESKOŃCZOMĘT; mimo to Ford nie mógł się pozbyć podejrzania, że nie trafił na konferencję zarządu. Poza tym miał wrażenie, że już gdzieś widział takie same ślimakopodobne istoty. Oczywiście, w innych strojach.

Ponieważ właśnie minęło dwie i pół sekundy, odkąd wpadł do gabinetu, uznał, że należy zrobić coś konstruktywnego. Na przykład wziąć zakładnika. To byłoby świetne.

Vann Harl siedział wyraźnie zaniepokojony, blady i wykończony. Poza ciosem w głowę musiał prawdopodobnie otrzymać kilka złych wiadomości. Ford skoczył na nogi i ruszył w jego kierunku z wyciągniętymi rękami.

Pod pretekstem wzięcia go w solidnego, podwójnego nelsona Fordowi udało się wepchnąć identyfikacyjny do kieszeni Vann Harla.

Trafione – zatopione!

W ten sposób załatwił, co chciał. Teraz jeszcze musi tylko uratować głowę.

– Świetnie – zaczął. – Właśnie... – Zamilkł.

Wielkolud z miotaczem rakiet obrócił się w kierunku Forda i wycelował, co było zdaniem Forda niezwykle nieodpowiedzialne.

– Właśnie... – zaczął Ford ponownie i schylił się pod wpływem nagłego impulsu.

Z tyłu miotacza z ogłuszającym hukiem wystrzeliły płomienie, z przodu rakiet. Przeleciała nad Fordem, trafiła w szybę z pancernej szkła, która rozpadła się na milion kawałków, i wyleciała na zewnątrz. Od ścian pomieszczenia odbiły się fale akustyczne i ciśnieniowe, wymiatając za okno kilka krzesel, szafę z aktami i robota nadzorczego Colina.

„Aha, więc te szyby nie są całkowicie rakietoodporne” – pomyślał Ford. Uznał, że nie zaszkodzi, jeśli ktoś powie komuś w związku z tym kilka ostrzejszych słów. Puścił Harla i zaczął szukać drogi ucieczki.

Olbrzym z miotaczem ponownie przyjął postawę gotową do strzału.

Ford zupełnie nie wiedział, co robić.

– Posłuchajcie! – powiedział zdecydowanie, nie był jednak pewien, czy mówienie zdecydowanym tonem „posłuchajcie” cokolwiek da. Nie miał dużo czasu. „Co mi tam – pomyślał – żyje się raz!” i wyskoczył przez okno. Wykorzystał przynajmniej element zaskoczenia.

# Rozdział 11

Artur, zrezygnowany, pogodził się z tym, że nim cokolwiek zrobi, musi się zająć swym nowym żywotem. Oznaczało to, że musi znaleźć planetę, na której będzie mógł go wieść. Musi to być planeta, na której będzie mógł prosto stać i siedzieć bez niewygód wynikających z nieodpowiedniej grawitacji. Kwasowość nie może być zbyt wielka, rośliny nie mogą się rzucać na człowieka.

– Nie chciałbym sprawiać zbyt antropocentrycznego wrażenia – powiedział dziwnej istocie w okienku Centrum Porad Osiedleńczych na Pintelton Alfa – ale najchętniej zamieszkałbym gdzieś, gdzie mieszkańcy wyglądają choć trochę jak ja. Wie pan, o co mi chodzi. Są podobni do ludzi.

Dziwny twór w okienku pomachał kilkoma swoimi dziwnymi częściami. Sprawiał wrażenie nieco zde gustowanego. Ześlizgnął się i skapał z krzesła, powoli prześlimaczył się do starej stalowej szafy, połknął ją i bekając, wypluł odpowiednią szufladę. Wypuścił z ucha kilka obślinionych macek, wyjął z szuflady kilka teczek, wessał szufladę i zwymiotował całą szafę. Prześlimaczył się z powrotem do krzesła, wślizgnął się na nie i huknął teczkami o biurko.

– Jest tu coś, co panu odpowiada? – spytał.

Artur nerwowo przerzucił kilka brudnych, pleśniejących kartek. Bez wątpienia znajdował się w terenie nawiedzonym przez jakąś katastrofę i – o ile mógł go porównać ze znanymi mu okolicami – dość oddalonym od cywilizacji. Tam gdzie powinna unosić się jego ojczysta planeta, latało po kosmosie coś prowincjonalnego, w dodatku gnijącego, przemoczonego i zaludnionego pałkarzami i świniami błotnymi. Ponieważ nawet *Autostopem* nie działało tutaj jak należy, Arturowi nie pozostawało nic innego, jak prowadzić w podobnych miejscach tego typu rozmowy. Wszędzie pytał o Stavromulę Beta, nikt jednak nie słyszał o takiej planecie.

Światy jakie miał do dyspozycji, wyglądały dość marnie. Nie miały Arturowi wiele do zaoferowania, ponieważ także on nie miał im wiele do zaoferowania. Artura otrzeźwiło nieco spostrzeżenie, że pochodzi ze świata, w którym, co prawda, istnieją samochody, komputery, balet i armagnac, ale on nie ma zielonego pojęcia, jak to wszystko się robi. Pozostawiony samemu sobie, nie umiałby skonstruować nawet opiekacza do grzanek. Umiał zrobić w miarę

smaczną kanapkę, ale to było wszystko. Nie było więc wielkiego zapotrzebowania na jego osobę.

Stracił w końcu animusz. Był tym zaskoczony, ponieważ zdawało mu się, że stracił go już dawno. Zamknął oczy. Jak bardzo chciał znaleźć się ponownie w domu... odzyskać ojczyznę. Marzył, by okazało się, że Ziemia, na której dorastał, nigdy nie została wyburzona, by wszystko okazało się nieprawdą. Pragnął móc otworzyć oczy i znaleźć się na progu swego domku w zachodniej Anglii, widzieć słońce oświetlające zielone wzgórza i jadący ulicą samochód listonosza, kwitnące w ogródku dzwoneczki i otwierany w południe pub. Tęsknił za pubem, gazetą i możliwością czytania jej przy dużym kuflu guinnessa. Marzył o krzyżówce. Rozsadzało go z tęsknoty za pustką w głowie przy 17 poziomo.

Otworzył oczy.

Zobaczył dziwnego stwora, który pulsował irytująco i postukiwał nibynóżkami w blat.

Artur pokręcił głową i obejrzał następną stronę.

„Nędza” – pomyślał. Przewrócił kartkę. „Potworna nędza”. Następna kartka. „Oj...” To wyglądało znacznie lepiej.

Planeta nazywała się Bartledan. Miała w atmosferze tlen, miała zielone wzgórza, a nawet znaczącą kulturę literacką. Najciekawsze było jednak zdjęcie grupy Bartledańczyków, stojących na rynku i uśmiechających się przyjaźnie do aparatu.

– Mhm – mruknął, podając zdjęcie dziwnemu stworkowi w okienku.

Stworek wybałuszzył oczy na szypułkach i przetoczył nimi po papierze, pozostawiając ślad śluzu.

– Nnnaaa... – wysepleniał z niesmakiem. – Wyglądają dokładnie jak pan.

Artur pojechał na Bartledan i za pieniądze, które dostał w banku genów za trochę śliny i skrawków paznokci u nóg, wynajął w mieście pokój. Czuł się tu dobrze. Powietrze było łagodne, ludzie wyglądali tak samo jak on, nie mieli nic przeciwko temu, że mieszka z nimi, i nie atakowali go czymkolwiek. Kupił sobie parę rzeczy i szafę, by mieć je gdzie powiesić.

Stworzył sobie egzystencję, teraz jeszcze tylko musiał znaleźć jej sens.

Na początku pobytu próbował zająć się czytaniem. Niestety, chociaż literatura Bartledanu słynęła w całym sektorze galaktycznym z delikatności i uroku, nie przykuła uwagi Artura. Problem tkwił w tym, że nie opowiadała o ludziach. Nie dotyczyła ludzkich dążeń. Mieszkańcy Bartledanu byli, co prawda, zewnątrznie bardzo podobni do ludzi, kiedy jednak Artur mówił do kogoś „Dobry wieczór”, zagadnięty rozglądał się zaskoczony, pociągał parę razy nosem i mówił „No tak, teraz, kiedy pan to powiedział, też uważam, że wieczór jest do przyjęcia”.

– Nie to mam na myśli. Chciałem życzyć miłego wieczoru – odpowiadał Artur, a raczej odpowiadałby, szybko bowiem zaczął unikać podobnych rozmów. – Chciałem powiedzieć, że mam nadzieję, iż ma pan miły wieczór.

Zakłopotanie rosło.



– Życzyć? – pytał w końcu grzecznie, choć nic nie rozumiejąc, Bartledańczyk.

– No tak, próbowałem jedynie dać wyraz nadziei...

– Nadziei?

– Tak.

– A cóż to jest „nadzieja”?

„Dobre pytanie” – mówił sobie w myśli Artur i wracał do hotelu, by w spokoju zastanowić się nad tym i owym.

Z jednej strony musiał przyjąć do wiadomości i uznać bartledański pogląd na wszechświat, że wszechświat jest tym, czym jest, i basta. Z drugiej strony nie mógł się pozbyć wrażenia, iż nie jest naturalne nie odczuwać tęsknoty, niczego sobie nie życzyć ani nie mieć nadziei.

Naturalne. Ciekawe pojęcie.

Dawno temu zrozumiał, że wiele z tego, co uważał za naturalne – na przykład kupowanie prezentów na Gwiazdkę, zatrzymywanie się na czerwonym świetle albo spadanie z przyspieszeniem 9,81 metrów na sekundę do kwadratu – jest jedynie właściwością jego świata, niekoniecznie występującą w podobnej formie gdzie indziej, ale niczego sobie nie życzyć nie może być naturalne. To tak, jakby nie oddychać.

Mimo dużych ilości tlenu w atmosferze, oddychanie było kolejną czynnością, której Bartledańczycy nie wykonywali. Po prostu stali. Od czasu do czasu oczywiście biegali i grali w koszykówkę czy coś podobnego, generalnie jednak przy tym nie oddychali. Na dodatek nigdy nie życzyli sobie zwycięstwa. Grali, a wygrał, kto wygrał. Z niewiadomego powodu oddychanie nie było im potrzebne. Artur szybko się przekonał, że granie z Bartledańczykami w koszykówkę jest dość upiorne. Choć wyglądali jak ludzie, poruszali się jak ludzie i mówili jak ludzie, nie oddychali i niczego sobie nie życzyli.

Artur wręcz przeciwnie – niemal przez cały dzień tylko oddychał i czegoś sobie życzył. Czasami życzył sobie czegoś tak bardzo, że zaczynał dyszeć, i musiał na chwilę się położyć. Sam. W swoim pokoiku. Był tak daleko od świata, gdzie się urodził, że przy próbie określenia liczb, koniecznych do obliczenia odległości, jego mózg tracił z przepracowania przytomność.

Artur wołał się nad tym nie zastanawiać. Wołał siedzieć i czytać – to znaczy – wołałby, gdyby coś było warte przeczytania. W bartledańskich opowieściach nikt nigdy niczego nie chciał. Nawet szklanki wody. Oczywiście, kiedy chciało im się pić, nalewali sobie szklankę wody, ale jeśli nie mieli pod ręką wody, przestawali o niej myśleć. Książka, którą Artur właśnie czytał, opisywała mężczyznę, który w trakcie trwającej tydzień akcji pracował trochę w ogródku, grywał w koszykówkę, pomagał naprawiać ulicę przed domem, spłodził dziecko i tuż przed ostatnim rozdziałem umarł nagle z pragnienia. Artur, zły, cofnął się niemal do samego początku i w drugim rozdziale znalazł wzmiankę o kłopotach z wodociągiem. Tyle. W rezultacie facet umarł. Ot tak.

Nie był to jednak finał historii, nie było bowiem żadnego. Bohater umarł mniej więcej na początku przedostatniego rozdziału, w książce opisano jeszcze kilka szczegółów naprawy ulicy i skończono ją po stutysięcznym słowie, taką bowiem długość miała każda bartledańska książka.

Artur rzucił książką o ścianę, wymeldował się i wyjechał. Krążył bez celu po Galaktyce, a żeby mieć na bilety, sprzedawał coraz więcej śliny, paznokci, krwi, włosów i wszystkiego, czego mógł się pozbyć. Za spermę mógł lecieć pierwszą klasą. Nigdzie się nie osiedlał, wegetował w zamkniętym, ciemnym świetle statków hiperprzestrzennych. Spał, oglądał filmy i zostawał w danym miejscu tak długo, aż był w stanie sprzedać tyle DNA, by stać go było na bilet na następny maksymalnie daleki lot. Czekał na szczęśliwy przypadek.

Czekanie na szczęśliwy przypadek jest problematyczne, ponieważ nieskuteczne. „Przypadek” oznacza coś zupełnie innego, niż sądzi większość ludzi. Jeśli chodzi o Artura, nie nastąpił ani przypadek, na który czekał, ani przypadek, którego się nie spodziewał, lecz wypadek. Statek, którym właśnie podróżował, zamigotał w hiperprzestrzeni, w okropny sposób zatrzepotał równocześnie między dziewięćdziesięcioma siedmioma punktami wszechświata, w jednym z nich dostał się w pole grawitacyjne nie zaznaczonej na żadnej mapie planety, zaplątał się w jej atmosferę i wyjąc oraz rozpadając się na kawałki, zaczął w nią wpadać.

W trakcie spadania systemy sterujące statku nieustannie twierdziły, że wszystko jest w normie, kiedy jednak statek, wirując jak bąk, wyciął w lesie kilometrowej długości przecinkę i wybuchł, stało się jasne, że tak nie jest.

Las został objęty przez pożar, który strzelił płomieniami w noc i zgasił się sam, wszystkie bowiem nie planowane pożary określonej wielkości są do tego ustawowo zobowiązane. W kilku miejscach wybuchły niewielkie pożarki, wywołane wybuchami porzucanych fragmentów statku. W końcu one też pogasły.

Z wyjątkiem Artura Denta, który z nudów jako jedyny na pokładzie nauczył się jako tako działań ratunkowych na wypadek niespodziewanego lądowania, nie przeżył żaden z pasażerów. Artur leżał poskręcany i pokaleczony w czymś przypominającym wykładany pluszem różowy kokon, na wierzchu którego w trzech tysiącach języków nadrukowano: ŻYCZYMY MIŁEGO DNIA.

Duszę Artura zalały czarne, ogłuszające fale milczenia. Zrezygnowany, pogodził się z tym, że musi przeżyć, ponieważ jeszcze nie był na Stavromula Beta.

Po wieczności wypełnionej bólem i ciemnością zauważył, że krążą wokół niego milczące cienie.

## Rozdział 12

Ford spadał w chmurze okruchów szkła i fragmentów krzeseł. Znow nie przemyślał sprawy do końca. By zyskać na czasie, zdał się na instynkt. Kiedy w jego życiu następowały poważniejsze kryzysy, pomagało mu często obejrzenie okiem wyobraźni swego życia jak filmu. Dawało to możliwość przemyślenia spraw, spojrzenia na nie z innej perspektywy, czasem przynosiło wskazówkę, co robić dalej. Grunt pędził ku niemu z przyspieszeniem 9,81 metrów na sekundę do kwadratu, Ford pomyślał jednak, że zajmie się tym problemem, kiedy uderzy weń nosem. Wszystko po kolei.

Aha, zaczyna się. Dzieciństwo. Nudy, znał to na pamięć. Obrazy przelatywały dalej. Nudziarstwa na Betelgeuse Pięć. Zaphod Beeblebrox jako dzieciak. Tak, wszystko pamiętał. Chciałby mieć w głowie klawisz szybkiego przewijania. Siódme urodziny, na które dostał pierwszy ręcznik. Szybciej! Tempo!

Wirował i zataczał koła, w płuca wciskało mu się lodowate powietrze, aż cała klatka piersiowa skurczyła się z przerażenia. Tylko nie połknąć szkła.

Pierwsze podróże na inne planety. Drogi Zarkwonie, to nudne jak wykład z przezrociami przed właściwym filmem! Początek pracy dla *Autostopem*.

Zaczyna się!

Dobre, stare czasy. Pracowali w chacie na atolu Bwenelli na Fanalli aż do ataku Riktanarkelów i Dankwedów. Kilku kolegów, parę ręczników, garść wysokiej klasy urządzeń cyfrowych i – przede wszystkim – marzenia. Nie. Przede wszystkim masa fanallańskiego rumu. Prawdę mówiąc, najważniejszy był stary džankski sznaps, potem fanallański rum i parę plaż, po których szwendały się miejscowe dziewczyny. Marzenia były oczywiście też ważne. Co z nich zostało?

Nie umiał sobie przypomnieć, o czym marzyli, ale pamiętał, że było to coś niezwykle ważnego. Na pewno jednak nie marzyli o olbrzymim biurowcu, z którego właśnie spadał. Przemiana *Autostopem* zaczęła następować od momentu, kiedy pierwotny zespół okrzepł i zaczął być pazerny na pieniądze. On sam i wielu innych ludzi w dalszym ciągu prowadziło badania w terenie, wystawiało w górę autostopowiczowski kciuk i coraz bardziej oddalało się od menedżerskiego koszmaru, w jaki przemieniała się załoga, i architektonicznego monstrum,

w jakie się przeobraził. Gdzie zostały ich marzenia? Ford myślał o zajmujących jeden z dwóch budynków adwokatów, „pracownikach wydawnictwa” z najniższych pięter, redaktorach poszczególnych działów i ich sekretarkach, adwokatów ich sekretarek i sekretarkach adwokatów ich sekretarek i o najgorszym – księgowości i dziale marketingu.

Miał niemalże ochotę spadać bez końca. Środkowy palec w górę za tę bandę!

Właśnie przelatywał obok siedemnastego piętra, w którym gnieździł się dział marketingu. Banda pijaczków, kłócących się o to, jaki kolor ma mieć przewodnik, mądrych dopiero po fakcie. Gdyby któryś z nich wyjrzał właśnie przez okno, bardzo by się zdziwił, widząc lecącego na pewną śmierć Forda Prefecta, wystawiającego w ich kierunku środkowy palec.

Szesnaste piętro. Redaktorzy działów. Łajdacy. Co się stało z materiałami, które mu wykreślili? Wyniki piętnastu lat badań, wszystko wykreślono z wyjątkiem: „W zasadzie niegroźna”. Dla nich też pozdrowienie paluszkami.

Piętnaste piętro. Administracja logistyczna, choć nie wiadomo, co to i po co. Każdy z tego działu miał wielki samochód. Dział istniał chyba tylko po to.

Czternaste piętro. Kadry. Nie mógł się pozbyć okropnego wrażenia, że to tu spowodowano jego piętnastoletnie wygnanie, w czasie którego *Autostopem* przeobraził się w monolit (raczej duolit, nie wolno bowiem zapomnieć o adwokatach), jakim był dziś.

Trzynaste piętro. Badania i rozwój.

Momencik. Trzynaste piętro.

Ponieważ jego sytuacja staje się coraz bardziej groźna, musi zacząć myśleć nieco szybciej.

Nagle przypomniał sobie wskaźnik pięter w windzie. Brakowało trzynastego piętra. Nie zwrócił na to przedtem uwagi, ponieważ w czasie piętnastu lat pobytu na dość zacofanej Ziemi, na której wiele przesądów wiązało się z trzynastką, przyzwyczał się do budynków, w których opuszczano przy numerowaniu pięter tę właśnie liczbę, ale tu nie było ku temu najmniejszego powodu.

Okna na trzynastym piętrze były ciemne, zauważył to przelatując.

Co się za nimi kryło? Przypomniał sobie dziwne słowa Vann Harla o jednym, wielowymiarowym przewodniku, który miano sprzedawać w nieskończonej liczbie wszechświatów. W ustach Harla brzmiało to jak bezsensowne życzenie działu marketingu, wspieranego przez księgowość. Jeśli jednak było w tym choć trochę prawdy, pomysł był szalenie niebezpieczny. A może to prawda? Co się dzieje za czarnymi oknami odciętego od świata trzynastego piętra?

Ford najpierw poczuł rosnącą ciekawość, potem rosnące przerażenie. Nie odczuwał w tej chwili innych rosnących emocji. Pod każdym innym względem było niedobrze. Powoli musi zacząć się poważnie zastanawiać, jak wybrnąć z sytuacji.

Rzucił okiem w dół. Mniej więcej trzydzieści metrów niżej kręcili się ludzie, niektórzy patrzyli z nadzieją w górę. Robili mu miejsce. Przerwali nawet na chwilę wspaniałą i kompletnie bezsensowną gonitwę za wocketem.

Nie chciał ich zawieść, zauważył jednak, że pół metra pod nim leci Colin. Widocznie asystował mu radośnie cały czas i czekał, aż Ford coś postanowi.

– Colin! – krzyknął Ford. Colin nie zareagował. Ford oniemiał. Na szczęście wpadło mu do głowy, że jeszcze nie zdążył poinformować Colina, iż tak właśnie się nazywa. – Chodź tu!

Colin podskoczył do Forda. Lot sprawiał mu ogromną przyjemność i miał nadzieję, że Fordowi też. Nagle i nieoczekiwanie, w momencie kiedy spadł na niego ręcznik Forda, świat robota zrobił się czarny i Colinowi natychmiast wydało się, że zrobił się znacznie cięższy. Był podekscytowany i szczęśliwy z powodu wyzwania, jakie rzucił mu Ford, nie był jednak pewien, czy do niego dorósł.

Ręcznik ciasno owijał robota. Ford zwiślał, trzymając się go kurczowo. Wielu autostopowiczów uważało za wskazane upiększać ręczniki na różne egzotyczne sposoby, nawet wszywać w nie ezoteryczne narzędzia, dodatkowe urządzenia i sprzęt komputerowy, ale Ford był purystą. Kochał prostotę. Woził z sobą najnormalniejszy ręcznik ze zwykłego sklepu z bielizną domową, nawet – wbrew wszelkim próbom wywabienia – w błękitno-różowe kwiatki. Ford wetknął między włókna parę drucików i giętki długopis, jeden róg nasączył substancjami odżywczymi, by w razie czego móc posać, poza tym był to zwykły ręcznik do wycierania twarzy. Jediną znaczącą zmianą, na jaką namówił Forda przyjaciel, było wzmocnienie brzegów. Ford wbijał w nie paznokcie jak wariat. W dalszym ciągu spadali, ale znacznie wolniej.

– W górę, Colin! – Żadnej reakcji. – Nazywasz się Colin. Kiedy więc krzyknę „W górę, Colin!”, chciałbym, byś poleciał w górę. Rozumiesz, Colin? W górę, Colin!

Jediną reakcją było ciche stęknienie. Ford był coraz bardziej zmartwiony. Opadali teraz bardzo powoli, ale Forda martwiły zbierające się pod nimi postaci. Sympatyczni miejscowi poszukiwacze wocketa rozpięchli się, na ich miejscu „znikąd” pojawiły się masywne, potężne istoty o byczych karkach i ślimaczych ciałach, z miotaczami rakiet w rękach.

Niestety, „znikąd” – o czym doskonale wiedzą doświadczeni autostopowicze – to jedynie przenośnia, wszędzie bowiem powietrze jest pełne wielowymiarowych twardych gruntów do spadania.

– W górę! – ponownie wrzasnął Ford. – W górę, Colin! – Colin szarpał i stękał. Wisieli teraz niemal nieruchomo. Ford miał wrażenie, że zaraz pękną mu palce. – W górę! – Nawet nie drgnęli. – W górę, w górę, w górę!

Jeden ze ślimaków przygotowywał się do wystrzelenia w nich rakietę. Ford nie był w stanie tego pojąć. Wisiał w powietrzu, trzymając się ręcznika, a ślimak przygotowywał się do wystrzelenia w niego rakietę... Dobre pomysły dawno mu się skończyły, zaczynał się bać.

Gdy miał tego rodzaju kłopoty, zwykle prosił o radę *Autostopem*. Przewodnik zawsze coś poradził, chociażby niejasno czy bez sensu. Niestety, to nie był odpowiedni moment, by sięgnąć do kieszeni. Poza tym *Autostopem* nie wydawało się już przyjacielem i sojusznikiem, ale raczej zagrożeniem. W końcu, niech to Zarkwon trzaśnie, Ford wisiał przed redakcją przewodnika, a jego życiu zagrażali ludzie, którzy przejęli go na własność. Co się stało z niemal zapomnianymi marzeniami, jakie mieli na atolu Bwenelli? Powinni byli od razu dać sobie spokój. Zostać tam na plaży, kochać się z pięknymi dziewczynami, jeść ryby. Powinien był wyczuć, że sprawy rozwijały się w złym kierunku, począwszy od momentu, kiedy zaczęto wieszać fortepiany nad basenem z potworem morskim. Ford poczuł się nagle zmęczony i niepotrzebny. Palce płonęły mu bólem. Bolała go kostka.

„Dziękuję, kostko – pomyślał Ford gorzko. – Bardzo ci dziękuję, że dajesz znać o swoich problemach właśnie teraz. Prawdopodobnie wolałabyś być w misce z ciepłą wodą? Mogłabyś...”

Wpadł na pewien pomysł.

Opancerzony ślimak zarzucił już wyrzutnię na ramię. Rakieta była prawdopodobnie tak skonstruowana, by trafić w najbliższy poruszający się obiekt.

Ford usiłował nie pocić się, czuł bowiem, że brzegi ręcznika zaczynają wyslizgiwać mu się z rąk. Czubkiem zdrowej nogi pchał i naciskał obcas drugiego buta.

– Leć do góry, do jasnej cholery! – mamrotał bezradnie do Colina, który wesolutko drżał, ale nie był w stanie wznieść się. Ford dalej zajmował się obcasem.

Próbował zgrać wszystko w czasie, ale to nie miało sensu. Należało po prostu spróbować. Miał tylko jedną próbę i musiała się udać. Zsunął but z pięty. Ból w skręconej kostce osłabł. Co za ulga!

Kopnął w obcas, but zsunął się z nogi i poleciał w dół. Niecałe pół sekundy później z wyrzutni wyleciała rakieta, zareagowała na but, ruszyła w jego kierunku, trafiła go i eksplodowała z poczuciem zadowolenia i dobrze wykonanego zadania.

Wybuch nastąpił około pięciu metrów nad ziemią.

Niemal cała siła eksplozji została skierowana w dół. Tam gdzie jeszcze przed chwilą na eleganckim placu wyłożonym błyszczącymi kafelkami z prastarych kamieniołomów Zentalkwabuli, stał uzbrojony w miotacze rakiet oddział pracowników firmy „NieskończoMęt”, znajdował się płytki, wypełniony obrzydliwościami krater.

Z epicentrum wybuchu wzniosła się masa gorącego powietrza i gwałtownie wyrzuciła Forda i Colina w górę. Ford zaczął rozpaczliwie walczyć o równowagę i stracił ją. Bezradnie koziółkował w powietrzu, osiągnął apogeum paraboli lotu, zamarł na chwilę i ponownie runął w dół. Spadał, spadał i spadał, aż nagle owinał się wokół Colina, który ciągle się wznosił. Kurczowo chwycił się kulistego robocika. Colin jak dźgnięty poleciał na fasadę budynku. Zachwycony próbował odzyskać równowagę i zahamować.

Świat wirował wokół splecionego z robotem Forda, wywołując prędkością odruch wymiotowania. Nagle, z wywołującą ten sam odruch gwałtownością przestał wirować i zamarł w bezruchu.

Ford stwierdził, że siedzi na gzymsie. Przelatywał jego ręcznik, wyciągnął więc rękę i złapał go.

Colin podskakiwał w powietrzu tuż przed jego nosem.

Podrapany, krwawiący i zdyszany, Ford rozejrzał się wokół. Gzyms, na którym siedział, miał najwyżej trzydzieści centymetrów szerokości i znajdował się trzynaście pięter nad ziemią.

Trzynaście.

Ford wiedział, że siedzi na trzynastym piętrze, ponieważ okna za jego plecami były czarne. Był bezgranicznie zgorzkniały. Buty kupił za szalenie wysoką cenę w Nowym Jorku na Lower East Side. Z ich powodu napisał esej o zaletach dobrego obuwia, który jednak został wyrzucony za burtę w trakcie katastrofy z „W zasadzie nie groźna”. Niech to diabli wezmą. Teraz został w jednym bucie. Odchylił głowę do tyłu i zapatrzył się w niebo. Nie byłoby tragedii, gdyby nie zburzono Ziemi, teraz jednak nie miał szansy kupić drugiej pary.

Oczywiście, z powodu nieskończonego bocznego odchylenia prawdopodobieństwa, istniała niemal nieskończona liczba planet Ziemia, ale jeśli pojawiała się taka konieczność, nie można było zastąpić butów, na których ci zależało, zabawami z wielowymiarową czasoprzestrzenią.

Ford westchnął.

„A niech to” – pomyślał, zmuszając się do spojrzenia na wydarzenie w sposób pozytywny. Faktem było, że but uratował mu życie. Przynajmniej na razie.

Siedział na trzynastym piętrze, na przymocowanym do fasady wieżowca wąskim gzymsie, i wcale nie był pewien, czy było to warte utraty dobrego buta.

Lekko oszołomiony, próbował zajrzeć przez ciemną szybę do wnętrza.

W środku było ciemno i cicho jak w grobowcu.

Nie! Co za głupi pomysł! Był na wielu świętych prywatkach w grobowcach.

Czy dobrze zauważył, że w środku coś się poruszyło? Nie miał pewności. Zdawało mu się, że zobaczył dziwny, łopoczący cień, ale mogło to być spowodowane skapującymi mu z rzęs kroplami krwi. Starł je. O rany, mieć teraz farmę i hodować owce! Ponownie wbił wzrok w pomieszczenie za szybą, uznał jednak, że opanowało go bardzo w dzisiejszych czasach rozpowszechnione we wszechświecie wrażenie, iż jest ofiarą złudzenia optycznego i omamów wzrokowych.

Co to za śmieszny ptaszek w środku? Co oni mogą trzymać na tajnym trzynastym piętrze za ciemnymi, rakietoodpornymi szybami? Klatki z ptaszkami? Coś bez wątplenia w środku łopotalo, nie wyglądało jednak na ptaka, lecz na mającą kształt ptaka dziurę w powietrzu.

Ford zamknął oczy – marzył o tym od dawna. Zaczął się zastanawiać, co robić dalej. Skoczyć w dół? Zacząć się wspinać? Nie wierzył, by istniała możliwość dostania się do środka. Co prawda, rakietoodporne szkło w biurze Vann Harla nie wytrzymało strzału, ale wystrzelono w okno od środka, i to z małej odległości, producenci szkła nie brali pod uwagę takiej możliwości. Nie oznaczało to jednak, że może po prostu rozbić szybę, waląc w nią owiniętą rękawiczką pięścią. „Kto to zresztą wie?” – pomyślał Ford i spróbował. Natychmiast złapał się za bolącą pięść. Na szczęście w pozycji, jaką zajmował, nie mógł dobrze się zamachnąć, inaczej naprawdę by go zabolalo. Ponieważ przy odbudowie po ataku komandosów z Żaby budowla została solidnie wzmocniona, była prawdopodobnie najlepiej opancerzoną redakcją wszechświata. Ford był jednak przekonany, że tak jak wszystko, co wymyślają rady nadzorcze, musi mieć słabe punkty. Jeden już znał. Producenci szyb nie spodziewali się, że ktoś może strzelić w okno od wewnątrz i z bliska – dlatego ich okna zawiodły.

Czego nie spodziewaliby się producenci szyb po kimś siedzącym na gzymsie za ich oknem? Znalezienie na to odpowiedzi kosztowało Forda sporo wysiłku.

Po pierwsze, nie mogli się spodziewać, że ktoś tam będzie siedzieć. Mógł tam siedzieć jedynie kompletny idiota, a zatem Ford był już niemal zwycięzcą. Jednym z powszechnych błędów ludzi próbujących skonstruować coś w pełni odpornego na głupotę jest niedocenianie pomysłowości kompletnego idioty.

Ford wyciągnął z kieszeni niedawno nabytą kartę kredytową, wsunął ją w szparę między oknem i framugą i zrobił coś, czego nie byłaby w stanie zrobić żadna rakietka: delikatnie przesunął kartę w górę. Poczł, jak odskakuje zamek. Pchnął okno, o mało nie spadając ze śmiechu. Podziękował bogom za Wielkie Rozruchy Wentylacyjne i Telefoniczne na SrDt 3454.

Wielkie Rozruchy Wentylacyjne i Telefoniczne na SrDt 3454 zaczęły się od problemu nadmiaru gorącego powietrza. Gorące powietrze było problemem, który miała usunąć wentylacja; wentylacja usuwała go dość skutecznie do momentu wynalezienia klimatyzacji, która radziła sobie z problemem w znacznie bardziej interesujący sposób.

Wszystko było ładnie i pięknie (oczywiście, jeśli dało się wytrzymać nieustanny szum i kapanie) do czasu, aż ktoś wymyślił coś znacznie bardziej wyrafinowanego i eleganckiego, mianowicie tak zwaną „wewnątrzbudynkową kontrolę klimatu”.

To było naprawdę coś.

Wewnątrzbudynkowa kontrola klimatu różniła się od tradycyjnej klimatyzacji przede wszystkim tym, że była zatrzważająco droga i wymagała zainstalowania niezliczonej liczby skomplikowanych urządzeń pomiarowych i sterujących, które o każdej porze dnia i nocy wiedziały lepiej od ludzi, jakim powietrzem chcą oni oddychać. Oznaczało to oczywiście zamontowanie wyłącznie okien nieotwieralnych, tylko one bowiem mogły zapewnić, że ludzie nie zepsują tego, co oferował im system za pomocą skomplikowanych obliczeń.



Zaczęto więc wstawiać okna nieotwieralne. Podczas zakładania wewnętrzzbudynkowych kontrolerów klimatu wielu ludzi rozmawiało z technikami dobrodychowości w standardowy sposób:

- Co będzie, jeśli zechcemy otworzyć okna?
- Mając system dobrodychowy, nie będziecie państwo chcieli otwierać okien.
- Świetnie, założmy jednak teoretycznie, że zechcemy je troszkę uchylić.
- Mając system dobrodychowy, nie zechcą państwo uchylać okien nawet troszkę. Postara się o to system dobrodychowy.
- Hmm.
- Proszę cieszyć się systemem dobrodychowym!
- Oczywiście, ale co się stanie, jeśli system się zepsuje, zacznie źle funkcjonować albo coś w tym rodzaju?
- Jedną z najwspanialszych cech systemu dobrodychowego jest to, że nie może się zepsuć. Pod tym względem możecie być państwo całkowicie spokojni! Życzymy dobrego oddychania i miłego dnia!

(Na skutek Wielkich Rozruchów Wentylacyjnych i Telefonicznych na SrDt 3454 każdy producent urządzeń mechanicznych, elektrycznych, kwantowomechanicznych, hydraulicznych, nawet napędzanych wiatrem, parą i tłokami, zobowiązany jest do umieszczenia na swoich produktach standardowego napisu. Niezależnie od wielkości produktu, projektanci form przemysłowych muszą wymyślić sposób na umieszczenie napisu, który ma skłonić do myślenia raczej ich, niż użytkowników tych produktów. Napis jest następujący:

GLÓWNA RÓŻNICA MIĘDZY TYM, CO MOŻE SIĘ ZEPSUĆ, A TYM, CO NIE MOŻE SIĘ W ŻADEN SPOSÓB ZEPSUĆ, POLEGA NA TYM, ŻE JEŚLI ZEPSUJE SIĘ TO, CO NIE MOŻE SIĘ W ŻADEN SPOSÓB ZEPSUĆ, ZWYKLE OKAZUJE SIĘ, ŻE NIE MOŻNA TEGO ANI ZDEMONTOWAĆ, ANI NAPRAWIĆ.)

Przedziwnym zbiegiem okoliczności wkrótce po masowym zainstalowaniu dobrodysznych wewnętrzzbudynkowych kontrolerów klimatu nadeszły fale upałów i zaczęły się awarie systemów. Na początku wywołało to jedynie podskórną niechęć do nowej techniki i kilka uduszeń.

Poważne kłopoty zaczęły się wtedy, kiedy w ciągu jednego dnia nastąpiły niemal równocześnie trzy wydarzenia.

Pierwszym z nich było wydanie przez „Dobrodyszność Sp. z o.o.” obwieszczenia, że produkty firmy funkcjonują najlepiej w klimacie umiarkowanym.

Drugim wydarzeniem była wywołana ogromnym upałem i niezwykle wysoką wilgotnością powietrza awaria systemu dobrodysznego w wielkim biurowcu, skąd musiano ewakuować kilkuset pracowników, którzy na placu przed biurowcem natknęli się na trzecie wydarzenie. Była nim zdesperowana horda pracowników central telefonicznych, którzy mieli

dość codziennego mówienia do każdego idioty, umiejącego trzymać słuchawkę telefoniczną, następujących słów: „Bardzo dziękujemy, że skorzystał/-a pan/-i z usług telekomunikacji”, i wyszli na ulice uzbrojeni w śmietniki, głośniki i karabiny.

W trakcie wielodniowej rzezi wybito każde okno w mieście, niezależnie od tego, czy było rakietoodporne czy nie. Wybijaniu okien towarzyszyły okrzyki typu: „Spadaj z łącza, palancie! Mam gdzieś, z kim się chcesz połączyć i skąd dzwonicz! Spadaj i wsadź sobie w tyłek petardę! Juu-huuu! Ho hooo hooooo! Boing! Blaaa!” i tym podobne zwierzęce odgłosy, których nie wolno wydawać z siebie podczas pracy w centrali telefonicznej.

W rezultacie wszystkim pracownikom central telefonicznych nadano konstytucyjne prawo mówienia przynajmniej raz dziennie przez telefon: „Korzystaj z usług telekomunikacji i zdychaj”, biurowce zaś wyposażono w okna, które można było choć trochę uchylać.

Innym, zupełnie nieoczekiwanym efektem stał się gwałtowny spadek samobójstw. Zestresowani, usilnie starający się zrobić karierę dyrektorzy, którzy w trakcie trwania tyranii dobrodysnej nie mieli innego wyjścia jak skoczyć pod pociąg albo wbić sobie w brzuch sztylet, mieli teraz możliwość wyjścia na gzyms własnego gabinetu i skoczenia w dół, kiedy tylko przyszła im na to ochota. Coraz częściej zdarzało się jednak, że w chwili rozglądania się i koncentracji przed skokiem odkrywali, iż nie brakuje im niczego poza odrobiną świeżego powietrza, nowym spojrzeniem na świat, no i może jeszcze farmą, gdzie mogliby hodować owce.

Jeszcze jednym, zupełnie nie planowanym rezultatem było to, że mimo skromnego wyposażenia, składającego się z karty kredytowej i ręcznika, udało się Fordowi Prefectowi wejść przez znajdujące się na trzynastym piętrze okno, odporne na strzały rakietowe.

Pozwolił wlecieć do środka Colinowi, zatrzasnął za sobą okno i zaczął rozglądać się za przedziwnym ptakiem.

Jeśli chodzi o okna, zwrócił uwagę, że były przebudowane z nieotwieralnych na otwieralne, przez co nie były tak trwałe jak okna od początku otwieralne. „No tak – myślał Ford – życie jest czasem dziwne”, kiedy dotarło do jego świadomości, że pomieszczenie, do którego włamał się z takim trudem, nie jest wcale interesujące.

Staął zaskoczony.

Gdzie się podział dziwny łopoczący kształt? Gdzie było cokolwiek, co uzasadniało całe zamieszanie, otaczającą to pomieszczenie tajemnicę i łańcuch niezwykłych wydarzeń, które musiały się wydarzyć, by go tu zwabić?

Pomieszczenie było – jak wszystkie pomieszczenia w budynku – utrzymane w brzydkiej, szarej tonacji. Na ścianach wisiało parę tabel i wykresów. Większości Ford nie potrafił odczytać, wkrótce jednak odkrył coś, co przypominało projekt plakatu. Na plakacie znajdował się symbol ptaka i napis: PRZEWODNIK „AUTOSTOPEM PRZEZ GALAKTYKĘ, WERSJA II”: NAJBARDZIEJ ZADZIWIAJĄCA RZECZ, JAKA KIEDYKOLWIEK ISTNIAŁA. WKRÓTCE W WASZEJ CZASOPRZESTRZENI. To wszystko.

Ford jeszcze raz się rozejrzył. Jego uwagę zwrócił niewyobrażalnie szczęśliwy robot nadzorczy Colin, który właśnie skulił się w kącie i drżał, jakby coś go śmiertelnie przeraziło.

„Dziwne” – pomyślał Ford. Omiótł wzrokiem pomieszczenie i zauważył na stole roboczym coś, co dotychczas uszło jego uwagi.

Przedmiot był okrągły, czarny i miał średnicę pokrywki do garnka. Ponieważ obie boczne płaszczyzny delikatnie się wybrzuszały, sprawiał wrażenie dysku lekkoatletycznego, choć raczej w wersji dla juniorów. Dysk wydawał się odlany z jednego kawałka, jego powierzchnia była całkowicie gładka, niczego na niej nie było.

Leżał bez ruchu.

Wtem Ford spostrzegł, że na dysku jest coś napisane. Dziwne. Jeszcze przed chwilą niczego tam nie było, a teraz jest, i to bez przejścia z jednego stanu w drugi.

Na dysku małymi, nieprzyjaznymi literkami było napisane słowo:

## PANIKUJ

Jeszcze przed chwilą na powierzchni dysku nie było żadnych śladów ani zarysowań, teraz były i w dodatku rosły.

„Panikuj” – nakazywało *Autostopem, wersja II*. Ford natychmiast posłuchał. Właśnie sobie przypomniał, dlaczego ślimakowate istoty wydały mu się znajome. Kolor ich skóry odpowiadał, co prawda, firmowej szarości, ale pod każdym innym względem wyglądali jak Vogoni.

## Rozdział 13

Statek łagodnie wylądował na skraju rozległej polany, około trzydziestu metrów od pierwszej chałupy.

Pojawił się nagle i nieoczekiwanie, osiadł jednak spokojnie jak opadający liść. Jeszcze przed chwilą było zupełnie normalne, wczesnojesienne późne popołudnie – liście zaczynały się czerwienić i złocić, zasilana deszczami z gór rzeka zaczynała przybierać, upierzenie dziobokurów zaczynało gęstnieć w oczekiwaniu zimy, wkrótce zacznie się wędrówka Całkiem Normalnych Bydłał, Stary Głędzior zaczął łązić po wsi, mrużąc pod nosem coraz głośniej, co oznaczało, że przepowiada i układa sobie historyjki o minionym roku, które zacznie opowiadać, kiedy wieczory się wydłużą, a mieszkańcom wsi nie pozostanie nic innego niż zbierać się przy ognisku, słuchać go, pomrukiwać i twierdzić, że ich zdaniem wszystko odbyło się inaczej – a teraz nagle wylądował statek kosmiczny. Stał i połyskiwał w promieniach ciepłego jesiennego słońca.

Statek trochę pobuczał i przestał.

Nie był duży. Gdyby mieszkańcy wioski byli fachowcami, rozpoznaliby, że mają przed sobą nieduży, zgrabny, czteromiejscowy hrundowy gazik, wyposażony w niemal wszystkie urządzenia z katalogu, oczywiście, z wyjątkiem systemu wyrównywania znoszenia wektorowego, który kupują jedynie mięczaki. Mając system wyrównywania znoszenia wektorowego, nie można zrobić porządnego, ciasnego, ostrego zakrętu wokół trzyramiennej osi czasowej. Zgoda, zwiększa to nieznacznie bezpieczeństwo lotu, ale powoduje, że statek zaczyna pływać przy gwałtowniejszych ruchach drążkami.

Oczywiście, mieszkańcy wsi nie mieli o tym wszystkim najmniejszego pojęcia. Większość mieszkańców prowincjonalnej planety Lamuella jeszcze nigdy nie widziała statku kosmicznego; czegoś tak niezwykłego jak to, co stało właśnie w wieczornym słońcu, nie widziano od dnia, kiedy Kirp złowił rybę z łbem na obu końcach.

Wszyscy milczeli.

Tam gdzie jeszcze kilka sekund temu kilkunastu ludzi kręciło się, gadało, nosiło wodę, drażniło dziobokury albo próbowało zgrabnie zejść z drogi Staremu Głędziorowi, nic się teraz

nie ruszało. Wszystko, co żyło, odwróciło się, by z zapartym tchem wpatrywać się w przedziwny obiekt.

Nie, nie wszystko. Dziobokurom zapierały dech zupełnie inne rzeczy. Najzwyklejszy, leżący nieoczekiwanie na kamieniu liść powodował, że zaczynały podrygiwać dziwnymi sekwencjami kroków, a co rano wytrącał je z równowagi wschód słońca, lądowanie statku kosmicznego nie było jednak czymś, co mogłoby zwrócić ich uwagę. Niewzruszone popiskiwały „karr”, „rrrit” i „hhhak” i chodziły po podwórku, szukając ziaren. Rzeka, też niewzruszona, nieprzerwanie cicho mruczała.

Poza tym nie zamilkł głośny, niemelodyjny śpiew, wydobywający się z chaty na skraju wsi.

Nagle, z cichym trzaśnięciem i buczeniem, rozłożyły się schodki. Przez dwie, trzy minuty nic się nie działo, pomijając oczywiście śpiew w chacie na skraju wsi. Statek stał i nic nie robił.

Kilku wieśniaków, głównie młodych, przesunęło się do przodu, by lepiej widzieć. Stary Głędzior próbował ich przegonić, nie cierpiał bowiem podobnych wydarzeń. Nie przewidział go, w najmniejszym stopniu nie przeczuł, że może nastąpić, i chociaż z pewnością uda mu się je włączyć do swojej nie kończącej się opowieści, poniósł porażkę.

Ruszył gwałtownie do przodu, odepchnął młodzież i podniósł do góry ręce, w których trzymał wiekowy, sękaty kostur. Promienie słońca ładnie go oświetlały. Przygotowywał się do powitania przybyłych bogów, jakby od dawna ich oczekiwał.

W dalszym ciągu nic się nie działo.

Powoli stawało się jasne, że na statku trwa kłótnia. Czas mijał, Starego Głędziora zaczynały boleć ramiona.

Nagle schodki się złożyły.

W ten sposób Głędzior wybrnął z opresji. Na statku znajdowały się demony, które przegnał. Nie chciał mówić o nich przedtem ze skromności i ostrożności.

Niemal w tym samym momencie z drugiej strony statku rozłożyły się drugie schodki, po których zaczęły schodzić dwie istoty, ciągle jeszcze kłójące się i ignorujące zgromadzonych, ze Starym Głędziorem włącznie; zresztą i tak nie mogły go widzieć ze schodków, którymi schodziły.

Stary Głędzior gryzł brodę ze złości.

Stać dalej z uniesionymi rękoma? Paść na kolana ze schyloną głową i wyciągniętym przed siebie kosturem? Upaść na plecy, jakby powaliła go tytaniczna siła? A może pójść do lasu i pomieszkać rok na drzewie, z nikim nie rozmawiając?

W końcu postanowił opuścić ręce, jakby właśnie zakończył coś, co zamierzał. Ponieważ naprawdę go bolały, nie miał wyboru. Zrobił w kierunku schowanych przed chwilą schodków zaimprovizowany, tajemniczy ruch i cofnął się trzy i pół kroku, by obejrzeć dziwnych przybyszów. Później podejmie decyzję, co robić dalej.

Wyższa istota była bardzo ładną kobietą, ubraną w kombinezon z miękkiego, pogniecionego materiału. Stary Głędzior nie mógł oczywiście wiedzieć, że był to rymplon, nowy syntetyk, wspaniale nadający się do podróży kosmicznych, ponieważ najlepiej wyglądał w wygniecionym i przepoconym stanie.

Mniejsza istota była dziewczynką. Sprawiała wrażenie dość niezdarnej i mrukliwej, a miała na sobie ubranie, które w wygniecionym i przepoconym stanie wyglądało okropnie, z czego doskonale chyba zdawała sobie sprawę.

Wszyscy wpatrywali się jak w obie istoty jak zaczarowani. Oczywiście, z wyjątkiem dziobokurów, które wpatrywały się tylko w interesujące je obiekty.

Kobieta stanęła i rozejrzała się wokół. Wyglądała na bardzo zdecydowaną. Wyraźnie czegoś chciała, ale nie bardzo wiedziała, gdzie tego szukać. Obserwowała twarze zebranych wieśniaków, którzy przyglądali się jej zaciekawieni, choć nie mieli pojęcia, czego może od nich chcieć. Stary Głędzior nie wiedział, co zrobić, i postanowił przerzucić się na śpiewanie. Wzniósł oczy ku niebu i zaczął zawodzić, natychmiast jednak przeszkodził mu śpiew, który rozległ się z chaty Sandwiczmana na skraju wsi.

Kobieta gwałtownie się odwróciła, na jej twarzy powoli zakwitał uśmiech. Nawet nie spojrzawszy na Starego Głędziora, ruszyła energicznym krokiem ku chacie.

Robienie sandwiczki to sztuka, której głębię mają czas opanować tylko nieliczni. Zadanie jest pozornie łatwe, ale by dało zadowalające rezultaty, wymaga spełnienia wielu warunków. Wszystko zaczyna się od doboru odpowiedniego chleba. Sandwiczman spędził wiele miesięcy na codziennych konsultacjach z piekarzem Grarpem, nim wypiekli bochen o wystarczająco ściślejszej konsystencji, by można było kroić z niego cienkie i równe kromki, a jednocześnie tak pulchne, wilgotne i delikatnie pachnące orzechami, by maksymalnie podkreślić aromat pieczonego mięsa Całkiem Normalnych Bydłał.

Przy okazji poprawili geometrię kromki, czyli relacje między jej szerokością, długością i grubością, tylko bowiem optymalne proporcje zapewniają gotowemu sandwiczowi odpowiedni ciężar i przyjemny dla dłoni kształt. Najważniejszą zaletą była tu lekkość, istotną rolę odgrywały także jednolita konsystencja, pulchność oraz obietnica soczystości i smakowitości, cechujące naprawdę wyśmienity sandwicz.

Podstawowe znaczenie miały, oczywiście, odpowiednie narzędzia; wiele dni, podczas których nie pracował z piekarzem, Sandwiczman spędził u płatnerza Strindera na ocenie i wyważaniu noży. Wielokrotnie wracali do kuźni. Dyskutowali zawzięcie nad elastycznością, twardością, ostrością, długością klingi i punktem ciężkości, tworzyli teorie, badali, ulepszali; wieczorami można było obserwować Sandwiczmana i płatnerza, stojących przed kuźnią na tle wieczornego słońca, powoli poruszających nożami, porównujących ciężar jednego z punktem ciężkości drugiego, elastyczność trzeciego z wykończeniem rączki czwartego.

Potrzebne były trzy noże. Pierwszy – do krajania chleba – z mocną, sztywną klingą, która jasno i niedwuznacznie narzuci bochnowi swą wolę. Drugi – do smarowania masła –

elastyczna, nieduża zabaweczka, ale o mocnej konstrukcji. Pierwsze wersje były nieco zbyt miękkie, teraz jednak odkryli odpowiednie połączenie elastyczności i twardości, zapewniające właściwy poślizg i elegancję rozsmarowywania masła.

Najważniejszy był jednak nóż do mięsa. Miał nie tylko narzucać – jak nóż do chleba – swą wolę, ale współpracować z krojonym mięsem, pozwolić się prowadzić włóknom, by można było uzyskać plasterki o najlepszej strukturze i formie. Każdy cieniutki plasterk Sandwiczman rzucał wprawnym ruchem nadgarstka na mającą idealne proporcje dolną kromkę, przycinał ją czterema ruchami w prostokąt i wreszcie robił to, na co czekały zebrane wokół niego dzieciaki z całej wsi i na co patrzyły z zachwytem i ciekawością. Za pomocą czterech szybkich ruchów noża odcięte kawałki chleba tworzyły na mięsie układankę o idealnie pasujących elementach. Z powodu różnej wielkości i kształtów odciętych kawałków, każdy sandwicz miał inną układankę. Sandwiczmanowi za każdym razem udawało się bez najmniejszego wahania i trudu ułożyć z nich perfekcyjny wzorek. Na wierzch kładł drugą warstwę mięsa, następnie drugą warstwę obrzynków chleba i jego akt twórczy był zasadniczo ukończony.

Sandwiczman przekazywał swe dzieło asystentowi, który kładł na wierzch kilka plasterków odurka i czodkiewki, smarował cienko sosem katarskim, przykrywał wszystko jeszcze jedną kromką chleba i przekrawał sandwicz na pół czwartym, znacznie mniej dopracowanym nożem. Oczywiście, zadania te również wymagały pewnych umiejętności, były jednak na tyle łatwe, że mógł je wykonywać pomocnik, który pewnego dnia, kiedy mistrz zawiesi noże na kołku, zostanie jego następcą. Mimo wszystko stanowisko było godne pozazdroszczenia i pomocnik Drimple budził wśród swych krajan zazdrość. We wsi byli tacy, którym pozwalano rąbać drwa, i tacy, którym wolno było nosić wodę, ale być Sandwiczmanem... to niebo na ziemi.

Dlatego Sandwiczman śpiewał przy pracy.

Zużywał właśnie resztki zawekowanego w ubiegłym roku mięsa. Choć swe najlepsze dni miało już za sobą, Sandwiczman nie spotkał w swoim dotychczasowym życiu niczego, co choć w przybliżeniu dorównywałoby mięsu Całkowicie Normalnych Bydła. Liczono na to, że w przyszłym tygodniu przebiegną przez wieś tysiące Bydła. Zapanuje wtedy wielkie poruszenie – mieszkańcy upolują siedemdziesiąt, może nawet osiemdziesiąt sztuk. Bydła trzeba będzie jak najszybciej zarznąć, podzielić na kawałki i zasolić. W ten sposób wieś będzie miała zapewnione jedzenie na zimę, dopóki wiosną nie przebiegnie przez równinę powracające stado; wtedy będzie można uzupełnić zapasy.

Najlepsze mięso pieczono od razu; obchodzono przy tym święto nadejścia jesieni. Celebrowano je, objadając się i tańcząc przez trzy dni oraz słuchając opowieści Starego Głędziora o polowaniu, które wymyślił siedząc w namiocie, podczas gdy wszyscy polowali.

Najlepszego mięsa nie zjadano podczas święta, lecz zimne przekazywano Sandwiczmanowi. Nazajutrz ćwiczył na nim otrzymane od bogów umiejętności i mieszkańcy

objadali się najlepszymi sandwiczami jesieni. Następnego dnia mieszkańcy wsi zaczęli przygotowywać się do trudów nadchodzącej zimy.

Dziś robił zwykłe sandwiche, jeśli mianem zwykłych można określić przygotowywane z taką miłością przysmaki. Ponieważ nie było jego asystenta, Sandwiczman musiał sam ozdabiać sandwiche, ale był wręcz szczęśliwy z tego powodu. Niemal wszystko napawało go dziś szczęściem.

Krajał i śpiewał, rzucał plasterki mięsa na chleb, przycinał kromki w prostokąty i robił układanki z odciętych kawałków. Trochę sałaty, odrobina sosu, następna kromka, następny sandwicz, następna zwrotka *Yellow Submarine*.

– Cześć, Artur.

Sandwiczman o mało nie obciął sobie kciuka.

Mieszkańcy wsi z konsternacją obserwowali kobietę z kosmosu, maszerującą w kierunku chaty Sandwiczmana. Sandwiczmana zesłał im Bob Wszechmogący w płonącym rydwanie. Tak przynajmniej mówił Stary Głędzior, a znał się na tego typu sprawach. W każdym razie twierdził, że się na nich zna, a jeśli Stary Głędzior... i tak dalej. Nie warto było się spierać.

Niektórzy mieszkańcy wsi zadawali sobie pytanie, dlaczego Bob Wszechmogący nie przysłał swego jedyne go Sandwiczmana w przyjaźnie lądującym rydwanie, lecz w pojeździe, który zniszczył połowę lasu, zasiedlił go złymi duchami, a na dodatek poważnie zranił samego Sandwiczmana. Stary Głędzior wyjaśnił, że to niezbadana wola Boba Wszechmogącego, kiedy zaś zapytali, co oznacza „niezbadana”, kazał im sprawdzić w słowniku.

Stanowiło to problem, ponieważ jedynym posiadaczem słownika był Stary Głędzior, a wiedzieli, że na pewno go nie pożyczą. Pytali nieraz, dlaczego, odpowiadał na to, że wiedza o Bobie Wszechmogącym nie jest przeznaczona dla nich, kiedy zaś pytali, dlaczego, odpowiadał, że dlatego iż tak mówi. Pewnego dnia, kiedy Stary Głędzior poszedł pływać, ktoś zakradł się do jego chaty i sprawdził hasło „niezbadany”. „Niezbadany” oznaczało: „nie dający się zbadać, wyjaśnić, zgłębić; nieodgadniony, tajemniczy, niedocieczony”. To zostało wyjaśnione.

Przynajmniej mieli sandwiche.

Pewnego dnia Stary Głędzior oznajmił, że Bob Wszechmogący postanowił, iż on, Stary Głędzior, ma brać sobie sandwiche pierwszy. Mieszkańcy wsi zapytali, kiedy dokładnie to się wydarzyło, Stary Głędzior odparł, że wczoraj, gdy wszyscy byli odwróceny.

– Zaufajcie mi – powiedział Stary Głędzior – albo niech was piekło pochłonie!

Pozwolili, by pierwszy wybierał sandwiche. Uznali, że to najprostsze rozwiązanie.

Teraz nie wiadomo skąd pojawiła się ta kobieta i poszła prosto do chaty Sandwiczmana. Prawdopodobnie jego sława rozniosła się daleko, choć mieszkańcom wsi trudno było sobie wyobrazić, dokąd, Stary Głędzior twierdził bowiem, że poza ich wsią nic nie ma. Nieważne



jednak, skąd przybyła – pewnie była to jedna z „niezbadanych” spraw – teraz była w ich wsi, w dodatku w chacie Sandwiczmana. Kim jest? Kim jest dziwna dziewczynka, stojąca przed chatą z kwaśną miną, rzucająca kamykami i okazująca jak tylko może, że nie ma najmniejszej ochoty być w ich wsi? Wieśniakom nie mieściło się w głowie, po co ktoś miałby przebywać drogę z Niezbadaności w rydwanie, będącym ogromnym postępem w stosunku do płonącego pojazdu, którym przybył Sandwiczman, jeśli nie miał najmniejszej ochoty być w ich wsi.

Wszyscy zwrócili głowy ku Staremu Głędziorowi, ale on klęczał, mamrocząc coś pod nosem, wpatrywał się tępo w niebo i nie miał zamiaru spojrzeć nikomu w oczy, dopóki nie wpadnie mu do głowy jakiś pomysł.

\* \* \*

– Trillian... – wydukał Sandwiczman, ssąc krwawiący kciuk. – Co...? Kto...? Kiedy...? Gdzie...?

– O to samo zamierzałam zapytać – powiedziała Trillian, rozglądając się po chacie. Wszędzie widziała porządnie poukładane sprzęty kuchenne. Stało tu kilka prostych szafek i regałów, w rogu skromne łóżko. Drzwi w ścianie naprzeciw wejścia prowadziły nie wiadomo dokąd, były bowiem zamknięte. – Miło tu – dodała, choć w jej głosie był wąpiący ton. Nie rozumiała, co to wszystko znaczy.

– Bardzo miło. Niezwykle miło. Jeszcze nigdy w życiu nie byłem w tak miłym miejscu. Jestem szczęśliwy. Lubię mnie, robię im sandwicze, poza tym... eee to chyba już wszystko. Lubię mnie, a ja robię im sandwicze.

– Brzmi to, bo ja wiem...

– Idyllicznie – pewnie zakończył Artur. – Tak też jest. Naprawdę. Nie oczekuję, by ci się spodobało, ale dla mnie to ideał. Wiesz... Może usiądziesz? Masz na coś ochotę? Może sandwicza?

Trillian wzięła do ręki sandwicz i zaczęła mu się przyglądać. Powąchała go ostrożnie.

– Spróbuj – przerwał ciszę Artur. – Smaczny.

Trillian ugryzła mały kęs, następnie większy i sceptycznie zaczęła żuć.

– Smakuje naprawdę nieźle – powiedziała i znów zaczęła przyglądać się sandwiczowi.

– Dzieło mojego życia. – Artur starał się, by jego głos brzmiał dumnie, ale nie idiotycznie. Zdażył się przyzwyczać do bycia adorowanym, musiał więc nieco stonować.

– Co to za mięso?

– To... hm... Całkowicie Normalne Bydlę.

– Co?

– Całkowicie Normalne Bydlę. Przypomina w smaku krowę, może raczej wołu. Wygląda jak bawół. Wielkie, stadne zwierzęta.

– Co jest w nich niezwykłego?

– Nic. Są całkiem normalne.

– Aha.

– Niezwykłe jest może tylko to, skąd przybywają.

Trillian zmarszczyła czoło i przestała żuć.

– A skąd przybywają? – zapytała z pełnymi ustami.

Nie przełknie, póki się nie dowie.

– Nie chodzi jedynie o to, skąd przybywają, ale też o to, dokąd się udają. Nie bój się, możesz bez strachu połknąć. Zjadłem tego tony, jest pierwsza klasa. Bardzo soczyste. Delikatne. Ma słodkawy aromat, ale pozostawia długo przyjemny, lekko wędzony posmak.

Trillian ciągle jeszcze nie przełknęła.

– Skąd przybywają i dokąd się udają? – zapytała.

– Przybywają z miejsca znajdującego się gdzieś na wschód od gór Hondo. To te szczyty za wsią, musiały je zauważyć, lądując. Pędzą tysiącami przez płaskowyż Anhondo i to... właściwie wszystko. Przybywają z jednej strony płaskowyżu, znikają po drugiej.

Trillian zmarszczyła czoło. Czegoś chyba nie rozumiała.

– Może nie wyraziłem się dość jasno. Mówiąc o tym, że przybywają z miejsca znajdującego się na wschód od gór Hondo, miałem na myśli, że pojawiają się tam znikąd, potem pędzą po płaskowyżu Anhondo i rozplývają się w powietrzu. Mamy około sześciu dni, by złapać ich jak najwięcej, nim znikną. Na wiosnę wszystko się powtarza, tyle że w odwrotnym kierunku.

Trillian przełknęła wbrew woli. Gdyby tego nie zrobiła, musiałaby wypluć, a sandwich naprawdę dobrze smakował.

– Rozumiem – powiedziała po chwili, która upewniła ją, że mięso nie daje natychmiastowych skutków ubocznych. – A dlaczego nazywają się „Całkiem Normalne Bydłeta”?

– Cóż, sądzę, że inaczej cała historia wydawałaby się tutejszym ludziom zbyt niesamowita. To chyba Stary Głędzior tak je nazwał. Mówi, że przybywają, skąd przybywają, i odchodzą, dokąd odchodzą, bo taka jest wola Boba i basta.

– Kto to...?

– Nie mówmy o tym.

– Dobrze. Wygląda na to, że nieźle ci się wiedzie.

– Znakomicie. Ty też wyglądasz dobrze.

– Czuję się świetnie. Nawet bardzo.

– Świetnie. To znakomicie.

– Oczywiście.

– To dobrze.

– Jak najbardziej.

– Miło, że wpadłaś.

– Dzięki.

– No tak... – Artur rozejrzał się bezradnie. Zdziwiająco, jak mało ludzie mają sobie do powiedzenia po tak długiej rozłące.

– Pewnie się zastanawiasz, jak cię znalazłam.

– Właśnie! Czasem się nad tym zastanawiam. Jak mnie znalazłaś?

– Jak może wiesz – albo i nie – pracuję dla wielkiej rozgłośni sub-eta...

– Wiem – przyznał Artur, który właśnie to sobie przypominał. – Świetnie ci idzie. Bomba. Ekstra. Doskonale. To musi być naprawdę frajda.

– Jest męczące.

– No tak, te rozjazdy. Wyobrażam sobie.

– Mamy dostęp do każdej informacji. Znalazłam twoje nazwisko na liście pasażerów rozbitego statku.

Artur zaniemówił.

– Chcesz mi powiedzieć, że wiedzieli o katastrofie?

– Oczywiście. Przecież statek pasażerski nie może zniknąć bez śladu.

– Wiedziano, gdzie się zdarzyła? Wiedziano, że przeżyłem?

– Oczywiście.

– I nikt nie przyleciał, by się rozejrzeć, szukać, uratować mnie?

– I nie przyleci. Wygląda mi to na bardzo skomplikowany przypadek ubezpieczeniowy. Całą historię schowano czym prędzej do akt. Wszyscy udają, że nic się nie wydarzyło. Branża ubezpieczeniowa jest obecnie naprawdę zwariowana. Wiedziałaś, że przywrócono karę śmierci dla członków zarządów firm ubezpieczeniowych?

– Naprawdę? Nie, skąd. Za jakie przestępstwo?

Trillian zmarszczyła czoło.

– Jak to za przestępstwo?

– Rozumiem...

Trillian popatrzyła Arturowi długo w oczy i zupełnie innym tonem powiedziała:

– Najwyższy czas, żebyś wziął na siebie odpowiedzialność.

Artur próbował zrozumieć usłyszane słowa. Już dawno zauważył, że często musi minąć nieco czasu, nim pojmie, co mają na myśli jego rozmówcy, spokojnie więc pozwolił, by minęło kilka chwil. Jego życie płynęło obecnie tak radośnie i swobodnie, że zawsze pozostawało dość czasu na wchłonięcie czegoś nowego. Pozwolił na to słowom Trillian.

Kiedy minął odpowiedni czas, przekonał się, że w dalszym ciągu nic nie rozumie i głośno się do tego przyznał.

Trillian obdarzyła go chłodnym uśmiechem i odwróciła głowę do drzwi.

– Random! – zawołała. – Wejdz. Przywitaj się z ojcem.

## Rozdział 14

Kiedy *Autostopem* przemieniło się z powrotem w gładką, ciemną tarczę, do świadomości Forda dotarło jednocześnie mnóstwo rzeczy. Należałoby raczej powiedzieć: „mijały ją w pędzie”, krążyły bowiem zbyt szybko i było ich zbyt wiele, by umysł mógł je objąć naraz. Fordowi huczało w głowie, bolała go kostka i choć nie zamierzał zachowywać się jak mięczak z powodu zwykłej kostki, uważał w dalszym ciągu, że wielowymiarową logikę najlepiej próbować zrozumieć w wannie. Potrzebował czasu na zastanowienie. Czasu, mocnego drinka i aromatycznego, dobrze pieniącego się płynu do kąpieli.

Musi wydostać się z budynku. Musi wynieść *Autostopem*. Wątpił, by udało mu się wyjść z przewodnikiem. Rozejrzał się po pokoju jak zaszczuty pies.

„Myśl, zastanawiaj się, rozmyślaj. Rozwiązanie musi być proste i oczywiste”. Jeśli potwierdzi się jego okropne, groźne podejrzenie, że naprawdę ma do czynienia z okropnymi, groźnymi Vagonami, najlepsze będzie najprostsze i najbardziej oczywiste rozwiązanie.

Nagle wiedział już co robić.

Nie będzie próbował pokonać systemu. Wykorzysta go. Najbardziej przerażające w Vagonach było całkowicie bezsensowne zdecydowanie, z jakim wykonywali wszystkie bezsensowne rzeczy, na jakie się zdecydowali. Nie miało najmniejszego sensu apelowanie do ich rozsądku, ponieważ nie mieli rozsądku. Jeśli zachowało się zimną krew, można było czasem wykorzystać to, że z oślim uporem i tępotą upierali się przy tym, by być upartym jak osioł i tępym jak pałka. Nie tylko można było z całkowitą odpowiedzialnością twierdzić, że ich lewica często nie wie, co czyni prawica – zazwyczaj nawet prawica nie miała pojęcia, co się dzieje.

Czy zaryzykować i wysłać dysk pod swoim adresem?

Czy odważyć się wrzucić dysk w system pocztowy i czekać, aż Vagoni mu go dostarczą, podczas gdy będą przewracać do góry nogami redakcję, szukając miejsca, w którym go schował?

Oczywiście.

Zaczął gorączkowo pakować dysk. Zawinął go w papier. Zaadresował. Zawahał się chwilę, zadając sobie pytanie, czy dobrze robi, natychmiast jednak wrzucił paczkę do szybu pocztowego.

– Colin – poinformował robocika. – Zostawię cię teraz własnemu losowi.

– Oj, ale się cieszę!

– Ciesz się, ciesz, ale chciałbym, żebyś zajął się tą paczką jak najlepsza angielska niania i wyniósł ją z budynku. Jeśli cię przyłapią, zostaniesz prawdopodobnie skasowany i nie będę ci mógł w niczym pomóc. Spotkają cię prawdziwe przykrości, bardzo bym się tym smucił. Rozumiemy się?

– Zachłystuję się szczęściem.

– W drogę!

Colin posłusznie zanurkował w szyb pocztowy. Ford martwił się teraz już tylko o siebie, oznaczało to jednak wystarczająco dużo kłopotów. Zza drzwi, które dla pewności zamknął i zatarasował wielką metalową szafą, dolatywały odgłosy ciężko obutych, biegnących nóg.

Martwił się, że wszystko poszło tak gładko. Wszystko idealnie do siebie pasowało. Przeżywał wydarzenia dzisiejszego dnia zupełnie niefrasobliwie, mimo to wszystko układało się jak najlepiej. Z wyjątkiem buta. Żał mu było buta. Ktoś kiedyś mu za to zapłaci.

Drzwi eksplodowały z ogłuszającym hukiem i wpadły do środka. Poprzez pył i dym Ford widział wchodzące do środka wielkie, ślimakowate istoty.

„A więc wszystko idzie jak po maśle, co? Wszystko odbywa się, jakbym miał jedną wielką szczęśliwą passę. Zobaczmy”.

Z pasją prawdziwego badacza ponownie rzucił się przez okno.

## Rozdział 15

Pierwszy miesiąc, czyli poznawanie się, był dość trudny. Drugi miesiąc, czyli przetrwanie tego, czego dowiedzieli się o sobie w trakcie pierwszego miesiąca, był znacznie łatwiejszy.

Trzeci miesiąc, w którym przybyła paczka, był bardzo skomplikowany.

Na początku trudność sprawiało Arturowi nawet wyjaśnienie pojęcia „miesiąc”, choć dla niego samego było to tu, na Lamuelli, bardzo przyjemne zjawisko. Doba trwała nieco dłużej niż dwadzieścia pięć godzin, co oznaczało, że mógł codziennie leżeć godzinę dłużej w łóżku, i choć, oczywiście, musiał regularnie nastawiać zegarek, robił to z przyjemnością.

Wrażenie, że jest w ojczyźnie, wzmacniało to, że Lamuellę okrążał jeden księżyc i oświetlało jedno słońce, nie zaś – z czym zetknął się na wielu planetach – absurdalne ich zbiorowisko.

Planeta okrążała swe jedyne słońce co trzysta dni i było to niezwykle rozsądne, ponieważ dzięki temu rok nie był zbyt długi. Księżyc okrążał Lamuellę dziewięć razy w roku, z czego wynikało, że miesiąc miał nieco więcej niż trzydzieści dni. Idealne – nie trzeba było się spieszyć z załatwianiem wszelkich spraw. Nie tylko przypominało to Ziemię, ale było wręcz ulepszeniem panujących na niej warunków.

Random miała jednak wrażenie, że uwięziono ją w powtarzającym się ciągle koszmarze sennym. Dostawała w nocy ataków krzyku, była przekonana, że księżyc ją prześladowuje. Ścigał ją noc w noc, kiedy zaś nareszcie zniknął, pojawiał się słońce, które też natychmiast zaczynało ją prześladować. Tak było co noc.

Trillian ostrzegła Artura, że Random może mieć pewne problemy z przyzwyczajeniem się do regularnego trybu życia, mimo to Artur nie był przygotowany na spotkanie kogoś, kto z pełnym przekonaniem zacznie wyć do księżyca.

Nie był przygotowany na nic z tego, co mu się przydarzyło.

Jego córka?!

Jego córka? Przecież on nigdy z Trillian... A jeśli tak? Był przekonany, że jeśli tak, to by pamiętał. Co w takim razie z Zaphodem?

– Nie jesteśmy tymi samymi gatunkami – rzekła Trillian. – Kiedy postanowiłam urodzić dziecko, zrobiono mi wszelkie możliwe badania genetyczne i znaleziono tylko jeden mój odpowiednik. Dopiero później zrozumiałam, co to oznacza. Sprawdziłam i okazało się, że miałam rację. Zwykle nie ujawniają danych, ale nie darowałam im.

– Chcesz powiedzieć, że poszłaś do banku DNA? – Artur szeroko otworzył oczy.

– Tak. Tyle że Random nie powstała tak przypadkowo, jak można by sądzić po imieniu – w końcu byłeś jedynym dawcą. Wygląda na to, że sporo latałeś.

Artur wielkimi oczami wpatrywał się w wyglądającą na nieszczęśliwą dziewczynkę, która opierała się o ścianę i patrzyła na niego kosym wzrokiem.

– Ale kiedy... jak długo...?

– Chcesz wiedzieć, w jakim jest wieku?

– Tak.

– W złym.

– Co to ma znaczyć?

– Że nie mam pojęcia.

– Co?!

– W moim prywatnym czasie urodziłam ją dziesięć lat temu, jest jednak znacznie starsza. Latam ciągle w tę i z powrotem w czasie. Taka praca. Kiedy tylko mogłam, zabierałam ją z sobą, ale nie zawsze było to możliwe. Zostawiałam ją wtedy w całodziennych przedszkolach, oferujących możliwość wyboru strefy czasowej, ale kto w dzisiejszych czasach poda wiarygodne dane? Człowiek oddaje dziecko rano i nie wie, w jakim wieku odbierze je wieczorem. Można składać zażalenia do śmierci, ale nic to nie da. Raz zostawiłam ją w takim przedszkolu na parę godzin, a kiedy wróciłam, właśnie skończyła dojrzewać. Robiłam co mogłam, ale teraz twoja kolej. Muszę zająć się wojną.

Dziesięć sekund po odlocie Trillian było najdłuższymi sekundami w życiu Artura. Jak wiemy, czas jest czymś względnym. Można pokonywać odległości mierzone w latach świetlnych i dopóki robi się to z prędkością światła, człowiek starzeje się o kilka sekund, podczas gdy jego brat bliźniak albo siostra bliźniaczka posunie się o dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści albo i więcej lat, co zależy od pokonanej odległości.

Może to wstrząsnąć człowiekiem, naprawdę głęboko wstrząsnąć – zwłaszcza jeśli nie miało się pojęcia o bliźniaku albo bliźniaczce. Kilka sekund nieobecności zwykle nie wystarcza, by przygotować się na szokujące, nowe i dziwnie rozszerzone stosunki rodzinne, jakie zastaje człowiek po powrocie.

Dla Artura dziesięć sekund było zbyt krótkim okresem na takie przebudowanie obrazu siebie i swego życia, by zmieściła się w nim całkowicie nowa córka, której istnienia, budząc się rano, nawet nie podejrzewał. W ciągu dziesięciu sekund nie można stworzyć więzi rodzinnych i to niezależnie od tego, jak szybko i jak daleko się przed nimi uciekało. Patrząc

na stojącą z opuszczoną głową dziewczynkę, Artur czuł jedynie rozpacz, odrętwienie i oszołomienie.

Uznał, że nie ma sensu zaprzeczać, iż jest zrozpaczony.

Podszedł do dziewczynki i przytulił ją.

– Nie kocham cię – zaczął. – Przykro mi. Nawet cię nie znam. Daj mi kilka minut.

*Żyjemy w dziwnych czasach.*

*Na dodatek żyjemy w dziwnych miejscach: wszystkie znajdują się w naszych własnych wszechświatach. Ludzie, którymi zaludniamy nasze wszechświaty, to cienie istot z zupełnie innych kosmosów, przecinających się z naszymi własnymi. Stawianie czoła tak mącącemu umyśły poplątaniu wiecznie powtarzających się zdarzeń i zachowanie umiejętności mówienia słów w rodzaju: „Cześć, Ed. Ale się opaliłeś. Co u Carol?” wymaga wielkiej zdolności odróżniania rzeczy ważnych od nieważnych. Zdolność tę musi mieć każdy, kto nie chce utonąć w chaosie, w który nieustająco się zapadamy. Dajcie więc szansę swemu dzieciakowi, dobrze? (Fragment z: *Wychowanie stosowane w frakcyjnie udebilnionym wszechświecie*).*

– A to co?

Artur nieomal się poddał. Nie, nie podda się! Za nic. Jeszcze nie. Nigdy! Gdyby należał do ludzi poddających się, zrobiłby to właśnie teraz.

Jakby mało było być zgryźliwą i wybuchać z byle powodu, biegać po okolicy i bawić się w paleozoik, nie rozumieć, dlaczego cały dzień ma być włączona grawitacja, krzyczeć na słońce, by jej bez przerwy nie przesładowało, Random zabrała Arturowi nóż do mięsa, by wygrzebywać kamienie, którymi rzucała w dziwnie na nią patrzące dziobokury.

Artur nie wiedział nawet, czy na Lamuelli kiedykolwiek był paleozoik. Stary Głędzior twierdził, że pewnego wruntkowego popołudnia planeta wyskoczyła kompletnie gotowa z pępka monstualnego kornika; choć Artur, jako doświadczony podróżnik międzygwiazdny z trójkami z fizyki i geografii, miał spore wątpliwości co do tej teorii, kłócić się o to ze Starym Głędziorem byłoby stratą czasu.

Wzdychając, przyglądał się poszczerbionemu, powyginanemu nożowi. Chciał ją pokochać, nawet jeśli miałyby go to zabić. Albo ją. Albo ich oboje. Niełatwo jest być ojcem. Dobrze wiedział, że nikt tak nie twierdzi, ale co z tego – nigdy się nie prosił, by nim zostać.

Robił, co mógł. Każdą chwilę, której nie zajmowało mu robienie sandwiczów, spędzał z małą, rozmawiał z nią, chodził na spacer, siedział na wzgórzu, oglądając słońce zachodzące nad doliną, w której leżała wioska, próbował dowiedzieć się czegoś o jej życiu i opowiedzieć o swoim. Nie było to łatwe. To, co ich łączyło – oczywiście, z wyjątkiem tych samych genów – nie było większe od małej fasolki. Dokładnie mówiąc – miało wielkość Trillian, niewiele bowiem różnili się w opiniach na temat jej osoby.

– Co to jest?



Uświadomił sobie, że Random mówi do niego. Nie poznał jej głosu, zamiast bowiem wrogo i zgorzkniale warczeć, nieoczekiwanie zadała normalne pytanie.

Patrzył zaskoczony.

Siedziała w kącie na stołku, jak zwykle skulona i pochylona lekko do przodu. Ścisnęła kolana, stopy wystawiła na zewnątrz, ciemne włosy zakrywały niemal całą twarz. Przyglądała się czemuś, co trzymała w rękach.

Podszedł do niej trochę nerwowo.

Jej zmiany nastroju były nieprzewidywalne, dotychczas jednak wahały się od złego humoru do jeszcze gorszego. Po wybuchach pełnych gorzkich zarzutów następowało rozpaczliwe litowanie się nad sobą; ono z kolei ustępowało miejsca długim napadom głębokiej rozpacz, przerywanym czasem gwałtownymi atakami bezsensownej agresji w stosunku do różnych przedmiotów i wrzaskliwymi żądaniem pójścia do klubu elektrycznego.

Na Lamuelli nie tylko nie było elektrycznych klubów, ale w ogóle nie było klubów, tak samo zresztą jak i elektryczności. Była kuźnia i piekarnia, kilka wozów i studnia, były to jednak szczytowe osiągnięcia lamuellańskiej technologii; w ten sposób większość wybuchów wściekłości Random była skierowana przeciw niewyobrażalnej staroświeckości planety.

Dzięki wszczepionej w nadgarstek niewielkiej elastolistwie była, co prawda, w stanie odbierać na falach sub-eta programy telewizyjne, wcale jej jednak nie rozweselały, ponieważ wszędzie aż kipiało od reportaży o niesamowicie ekscytujących wydarzeniach w każdym zakątku Galaktyki. Oglądając telewizję, musiała na dodatek od czasu do czasu słuchać o matce, która ją porzuciła, by zdawać relację z jakiejś wojny; wojna ta nie wybuchła w planowanym miejscu albo przebiegła zupełnie nie tak, jak należy, ponieważ nie ustalono z góry rozsądnego sposobu jej relacjonowania. Ostatecznie mogła oglądać programy przygodowe, w których pokazywano, jak wpadają na siebie najróżniejsze statki kosmiczne.

Mieszkańcy wsi byli zahipnotyzowani cudownymi, magicznymi obrazami, śmigającymi po nadgarstku Random. Do tej pory widzieli rozbijanie się jednego statku, było to przerażające, okropne, szokujące i spowodowało tyle zniszczeń, ognia i śmierci, że w swej prostocie głuptaków nawet nie wpadli na pomysł, że coś takiego może być rozrywką.

Stary Głędzior był tak zdziwiony, że natychmiast rozpoznał w Random wysłankę Boba, wkrótce jednak doszedł do wniosku, iż została przysłana w celu sprawdzenia jego wiary, może nawet cierpliwości. Szczególnie niepokoiła go liczba katastrof statków kosmicznych, którą musiał od pewnego czasu wplatać w swe opowieści, jeżeli chciał skupić uwagę mieszkańców wsi i nie dopuścić, by go opuścili, pobiegli do Random i wpatrywali się w jej nadgarstek.

Nie patrzyła teraz na nadgarstek. Nadgarstek był wyłączony. Artur ostrożnie kucnął obok dziewczynki, by zobaczyć, co trzyma w dłoniach.

Był to jego zegarek. Zdjął go, idąc się wykapać pod pobliskim wodospadem, Random znalazła go, a teraz próbowała się dowiedzieć, jak działa.

– To zwykły zegarek – wyjaśnił Artur. – Pokazuje jedynie czas.

– Wiem, ale ciągle przy nim majstrujesz, a mimo to źle chodzi. Nie pokazuje nawet przybliżonego czasu.

Podniosła nadgarstek i elastolista natychmiast pokazała miejscowy czas. Wkrótce po przybyciu Random na planetę jej elastolista zabrała się do pomiarów lokalnej grawitacji i cech orbitalnych, zbadała położenie słońca i określiła jego trasę po niebie. Następnie z otoczenia pobrała informacje dotyczące lokalnych zwyczajów obchodzenia się z jednostkami miar i automatycznie się ustawiła. W ten sposób elastolista stale przystosowywała się do nowych warunków, w jakich znalazła się jej właścicielka, co dawało nieocenione usługi, jeśli podróżowało się dużo w przestrzeni i czasie.

Random ze zmarszczonym czołem obserwowała zegarek ojca, który nie robił ani jednej rzeczy z tych, co jej elastolista.

Artur uwielbiał swój zegarek. Sam nigdy by sobie nie kupił czegoś tak drogiego, był to prezent na dwudzieste drugie urodziny od bogatego ojca chrzestnego; miał on wyrzuty sumienia, bo do tego dnia nie tylko zapominał o kolejnych urodzinach Artura, ale nawet mylił jego imię. Zegarek pokazywał datę, godzinę i fazy księżyca, na poobijanym, podrapanym spodzie był wygrawerowany ledwie czytelny napis DLA ALBERTA NA DWUDZIESTE PIERWSZE URODZINY oraz zła data.

W ciągu kilku ostatnich lat zegarek przeżył niejedno, gwarancja z pewnością nie obejmowała większości. Wątpił, czy w gwarancji wyraźnie napisano, że zegarek będzie chodził prawidłowo jedynie w polu grawitacyjnym i magnetycznym Ziemi, tylko wtedy gdy doba będzie trwała dwadzieścia cztery godziny, planeta nie wybuchnie i tak dalej. Te warunki były tak oczywiste, że adwokaci z pewnością zgodzili się na to, żeby ich nie wymieniano.

Na szczęście zegarek był nakręcany, choć raczej należałoby powiedzieć, że nakręcał się sam. Nigdzie w kosmosie nie dałoby się znaleźć baterii odpowiadających wielkością i napięciem ziemskim.

– Po co są te cyfry? – spytała Random.

Artur wziął zegarek do ręki.

– Cyfry przy zewnętrznym obwodzie oznaczają godziny. W tym małym okienku z prawej strony jest napis CZW, co oznacza czwartek, 14 obok, że jest czternasty maja, o czym informuje napisane wyżej MAJ. Okienko na górze pokazuje fazy księżyca. Innymi słowy, informuje, jaką część księżyca oświetla w nocy światło słońca, co zależy od pozycji słońca, księżyca i... no, Ziemi.

– Ziemi?

– Tak, Ziemi.

– Stamtąd pochodzisz. Tak jak mama.

– Tak.

Random wyjęła Arturowi zegarek z ręki i znów zaczęła mu się przyglądać. Była wyraźnie skonsternowana. Przyłożyła go do ucha i zdumiona zaczęła się przysłuchiwać.

– Co to za dźwięk?

– Zegarek tyka. Napędza go mechanizm, tak zwany werk, który składa się z ząbiających się kółek i sprężynek, odpowiedzialnych za poruszanie wskazówkami w odpowiednim tempie, tak by prawidłowo pokazywać godziny, minuty, dni i tak dalej.

Random sceptycznie patrzyła na zegarek.

– Czegoś chyba nie rozumiem – powiedziała.

– Czego?

– Dlaczego to nie ma oprogramowania?

Artur zaproponował spacer. Miał poczucie, że powinni porozmawiać o tym i o owym; po raz pierwszy Random – choć nie była jeszcze przystępna ani gotowa do nawiązania kontaktu – nie była w złym humorze.

Z jej punktu widzenia sytuacja była wyjątkowo dziwna. Nie robiła trudności z premedytacją, po prostu nie wiedziała, że można zachowywać się inaczej.

Kim jest ten facet? Jakie życie ona ma tu wieść? Co to za świat, w którym ma je wieść? Co to za wszechświat, który atakuje ją przez oczy i uszy? Do czego ten wszechświat służy? Czego od niej chce?

Urodziła się w lejącym skądś dokądś statku kosmicznym; kiedy dotarł na miejsce, Dokąd okazało się jedynie kolejnym Gdzieś, z którego zaraz trzeba było znów dokądś lecieć i tak dalej, i tak dalej.

Zawsze uważała, że powinna być gdzie indziej, niż jest. Wrażenie, że znajduje się nie tam, gdzie powinna, było dla niej czymś zupełnie normalnym.

Ponieważ z powodu odbywania ciągłych podróży w czasie problem ten jedynie się pogłębiał, nie tylko miała wrażenie, że znajduje się w nieodpowiednim miejscu, ale i w nieodpowiednim czasie.

Nigdy nie dotarło do niej, że tak właśnie postrzega rzeczywistość, ponieważ było to dla niej coś najnaturalniejszego na świecie; podobnie nigdy nie wydało jej się dziwne, że niemal wszędzie, dokąd przylatuje, należy nosić kombinezony obciążające albo antygrawitacyjne oraz aparaty oddechowe. Jedynymi miejscami, w których czuła się dobrze, były przestrzenie, jakie sama sobie tworzyła: wirtualne rzeczywistości w klubach elektrycznych. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że miejscem, do którego pasuje człowiek, może być świat rzeczywisty.

Oczywiście, dotyczyło to także Lamuelli, na której wyrzuciła ją matka. Dotyczyło mężczyzny, który był tak dobry, że obdarował ją cennym i wspaniałym życiem, by dostać lepsze miejsce w statku kosmicznym. Jego szczęście, że był miły i spokojny, bo inaczej mógłby mieć kłopoty. Poważne. W kieszeni nosiła zaostrzony kamień, którym w razie czego mogła narobić sporo kłopotów.

Patrzanie na sprawy z czyjegoś punktu widzenia, bez odpowiedniego przygotowania, może być bardzo niebezpieczne.

Siedzieli na stoku, z którego widać było całą wioskę. Artur szczególnie lubił to miejsce. Właśnie zachodziło słońce.

Jedyną rzeczą, której Artur tu nie lubił, był widok na następną dolinę. Głęboka, ciemna, poszarpana blizna w lesie wskazywała tam miejsce, gdzie rozbił się jego statek. Może jednak właśnie dlatego często tu powracał. Istniało wiele miejsc, z których można było obserwować bujną lamuellańską przyrodę, ale szczególnie przyciągało go to właśnie miejsce, gdzie wbrew woli wciskała mu się do mózgu ciemna plama strachu i bólu.

Odkąd wyciągnięto go z wraku, ani razu nie był na miejscu katastrofy.

Nigdy tam nie pójdzie.

Nie wytrzymałby tego.

Prawdę mówiąc, dzień po katastrofie, jeszcze oszołomiony i zszokowany, poszedł kawałek w las. Miał złamaną nogę, kilka pękniętych żeber, rozległe oparzenia i nie był w stanie logicznie myśleć, uparł się jednak, by zaprowadzono go na to miejsce; mieszkańcy wsi zrobili to, aczkolwiek niechętnie. Nie udało mu się dojść do samego wraku, gdyż grunt zakipiał i stopił się od gorąca; w ten sposób na zawsze odwrócił się od przerażających wspomnień.

Wkrótce rozeszła się wieść, że w dolinie, w której wydarzyła się katastrofa, straszy i nikt nie odważył się tam pójść. Kraina była pełna pięknych, zielonych, wspaniałych dolin, nie było więc celu, by odwiedzać tę jedną. Najlepiej zostawić w spokoju przeszłość i pozwolić teraźniejszości przesuwając się ku przyszłości.

Random położyła zegarek na dłoniach i obracała nim powoli, pozwalając nisko padającym promieniom wieczornego słońca migotać w zadrapaniach i matowych miejscach grubego szkła. Fascynował ją widok podobnego do pajęczej nogi, podrygującego do przodu sekundnika. Za każdym razem, kiedy zakończył obrót, dłuższa z dwóch dużych wskazówek przesuwała się dokładnie o jeden z sześćdziesięciu odcinków, na jakie podzielony był zewnętrzny obwód tarczy. Kiedy dłuższa wskazówka zakończyła obrót, o jedną sześćdziesiątą obrotu przesuwała się mała.

– Przyglądasz mu się już ponad godzinę – łagodnie odezwał się Artur.

– Wiem. Godzina mija, kiedy duża wskazówka okrąży tarczę?

– Zgadza się.

– W takim razie oglądam go już godzinę i siedemnaście... minut. – Uśmiechnęła się pogodnie, choć tajemniczo; przesunęła się trochę i oparła o ramię Artura. Z ust Artura wydobyło się mimowolnie westchnienie, więzione w piersiach od tygodni. Chciałby objąć córkę, czuł jednak, że jeszcze na to za wcześnie, mógłby ją wystraszyć. Coś się jednak ruszyło. Coś w niej drgnęło. Czuł, że jeszcze nic w jej życiu nie było tak ważne jak ten

zegarek. Nie do końca rozumiał, co dokładnie znaczy dla niej zegarek, cieszył go jednak i dawał ulgę fakt, że cokolwiek wzruszyło jego córkę.

– Wyjaśnij mi to jeszcze raz – poprosiła.

– Kryją się za tym lata rozwoju ludzkości. Werki doskonalono przez setki lat... – zaczął wyjaśniać.

– Ziemskich lat.

– Oczywiście. Zegarki robiły się coraz lepsze. Zegarmistrzostwo było rzemiosłem wymagającym wielkich umiejętności i precyzji. Werki musiały być małe, chodzić z dokładnością do ułamka sekundy, i to niezależnie od tego, jak nimi wymachiwano i rzucono.

– A dlaczego tylko na jednej planecie?

– Bo ja wiem, chyba dlatego że właśnie tam je produkowano... Nie liczone się z tym, że zegarek może trafić gdzieś, gdzie będzie musiał sobie radzić z innymi słońcami, księżycami i polami magnetycznymi. Ten na przykład chodzi do dziś bez zarzutu, tyle, że przy takiej odległości od Szwajcarii pokazuje bzdury.

– Od czego?

– Od Szwajcarii. Tam go wyprodukowano. To taki mały, górzysty kraj. Denerwująco porządny. Tamtejsi producenci zegarków nie mieli pojęcia o istnieniu innych światów.

– Spora luka w wykształceniu.

– Można to tak określić.

– Skąd przybyli?

– Oni, to znaczy, my... można by powiedzieć, że wzrastaliśmy tam. Powstaliśmy na Ziemi z... dokładnie tego nie wiem, ale chyba z czegoś błotnistego.

– Ten zegarek też?

– Wątpię, by ten zegarek powstał z błota.

– Nic nie wiesz!! – wrzasnęła nagle Random, zrywając się na nogi. – Niczego nie rozumiesz! Nie rozumiesz mnie, nie rozumiesz niczego! Jesteś taki głupi! Nienawidzę cię!

Ściskając zegarek w dłoni i nie przestając wykrzykiwać, że nienawidzi Artura, pognęła w dół z boczka.

Artur, przestraszony jej gwałtowną reakcją, wstał zupełnie zbity z tropu. Pobiegł za dziewczynką. Brnął z trudem przez kępy wysokiej, wysuszonej trawy, odczuwał ból. Kość w nodze, którą złamał sobie przy zderzeniu z planetą, pękła z przemieszczeniem i nie zrosła się dobrze. Biegł więc, utykając i podskakując jak pajac.

Nieoczekiwanie Random stanęła, odwróciła się i spojrzała na niego z wściekłością. Jej twarz była czerwona ze złości. Zamachała ku niemu rękami jak wiatrak.

– Nie dociera do ciebie, że ten zegarek ma gdzieś swoje miejsce? Gdzieś działa, jak należy? Miejsce, do którego pasuje?! – Odwróciła się i znów zaczęła biec. Była zdrowa i szybka, Artur nie miał żadnych szans dotrzymać jej kroku.

Wiedział, że gdy jest się ojcem, można się spodziewać trudnych problemów, ale przecież nigdy nie zamierzał nim zostać, zwłaszcza tak nagle, nieoczekiwanie i na obcej planecie.

Random znów się odwróciła, by na niego nakrzyczeć. Nie wiadomo dlaczego, ale za każdym razem, kiedy się zatrzymywała, on też stawał.

– Za co ty mnie właściwie masz? Za bilet do pierwszej klasy? Jak myślisz – za co miała mnie mama? Za kartę wstępu do życia, jakiego nigdy nie miała!

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – wydyszał Artur z bólem.

– Nigdy nie wiesz, co kto ma na myśli!

– O czym ty mówisz?

– Cicho bądź! Uciszyć się! Nic nie mów!

– Powiedz mi! Proszę! Co ma znaczyć „życie, jakiego nigdy nie miała”?

– Najchętniej zostałyby na Ziemi. Najchętniej nigdy by stamtąd nie uciekała z tym półgłówkiem Zaphodem! Miałyby wtedy całkiem inne życie!

– Ale wtedy by ją zabito! Zginęłyby przy wysadzeniu Ziemi!

– No i co? Nie byłoby to inne życie?

– No wiesz...

– Nie musiałyby mnie rodzić! Nienawidzi mnie!

– Chyba nie mówisz tego poważnie. Jak możesz tak myśleć, wiesz przecież...

– Wydawało jej się, że jak mnie urodzi, nareszcie odnajdzie swoje miejsce. Miałam jej to zapewnić! Ja jednak jeszcze mniej pasuję do wszystkich miejsc niż ona! Tak więc porzuciła mnie i żyje dalej tym samym głupim życiem co poprzednio!

– Nie rozumiem, co jest głupiego w jej życiu. Nie uważasz, że robi karierę? W końcu można jej słuchać na sub-eta we wszystkich światach i epokach...

– Głupi! Głupia! Głupota! Głupki!

Random znów się odwróciła i zaczęła biec. Artur nie miał szans jej dogonić, poza tym musiał na chwilę usiąść, by przeszedł mu ból w nodze. Zupełnie jednak nie wiedział, co zrobić z chaosem w głowie.

Godzinę później przykuśtykał do wsi. Robiło się ciemno. Mieszkańcy wsi pozdrawiali go, w powietrzu unosiła się jednak nerwowa atmosfera, nikt nie wiedział, co się dzieje ani co robić. Widziano Starego Głędziora szarpiącego brodę i wpatrującego się w księżyc, a nie były to dobre znaki.

Artur wszedł do swej chaty.

Random siedziała pochylona nad stołem. Milczała.

– Przykro mi – odezwała się cicho. – Strasznie mi przykro.

– Nic się nie stało – powiedział Artur najłagodniej, jak umiał. – Dobrze jest czasem trochę... porozmawiać. Musimy jeszcze wiele się o sobie dowiedzieć i zrozumieć, że życie to nie zawsze pasmo przyjemności i zjadanie sandwiczów...

– Tak bardzo mi przykro... – powtórzyła dziewczynka, szlochając.

Artur podszedł i objął ją ramieniem. Nie odtrąciła ramienia ani się nie cofnęła. Artur zobaczył, dlaczego jest jej tak przykro.

W świetle lamuellańskiej lampy oliwnej leżał jego zegarek. Random musiała podważyć nożem kopertę – wszystkie kółka zębate, sprężynki i kotwiczki leżały na stole, splątane w chaotyczny stosik.

– Chciałam się tylko dowiedzieć, jak to działa – tłumaczyła się Random. – Jak jest dopasowane. Tak mi przykro! Nie umiem poskładać tego w całość... tak mi przykro, tak mi przykro, tak mi przykro, jak bardzo przykro! Naprawię go! Naprawdę! Znajdę kogoś, kto go naprawi!

Następnego dnia przyszedł Stary Głędzior i zaczął opowiadać różne rzeczy o Bobie. Starał się uspokoić Random, namawiając ją do zastanowienia się nad niezbadaną tajemnicą olbrzymiego kornika, kiedy jednak oświadczyła, że nie ma żadnego olbrzymiego kornika, Stary Głędzior zrobił się bardzo chłodny i mało mówny i ostrzegł, żeby uważała, bo skończy życie w wiecznej ciemności. Random odparła na to, że świetnie, bo tam właśnie je zaczęła. Następnego dnia przybyła paczka.

Zaczynało się dziać nieco za dużo.

Dziwaczny, zdalnie sterowany robot, który spadł z nieba, wydając z siebie buczące robocie pomruki, nie tylko bowiem dostarczył paczkę, ale wywołał niemiłe, powoli ogarniające wszystkich mieszkańców wsi poczucie, że tego już za wiele.

Nie była to wina zdalnie sterowanego robota. Powiedział, że jak tylko dostanie podpis Artura albo odcisk jego kciuka, ewentualnie kilka skrawków skóry z karku, natychmiast zniknie. Na razie jednak unosił się wyczekująco w powietrzu i zastanawiał, co może być powodem ogólnej niechęci. Tymczasem Kirp przyniósł kolejną rybę z dwoma łbami; przy dokładniejszym zbadaniu okazało się jednak, że to dwie przecięte i dyletancko zszyte ryby, nie tylko więc nie udało mu się ożywić zainteresowania dwugłowymi rybami, ale zasiał wątpliwości co do prawdziwości pierwszej. Jedynie w oczach dziobokurów wszystko odbywało się normalnym trybem.

Robot otrzymał podpis Artura i odleciał. Artur zaniósł paczkę do chaty, usiadł i zaczął jej się przyglądać.

– Otwórzmy ją! – pisnęła Random, która poweselała po tym, jak wszystko dookoła zwariowało.

Artur nie zgodził się.

– Dlaczego?

– Bo nie jest zaadresowana do mnie.

– Jest.

- Nie jest. Jest zaadresowana do... Forda Prefecta, a ja mam jej tylko popilnować.
- Do Forda Prefecta? To ten, co...?
- Tak.
- Słyszałam o nim.
- Spodziewałem się.
- Otwórzmy mimo wszystko. Co innego możemy z tym zrobić?
- Nie wiem. – Artur naprawdę nie wiedział.

Wczesnym rankiem zaniósł zniszczone noże do kuźni, Strinder obejrzał je i powiedział, że zobaczy, co się da zrobić. Jak zwykle, zaczęli wodzić nożami w powietrzu, by wy badać odpowiedni punkt ciężkości i określić elastyczność, ale przestało im to sprawiać przyjemność; Artur zaczął się obawiać, że jego dni jako sandwiczmana są policzone.

Spuścił ze smutkiem głowę.

Lada dzień znów pojawią się Całkiem Normalne Bydłeta, Artur przeczuwał jednak, że zabawy i pijaństwa ku czci polowania będą w tym roku raczej spokojne i nieśmiałe. Coś zmieniło się na Lamuelli, Artur miał straszliwe uczucie, że to on sam.

- Jak sądzisz, co może być w środku? – nalegała Random, obracając paczkę w rękach.
  - Nie mam pojęcia. Na pewno coś niemiłego i okropnego.
  - Skąd wiesz?
  - Wszystko, z czym ma do czynienia Ford Prefect, jest okropniejsze od wszystkiego, z czym nie ma nic wspólnego. Uwierz mi.
  - Jesteś na coś zły, prawda?
- Artur westchnął.
- Czuję się nieco zdezorientowany.
  - Współczuję ci – powiedziała Random, odkładając paczkę. Wiedziała, że zdenerwowałby się, gdyby ją otworzyła. Będzie więc musiała to zrobić, kiedy nie będzie widział.



## Rozdział 16

Artur nie był pewien, czego brak zauważył najpierw. Kiedy stwierdził, że nie ma Random, jego myśli natychmiast pobiegły ku paczce, od razu więc wiedział, że i jedna, i druga zniknęła i że pociągnięto to za sobą trudne do naprawienia skutki.

Paczka cały dzień leżała na widoku na półce, dla ćwiczenia się w zaufaniu.

Zdawał sobie sprawę z tego, że jednym z obowiązków rodzicielskich jest zaufanie do dziecka i otwartość w kontaktach z nim. Choć miał nieładne podejrzenie, że to kompletny idiotyzm, realizował tę postawę w praktyce, i rzeczywiście, okazała się kompletnym idiotyzmem. W końcu człowiek żyje, aby się uczyć. Jeśli się nie uczy, przynajmniej żyje.

Żyje poza tym, aby panikować.

Artur wypadł z chaty. Był wczesny wieczór, ściemniało się i zbierało na burzę. Nigdzie nie widział Random, nie pozostawiła po sobie żadnego śladu. Zaczął pytać, ale nikt jej nie widział. Pytał dalej. Nigdzie jej nie widziano. Ludzie wracali do domów na wieczorny odpoczynek. W uliczkach wiał słaby wiaterek, zbierał różne rzeczy i rzucał nimi kapryśnie to tu, to tam.

Artur spotkał Starego Głędziora i zapytał go o dziewczynkę. Stary Głędzior patrzył jak wykuta w kamieniu maska i wskazał kierunek, który Artur instynktownie przeczuł.

Sprawdziły się jego najgorsze przypuszczenia.

Wybrała drogę, którą nie mógł za nią pójść.

Artur spojrzał w ponure niebo, na którym szarość mieszała się z granatem, i pomyślał, że wygląda do tego stopnia groźnie, iż gdyby nagle wypadli z niego czterej jeźdźcy Apokalipsy, na pewno nie poczuliby się jak idioci.

Atakowany przez najgorsze i najokropniejsze przeczucia, wszedł na ścieżkę, prowadzącą do sąsiedniej doliny. Kiedy spadły pierwsze krople deszczu, zmusił się do czegoś w rodzaju biegu.

Random doszła do szczytu wzgórza i spojrzała na leżącą w dole dolinę. Wejście zajęło jej więcej czasu i było bardziej męczące niż się spodziewała. Zaczęła się obawiać, że przyjscie tu w nocy może się okazać nie najlepszym pomysłem, ale ojciec przez cały dzień wałęsał się koło chaty i próbował sobie i jej udowodnić, że wcale nie pilnuje paczki. Kiedy nareszcie

poszedł do kuźni pogadać ze Strinderem o nożach, Random wykorzystała okazję i uciekła z paczką.

Było jasne jak słońce, że nie może otworzyć paczki w chacie ani nawet we wsi. Artur mógł zjawić się w każdej chwili. Musiała więc znaleźć drogę, którą za nią nie pójdzie.

Mogłaby się zatrzymać tu, gdzie teraz była. Poszła tą ścieżką z nadzieją, że Artur nie odważy się iść za nią, a jeśli nawet, to nie znajdzie jej w nadchodzącej nocy i zaczynającym padać deszczu.

W czasie drogi pod górę cały czas czuła pod pachą dotyk paczki. Był to bardzo miły dotyk przedmiotu: poręczne kwadratowe pudełko o szerokości mniej więcej jej przedramienia i wysokości jej dłoni, zawinięte w brązowy blasptyk i obwiązane pomysłową, nowoczesną, samozawijającą się wstążką. Przy potrząsaniu pakunek nie wydawał z siebie najmniejszego odgłosu. Random natychmiast zauważyła, że ma umieszczony idealnie w środku punkt ciężkości.

Ponieważ doszła aż tutaj, zaczynała ją korcić, by iść dalej, zejść w stanowiącą strefę zakazaną dolinę, gdzie rozbił się statek jej ojca. Nie bardzo wiedziała, co to oznacza, że gdzieś „straszy”, pomyślała jednak, iż byłoby dobrze się tego dowiedzieć. Pójdzie dalej i zaczeka z otwarciem paczki, aż znajdzie się w dolinie.

Robiło się coraz ciemniej, ale nie zapalała latarki, by jej nie zobaczono. Zaraz będzie musiała to jednak zrobić, ale nic jej już nie groziło, ponieważ była po drugiej stronie rozdzielającego obie doliny wzgórza.

Zapaliła latarkę. Niemal w tym samym momencie powietrze rozdarła błyskawica i mocno ją przestraszyła. Kiedy ponownie zapadła ciemność i grzmiało w dolinie, Random poczuła się mała i zagubiona, zwłaszcza że miała do obrony jedynie wąty, drżący w dłoni strumyk światła. Może powinna się zatrzymać i otworzyć paczkę, a może powinna zawrócić i przyjść tu ponownie jutro? Zawahała się jedynie na moment. Wiedziała, że dzisiejszej nocy nie ma powrotu, czuła, że już nigdy nie będzie go miała.

Schodziła dalej. Zaczynało padać. Pojedyncze krople, spadające przed chwilą z nieba, zmieniły się w strugi wody. Deszcz szumiał w drzewach, pod stopami robiło się coraz bardziej ślisko. Random miała nadzieję, że to, co szumi w drzewach, to deszcz. Każdy ruch latarki powodował, że skakały wokół niej cienie. Szła mniej więcej przez kwadrans. Była przemoczona do suchej nitki i zmarznięta. Ze zdumieniem zauważyła przed sobą światło; było tak słabe, że nie była pewna, czy to nie złudzenie. By się upewnić, zgasiła latarkę. W oddali coś się żarzyło, ale nie mogła rozpoznać, co. Ponownie zapaliła latarkę i schodziła dalej w kierunku owego czegoś.

Coś było nie w porządku z drzewami.

Nie umiała dokładnie określić, co to było, las nie wyglądał jednak jak żywy, zdrowy las, czekający z radością na wiosnę. Drzewa były poskręcane pod dziwnymi kątami i sprawiały wrażenie spłowiałych i osmalonych. Random kilkakrotnie miała niepokojące wrażenie, że

nachylają się ku niej gałęzie; były to jedynie złudzenia wywołane ruchem latarki, cienie drzew drgały i poruszały się w świetle.

Nagle coś spadło z drzewa prosto pod jej nogi. Przestraszona, zrobiła krok do tyłu i upuściła zarówno latarkę, jak i paczkę. Kucnęła i wyjęła z kieszeni bardzo ostry kamień.

To, co spadło z drzewa, poruszyło się. Latarka leżała na ziemi i świeciła. W kierunku Random powoli przesuwał się olbrzymi, groteskowy cień. Przez szum deszczu przebijały się niewyraźne szelesty i popiskiwanie. Poszukała na ziemi latarki i oświetliła istotę.

W tym samym momencie ze stojącego nie dalej niż metr od niej drzewa spadło drugie coś. Gwałtownie przenosiła światło latarki z jednego na drugiego stworka. Podniosła kamień i przygotowywała się do rzutu.

W rzeczywistości obydwie istoty były maleńkie, to światło tak je wyolbrzymiło. Oprócz tego, że były maleńkie, były futrzaste, kuliste i milutkie. Z drzewa spadła jeszcze jedna. Random dobrze to widziała, istotka przeleciała bowiem w świetle latarki.

Istotka wylądowała zręcznie i precyzyjnie, odwróciła się i podobnie jak dwie pierwsze, zaczęła zbliżać się powoli, lecz zdecydowanie, ku Random.

Dziewczynka zamarła. W dalszym ciągu unosiła nad głową kamień, coraz bardziej docierało do niej jednak, że ma przed sobą wiewiórki, a przynajmniej coś podobnego. Mięciutkie, puszyste, ciepłutkie wiewiórkopodobne istoty zbliżały się w sposób, który wcale jej się nie podobał. Zaświeciła pierwszej w oczy. Stworek wydawał z siebie agresywne, wojownicze, piskliwe dźwięki i trzymał w łapce porwany, mokry kawałek różowej szmatki. Random ważyła kamień w dłoni, w najmniejszym stopniu nie wzruszało to podchodzącej ze szmatką w łapce wiewiórki.

Random cofnęła się. Nie miała pojęcia, co robić. Gdyby to były warczące, żądne krwi bestie z błyszczącymi kłami, zaatakowałyby je z całą siłą, ale nie wiedziała, co robić z dziwnie zachowującymi się wiewiórkami.

Cofnęła się jeszcze bardziej. Druga wiewiórka odsunęła się na bok, by dokonać manewru okrążającego z prawej strony. Miała w łapce miseczkę, chyba kapturek żołądka. Tuż za nią szła trzecia. W łapce miała... kawałek przemokłego papieru.

Random cofnęła się kolejny krok, zahaczyła stopą o wystający korzeń i runęła na plecy. Pierwsza wiewiórka natychmiast przybiegła, skoczyła na nią i zaczęła po niej iść. Ścisnęła w łapce mokrą szmatkę i świdrowała ślepkami leżącą dziewczynkę.

Random próbowała wstać, ale nie udało jej się podnieść więcej niż pięć centymetrów. Przestraszona gwałtownym ruchem wiewiórka zamarła na jej brzuchu i skuliła się; to samo zrobiła Random, przestraszona skuleniem się wiewiórki. Wiewiórka przez przemoczoną koszulkę wpiła się maleńkimi łapkami w skórę Random. Następnie powoli i ostrożnie, przesuując się centymetr po centymetrze, dotarła do głowy i zaferowała szmatkę.

Random była niemal zahipnotyzowana dziwnym wyglądem i maleńkimi, błyszczącymi ślepkami wiewiórki. Zwierzątko podawało jej szmatkę. Popiskując natarczywie, tak długo

wyciągało łapkę, aż Random w końcu ją wzięła. Wiewiórka nie przestawała obserwować dziewczynki maleńkimi, niespokojnymi ślepkami. Random nie miała pojęcia, co robić. Deszcz i błoto spływały jej strugami po twarzy, na piersi siedziała wiewiórka. Podniosła szmatkę i starła nią błoto z twarzy.

Wiewiórka zapiszczała triumfująco, chwyciła szmatkę, zeskoczyła z leżącej dziewczynki i popędziła w ciemną noc, wbiegła na drzewo, wsunęła się do dziupli, wygodnie usiadła i na uspokojenie zapaliła papierosa. W tym czasie Random próbowała strząsnąć z siebie dwie następne wiewiórki: z pełną deszczu miseczką i z papierkiem. Przesuwała się do tyłu.

– Nie! Idźcie sobie!

Przestraszone zwierzątka odskoczyły do tyłu, zaraz jednak znów zaczęły się zbliżać, wyciągając łapki z prezentami. Random machała kamieniem.

– Idźcie sobie! – krzyczała.

Wiewiórki, skonsternowane, kręciły się w kółko. Jedna z nich postanowiła w końcu skoczyć desperacko do przodu, rzucić Random miseczkę na kolana i uciec. Druga postała chwilę, drżąc, ostrożnie położyła papierek przed dziewczynką i też się oddaliła.

Random została sama. Drżała z niepewności. Wstała chwiejnie, wzięła kamień, paczkę, podniosła papierek. Był tak przemoczony i cienki, że trudno było rozpoznać, skąd pochodził, o ile się jednak nie myliła, to z biuletynów, jakie rozdawano na pokładach statków pasażerskich.

Próbując zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi, nie zauważyła, że z lasu wychodzi mężczyzna, podnosi groźnie wyglądającą broń i celuje w nią.

Cztery, może pięć kilometrów za nią Artur wspinał się z mazołem w górę zbocza.

Kilka minut po ruszeniu w drogę zawrócił po lampę. Nie elektryczną, bo jedyne elektryczne źródło światła miała przy sobie Random. Lampa Artura była kiepskim naśladownictwem latarni burzowej: składała się z wykonanej w kuźni Strindera podziurawionej puszki, zawierającej pojemnik z rybim olejem i knot ze skręconej słomy oraz osłoniętej przepuszczającym nieco światła wysuszonym pęcherzem Całkowicie Normalnego Bydłęcia.

Lampa właśnie zgasła.

Artur zaczął nią bez sensu potrząsać. Nie było najmniejszej szansy, by nagle zapaliła się sama w środku burzy, ale w podobnej sytuacji nikt nie zrezygnuje nawet z daremnej próby. W końcu z ciężkim sercem ją wyrzucił.

Co robić dalej? Sytuacja była beznadziejna. Był przemoczony do suchej nitki, ubranie miał ciężkie i przesiąknięte wodą, na dodatek stracił orientację.

Przez ułamek sekundy oświetliło go światło błyskawicy. Dzięki niemu zobaczył, że jest tuż pod szczytem wzgórza. Gdyby wszedł na szczyt, mógłby... nie, nie wiedział, co mógłby. Zastanowi się, kiedy tam będzie.

Zaczął mozolnie wchodzić.

Kilka minut później stanął zdyszany na szczycie. Daleko w dole migotało słabe światełko. Nie miał pojęcia, co to może być, nawet nie miał ochoty wiedzieć. Ponieważ był to jedyny punkt, ku któremu mógł iść, potykając się i drżąc ze strachu, ruszył ku niemu.

Śmiertelny promień przeszedł przez Random na wylot, podobnie zrobił po dwóch sekundach mężczyzna, który strzelał. Nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi. Zastrzelił kogoś stojącego za Random, która odwróciła się i zobaczyła, że mężczyzna kucnął nad ofiarą i przeszukuje jej kieszenie.

Obraz znieruchomiał i rozpląnął się. Na jego miejscu pojawiły się gigantyczne zęby, obramowane perfekcyjnie pomalowanymi ustami. Znikąd pojawiła się olbrzymia niebieska szcztoczek i zaczęła szorować zęby, nieruchome i błyszczące na tle padającego deszczu.

Random musiała dwa razy zamrunąć, nim zrozumiała, co widzi.

Oglądała reklamę. Facet, który do niej strzelał, był elementem holograficznego filmu, pokazywanego na pokładach statków podróżujących w hiperprzestrzeni. Musiała być bardzo blisko rozbitego statku. Widocznie niektóre systemy były mniej uszkodzone.

Kolejny kilometr wędrówki był szczególnie trudny. Dawały jej się we znaki nie tylko deszcz, zimno i ciemność, ale także pozostałości pokładowego systemu rozrywkowego. Wokół nieustająco rozbijały się statki kosmiczne, odrzutowce i talerzowce, rozjaśniając noc płomieniami wybuchów; podejrzani osobnicy w dziwacznych kapeluszach przechodzili przez Random, szmuglując groźne narkotyki; na niewielkiej polanie z lewej strony orkiestra i chór Halapolińskiej Opery Państwowej wykonywały finałowy marsz AniaKantyńskiej Gwardii Gwiazdnej z czwartego aktu opery Rizgara *Blamwellainum na Woont*.

Nagle stanęła nad okropnym kraterem, na brzegu którego widać było bąble powstałe w efekcie gotowania się gruntu. W głębi krateru ciągle słabo świeciło coś, co wyglądało jak olbrzymi stos przysmażonej gumy do żucia; były to stopione resztki wspaniałego niegdyś statku kosmicznego.

Random chwilę postąla, popatrzyła i poszła dalej skrajem krateru. Nie wiedząc dokładnie, czego szuka, okrążyła krater. Choć deszcz nieco osłabł, w dalszym ciągu było bardzo wilgotno; ponieważ nie wiedziała, co jest w paczce, którą niesie – może było to coś delikatnego albo kruchego – uznała, że lepiej będzie, jeśli otworzy ją w suchym miejscu. Miała nadzieję, że to coś nie zniszczyło się, kiedy upadło.

Oświetliła latarką drzewa, dość rzadkie, popalone i połamane. Wydawało jej się, że widzi niedaleko popękaną skałę, która mogła dać osłonę, zaczęła iść w jej kierunku. Wszędzie leżały oderwane części statku i wyposażenia, porozrzucane na skutek wybuchu. Po dwustu, może trzystu metrach natknęła się na poszarpane resztki puszystego, różowego materiału, zwisające z gałęzi jak mokre, gnijące szmaty. Domyślała się słusznie, że to resztki kokonu

ratunkowego, w którym jej ojciec przeżył katastrofę. Kiedy podeszła bliżej, tuż pod nogami zauważyła zanurzony do połowy w błocie przedmiot.

Podniosła go i obtarła z błota. Był to elektroniczny przyrząd wielkości kieszonkowej książki. Kiedy go dotknęła, na powierzchni wielkimi, przyjaznymi literami zaświecił słabo napis NIE PANIKUJ. Random wiedziała, co to jest – egzemplarz *Autostopem przez Galaktykę*, należący do jej ojca. Uspokoila się trochę. Spojrzała w niebo i pozwoliła kilku kroplom deszczu zmoczyć twarz i wpaść do ust.

Potrząsnęła gwałtownie głową i ruszyła szybkim krokiem ku skale. Ledwie zaczęła na nią wchodzić, zauważyła wejście do jaskini. Zaświeciła do środka latarką. Było sucho i bezpiecznie. Ostrożnie macając przed sobą rękami, weszła do środka. Jaskinia była spora, choć dość płytka. Random usiadła na kamieniu, była zmęczona, ale czuła ulgę; postawiła pudełko przed sobą i zaczęła je rozpakowywać.

## Rozdział 17

Długi czas spekulowano i spierano się na temat, gdzie zniknęła tak zwana „brakująca materia” wszechświata. W całej Galaktyce fakultety badawcze wszystkich dużych uniwersytetów kupowały coraz doskonalszą aparaturę do sondowania i przeczesywania najbardziej oddalonych galaktyk; w końcu zajęły się również środkiem i obrzeżami wszechświata, choć po to tylko, by stwierdzić, że brakująca materia to śmieci, w które była zapakowana ich aparatura.

W pudełku znajdowało się sporo brakującej materii – małe, miękkie, białe kuleczki; Random wyrzuciła je z opakowania, by przyszłe pokolenia naukowców miały co znajdować i badać, kiedy znaleziska dzisiejszych naukowców zaginą i popadną w zapomnienie.

Wyjęła z kuleczek brakującej materii nie posiadającą konturów czarną tarczę. Położyła ją obok na kamieniu i zaczęła szukać w pudełku instrukcji, oprzyrządowania, czegoś, co da wskazówkę, ale niczego nie znalazła. Tylko czarny dysk.

Skierowała na niego promień latarki.

Ledwie to zrobiła, na gładkiej powierzchni dysku zaczęły się pojawiać pęknięcia. Random cofnęła się, przestraszona, zaraz jednak spostrzegła, że przedmiot zaczyna się rozwijać. Robił to pięknie – kunsztownie, choć równocześnie prosto i elegancko. Dysk sprawiał wrażenie otwierającego się samoistnie origami albo rozkwitającego w ciągu kilku sekund pąka róży.

Tam gdzie przed paroma minutami leżał lekko wybrzuszony z obu stron dysk, teraz znajdował się ptak. Unosił się w miejscu.

Random, ostrożnie i ze skupieniem, zaczęła się cofać.

Ptak przypominał nieco dziobokura, ale był od niego mniejszy. Dokładnie mówiąc – większy, jeszcze dokładniej – ani większy, ani mniejszy, a zupełnie dokładnie – nie mniejszy niż dwa razy większy. Równocześnie – choć idealnie czarny – był bardziej błękitny i różowy od dziobokura.

Było w nim jeszcze coś dziwnego, ale Random nie mogła zrozumieć, co.

Bez wątplenia miał z dziobokurami jedno wspólne: sprawiał wrażenie, że obserwuje coś, co nie jest widoczne dla nikogo innego.

Nagle zniknął.

Tak samo nagle wszystko dookoła zrobiło się czarne. Random, napięta jak struna, kucnęła i ważyła w kieszeni swój bardzo ostry kamień. Czerń zaczęła odpływać, zwinęła się w kulę i z powrotem przemieniła w ptaka. Powoli poruszając skrzydłami, wisiał w powietrzu tuż przed Random i wbijał w nią ślepią.

– Przepraszam – odezwał się. – Muszę się jedynie skalibrować. Słyszysz, co teraz mówię?

– Co mówisz kiedy?

– Dobrze – odparł ptak. – A teraz słyszysz, co mówię?

– Jasne, że słyszę!

– A teraz słyszysz? – zapytał głębokim, grobowym basem.

– Taaak!

Nastąpiła krótka przerwa.

– Nie, najwyraźniej nie – powiedział ptak po kilku sekundach. – Świetnie, a więc słyszalne dla ciebie dźwięki leżą między szesnastoma a dwudziestoma kilohercami. Doskonale. Czy tak jest przyjemnie? – spytał miłym, czysto brzmiącym tenorem. – Nie odczuwasz nieprzyjemnie dźwięków wyższej częstotliwości? Widocznie nie. Bardzo dobrze, mogę ich używać do przekazu danych. Tak jest. W ilu postaciach mnie widzisz?

Nagle powietrze wypełniły zachodzące wzajemnie na siebie ptaki. Random była przyzwyczajona do przebywania w wirtualnych rzeczywistościach, ale to, co zobaczyła teraz, było znacznie bardziej niesamowite od wszystkiego, co dotychczas widziała w życiu. Zdawało się, że cała geometria przestrzeni to przechodzące płynnie w siebie ptasie kształty.

Random zachłysnęła się powietrzem, zamachała rękami, przecinając ptakokształtną przestrzeń, i zakryła twarz dłońmi.

– Hmm, zdecydowanie w zbyt wielu – uznał ptak. – A teraz?

Ptak zaczął się powielać. Za nim pojawił się drugi ptak, za drugim trzeci, czwarty, piąty... Tak mógłby wyglądać tunel z luster, odbijających w nieskończoność uwiecznionego ptaka.

– Kim jesteś? – wrzasnęła Random.

– Zaraz do tego dojdziemy – odparł ptak. – W ilu teraz?

– Właściwie to... – Random bezradnie wskazała w dal.

– Aha, a więc sięgam ciągle jeszcze w nieskończoność, myślę jednak, że powoli zbliżamy się do prawidłowej macierzy przestrzennej. Bardzo dobrze. Nie, odpowiedź brzmi: Jedna pomarańcza i dwie cytryny.

– Cytryny?

– Jeśli mam trzy cytryny i trzy pomarańcze i zabiorę dwie pomarańcze i jedną cytrynę, to ile mi zostanie?

– Co?



– Świetnie, a więc uważasz, że czas przebiega w tę stronę... Ciekawe. Ciągłe jeszcze jestem nieskończony? – zapytał, rozciągając się to tu, to tam w przestrzeni. – Jestem nieskończony? Jak żółty jestem? – Ptak nieustająco dokonywał bombardujących mózg zmian kształtu i wielkości.

– Bo ja wiem... – odpowiedziała niespokojnie Random.

– Nie musisz odpowiadać, wystarczy mi cię obserwować. A więc. Jestem twoją matką? Jestem skałą? Robię na tobie wrażenie czegoś olbrzymiego, błotnistej i sinusoidalnie pospłatanego? Nie? A teraz? Poruszam się do tyłu?

Po raz pierwszy ptak stanął całkowicie spokojnie i nieruchomo.

– Nie – odparła Random.

– Mylisz się, właśnie to zrobiłem. Poruszyłem się do tyłu przez czas. Hmmm. Świetnie. A więc i to mamy wyjaśnione. Jeśli cię to interesuje, powiem, że w twoim wszechświecie poruszasz się w trzech wymiarach, które określasz mianem przestrzeni. Poruszasz się poza tym liniowo w czwartym wymiarze, który określasz mianem „czasu”, i stoisz jak zamurowana w piątym – tak zwanym prawdopodobieństwie elementarnym. Potem sprawy nieco się komplikują, a w wymiarach od 13 do 22 dochodzi do wydarzeń, które z pewnością cię nie interesują. Jedyne, co powinnaś teraz wiedzieć, to to, iż wszechświat jest znacznie bardziej skomplikowany, niż jesteś sobie w stanie wyobrazić, nawet jeśli wychodzisz z założenia, że taki, jakim go znasz, jest już i tak do dupy. Jeśli rani to twoje poczucie delikatności, mogę zrezygnować z określenia typu „do dupy”.

– Mam w dupie to, co mówisz.

– To świetnie.

– Kim, do diabła, jesteś?

– Jestem przewodnikiem. Jestem *Autostopem*. W twoim wszechświecie jestem twoim przewodnikiem. Dokładnie mówiąc, poruszam się w czymś, co jest określane jako Całkowity Zbiór Wszelkiego Ogólnego Popłątania, co oznacza... hm, pokażę ci.

Obrócił się w powietrzu, wyleciał z jaskini i przysiadł na kamieniu pod skalnym nawisem, osłaniającym przed nasilającym się znów deszczem.

– Chodź i popatrz – powiedział.

Choć Random nie miała najmniejszej ochoty, by komenderował nią ptak, wyszła z jaskini, ściskając mocno w kieszeni kamień.

– Deszcz – powiedział ptak. – Widzisz? Zwyczajny deszcz.

– Wiem, co to deszcz.

Deszcz lał, tworząc ścianę wody, od czasu do czasu przebijało się przez nią światło księżyca.

– A więc czym jest deszcz?

– Jak to: „Czym jest deszcz?” Kim ty właściwie jesteś? Dlaczego byłeś w pudełku? Czy po to przedzierałam się pół nocy przez las i biłam ze skretyniałymi wiewiórkami, żeby

śłuchać teraz dziwaczego ptaka, który pyta, czym jest deszcz? To spadająca z góry woda. Chcesz coś jeszcze wiedzieć, czy możemy iść do domu?

Ptak odpowiedział po bardzo długiej przerwie.

– Chcesz do domu?

– Nie mam domu! – Random wykrzyknęła tak głośno, że niemal sama się przestraszyła.

– Wpatrz się w deszcz – polecił ptak-przewodnik.

– Wpatruję się w deszcz od dawna! W co innego mam się wpatrywać?!

– I co widzisz?

– Co za głupie pytanie, tępy ptaku! Masę deszczu. Spadającą z góry wodę.

– Jakie widzisz kształty?

– Kształty? Nie ma tu żadnych kształtów. To tylko... tylko...

– Poplątane strugi.

– Tak...

– A co widzisz teraz?

Ze ślepiów ptaka wystrzelił ledwo widoczny promień światła i zaczął rozszerzać się na boki. W suchym powietrzu pod skałą nic nie było widać, ale tam, gdzie promień trafiał na krople deszczu, pojawiała się płaszczyzna światła, tak jasna i wyraźna, że wydawała się rzeczywista.

– Bomba. Światło i dźwięk – złośliwie rzekła Random. – Jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziałam... Z wyjątkiem jakichś pięciu milionów koncertów rockowych!

– Powiedz, co widzisz!

– Płaszczyznę światła! Co za głupi ptak!

– Nie ma tam niczego, czego nie było wcześniej. Używam światła jedynie po to, by w określonych momentach skierować twoją uwagę na określone krople. Co widzisz teraz?

Światło zgasło.

– Nic.

– Teraz robię dokładnie to samo, co przedtem, ale używając ultrafioletu. Nie jesteś w stanie go zobaczyć.

– Jaki sens ma pokazywanie mi czegoś, czego nie widzę?

– Ma uświadomić ci jedno: nawet jeśli coś się widzi, nie oznacza to, iż istnieje. Jeśli się czegoś nie widzi, nie oznacza to, iż tego nie ma. Widzisz jedynie to, co pozwalają ci spostrzec zmysły.

– Dawno się tak nie nudziłam... – prychnęła Random. Nagle głośno wciągnęła powietrze.

W powietrzu unosił się olbrzymi, niezwykle żywy trójwymiarowy obraz jej ojca, który wyglądał na niezwykle zdziwionego.

Ojciec Random przedzierał się przez las około trzech kilometrów za nią, nagle coś go zatrzymało. Z ogromnym zdumieniem zobaczył przez strugi deszczu wiszący w powietrzu

swój własny obraz, na którym wyglądał na niezwykle zdziwionego. Obraz unosił się trzy kilometry przed nim, nieco w prawo od drogi, jaką planował iść.

Czuł się zupełnie zagubiony, był przekonany, że umrze z zimna, wilgoci i zmęczenia; marzył jedynie o tym, by długo to nie potrwało. Przed chwilą wiewiórka wcisnęła mu do ręki znakomicie zachowany egzemplarz czasopisma na temat golfa, do tortur cielesnych dołączyło się bolesne wycie i dygotanie mózgu.

Widok olbrzymiego, świecącego na niebie jaskrawymi kolorami obrazu samego siebie dał mu do zrozumienia, że ma słuszość co do bezgłośnego wycia i dygotania, ale najprawdopodobniej myli się co do kierunku marszu.

Wziął głęboki oddech, skręcił trochę w prawo i ruszył w kierunku tajemniczego świetlnego przedstawienia.

– Dobrze, ale czego to ma dowodzić? – Random zaniepokoiło nie tyle pojawienie się obrazu, ile fakt, że ukazywał jej ojca. Pierwszy hologram w życiu zobaczyła, mając dwa miesiące – wsadzono ją w niego, by się bawiła. Ostatni widziała mniej więcej pół godziny temu – grał w lesie marsza AniaKantyńskiej Gwardii Gwiezdnej.

– Tego, że wszystko, co widzisz, tak samo istnieje lub nie istnieje jak płaszczyzna światła przed chwilą – odpowiedział ptak. – Są to iluzje stworzone przez połączenie spadającej w określony sposób z nieba wody oraz światła, które rozchodzi się w określony sposób na rozpoznawalnych przez twój wzrok zakresach widma. W twoim umyśle powstają pozornie sensowne obrazy, choć w rzeczywistości są jedynie odbiciami Poplątania. Masz tu jeszcze jedno.

– Mama!

– Nie.

– Przecież wiem, jak wygląda moja matka!

Obraz w powietrzu pokazywał kobietę, która w wielkim, szarym hangarze wychodziła ze statku kosmicznego. Eskortowała ją grupa wysokich, chudych, purpurowo-zielonych istot. Była to bez wątpienia matka Random. No, może prawie bez wątpienia. Trillian nigdy nie poruszałyby się tak niepewnie, nawet przy niewielkiej grawitacji, nie rozglądałyby się tak przestraszonym wzrokiem, szukając systemu podtrzymywania życia, ani nie nosiłaby z sobą tak śmiesznej, staromodnej kamery.

– Kim więc jest ta kobieta? – spytała Random.

– Częścią kontinuum twojej matki na osi prawdopodobieństwa.

– Nie rozumiem ani słowa z tego, co mówisz.

– W przestrzeni, czasie i prawdopodobieństwie istnieją osie, wzdłuż których można się poruszać.

– Nadal nic nie rozumiem. Choć... Nie. Wyjaśnij dalej.

– Mówiłaś, że chcesz do domu.

- Wyjaśnij!
- Chcesz zobaczyć swój dom?
- Zobaczyć? Mój dom został zniszczony!
- Przerwano jedynie jego ciągłość na osi prawdopodobieństwa. Patrz!

Powoli w deszczu zaczęło się ukazywać coś dziwnego i pięknego. Był to ogromny, niebiesko-zielony globus, otoczony delikatną zasłoną mgły i chmur, wirujący na czarnym, usianym gwiazdami tle.

- Widzisz, jest – powiedział ptak. – A teraz jej nie ma...

Artur Dent, który znajdował się w odległości niecałych trzech kilometrów, stanął jak wryty. Nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Choć deszcz ostro zaczął, w nocnym powietrzu wisiała wyraźnie widoczna, błyszcząca kolorami i żywa... Ziemia. Zapało mu dech w piersiach. Nim zdążył złapać powietrze, zniknęła. Znow się pojawiła. Po chwili zmieniła się w parówkę. Z tego powodu byłby gotów usiąść i wplatać sobie we włosy żdźbła trawy.

Random też była zaskoczona widokiem unoszącej się w powietrzu olbrzymiej, niebiesko-zielonej, wodnistej, mglistej parówki. Parówka zmieniła się w sznur parówek, a raczej sznur, w którym brakowało wielu parówek. Świeący sznur wykonywał w powietrzu irydujący, pełen skrętów i salt taniec, powoli zaczął jednak zwalniać, blednąć i w końcu rozplynał się w powietrzu.

- Co to było? – spytała Random.

– Krótkie spojrzenie wzdłuż osi prawdopodobieństwa nieciągle prawdopodobnego obiektu.

- Aha.

– Niemal wszystkie obiekty zmieniają się wzdłuż swych osi prawdopodobieństwa, twoja ojczyzna planeta robi jednak coś trochę innego. Można by powiedzieć, że w płaszczyźnie prawdopodobieństwa leży na czymś w rodzaju linii uskokowej w macierzy prawdopodobieństwa, co oznacza, iż istnieją parametry prawdopodobieństwa, w których po prostu nie istnieje. Mamy tu do czynienia z niespójną niestabilnością, ale to cecha charakterystyczna wszystkich obiektów, pochodzących z sektorów określanych mianem stref pluralowych, czyli wielokrotnych. Wyjaśniłem to jasno?

- Nie.
- Chciałabyś tam polecieć i przekonać się sama?
- Na... Ziemię?
- Tak.
- To możliwe?

Ptak-przewodnik nie odpowiedział od razu. Rozpostarł skrzydła, wznosił się z dużym wdziękiem i poleciał w deszcz, który zdążył nieco osłabnąć. Kiedy wznosił się szerokimi

zakolami, zapłonęły wokół niego światła, w powstającym za nim podciśnieniu zakołysały się czasoprzestrzenie. Zaczął pikować, zawrócił i począł wzbijać się w górę, następnie znów zawrócił, w końcu zawisł w powietrzu około pół metra nad głową Random. Poruszał skrzydłami powoli i bezgłośnie. Podjął przerwana rozmowę.

– Wszechświat wydaje ci się niezmierny. Niezmierny w przestrzeni i czasie. Jest tak z powodu istnienia filtrów poznawczych, przez które go postrzegasz. Ja zostałem zbudowany bez tych filtrów, postrzegam więc całe poplątanie, które zawiera wszelkie możliwe wszechświaty, samo nie posiada jednak wymiarów. Nie ma dla mnie rzeczy niemożliwych. Jestem wszechwiedzący i wszechmocny, nieprawdopodobnie zadufany w sobie i – co najważniejsze – dostarczany w praktycznym, samotransportującym się opakowaniu. Oczywiście, sama musisz ustalić, co z tego jest prawdą.

Na twarz Random powoli wypłynął uśmiech.

– Ty cholerny łobuzie. Chcesz mnie oszukać!

– Jak powiedziałem, nie ma rzeczy niemożliwych.

Random roześmiała się.

– Niech ci będzie. Spróbujmy dostać się na Ziemię. Odwiedzmy ją w którymś miejscu na jej...

– Osi prawdopodobieństwa?

– Tak. Gdzieś, gdzie jej jeszcze nie wysadzono. Świetnie. Rób, co do ciebie należy, bądź przewodnikiem. Jak się stąd wydostaniemy?

– Dzięki mechanice zwrotnej.

– Słucham?

– Dzięki mechanice zwrotnej. Dla mnie strumień czasu jest nieważny. Zdecyduj, na co masz ochotę, ja spowoduję, że to już nastąpiło.

– Żartujesz sobie ze mnie.

– Nie ma rzeczy niemożliwych.

Random zmarszczyła czoło.

– Naprawdę sobie ze mnie nie żartujesz?

– Pozwól mi to inaczej wyrazić. Dzięki mechanice zwrotnej nie jesteśmy zmuszeni siedzieć tu nie wiadomo jak długo i czekać, aż w którymś ze statków kosmicznych, które przelatują raz na parę lat przez ten sektor galaktyczny, będzie się znajdował ktoś, kto będzie miał ochotę zabrać autostopowiczów. Skrócimy oczekiwanie. Kiedy będziesz chciała zostać zabrana, pojawi się statek i zabierze cię. Pilot wymyśli jeden z miliona powodów, jakie mogłyby go skłonić do wylądowania tu i zabrania cię. Prawdziwym powodem będzie oczywiście to, że ja tak postanowiłem.

– Czy to miałaś na myśli, mówiąc, że jesteś nieprawdopodobnie zadufany w sobie, ptaszku?

Ptak milczał.

– No dobrze – powiedziała Random. – Chcę, by wylądował statek, który zabierze mnie na Ziemię.

– Może być ten?

Statek opadał tak cicho, że Random zauważyła go dopiero wtedy, kiedy niemal był nad jej głową.

Artur zauważył go wcześniej. Był teraz oddalony od miejsca wydarzeń o półtora kilometra. Zaraz po tym, jak świecące parówki rozpląnęły się w powietrzu, zauważył w chmurach słabe migotania i z początku uznał, że to kolejne przedstawienie. Minęło kilka minut nim dotarło do niego, że to statek kosmiczny, po kilku kolejnych minutach uświadomił sobie, że ląduje dokładnie w miejscu, w którym musiała stać jego córka. W tym momencie – bez względu na deszcz, starą ranę na nodze i ciemność – naprawdę zaczął biec. Niemal natychmiast się poślizgnął, upadł i uderzył kolanem w wystający kamień. Ślizgając się, wstał i podjął kolejną próbę. Miał nieprzyjemne poczucie, że może stracić Random. Utykając i klnąc, pobiegł dalej. Nie wiedział, co znajdowało się w pudełku, było na nim nazwisko Forda Prefecta i to jego przeklinał.

Statek był jednym z najbardziej seksownych i najpiękniejszych, jakie Random kiedykolwiek widziała.

Zapierał dech w piersiach. Był srebrny, miał niesamowicie opływowe kształty, był nie do opisanego. Gdyby miała zgadywać, powiedziałaaby, że to RW6. Kiedy opadł bezgłośnie tuż obok i stwierdziła, że to rzeczywiście RW6, z podniecenia aż jej zabrakło tchu. RW6 widywało się zwykle jedynie w czasopiśmie, które prowokowały niepokoje społeczne.

Random była niezwykle zdenerwowana. Sposób i moment przybycia statku były wyjątkowo niepokojące. Albo miała do czynienia z najdziwniejszym zbiegiem okoliczności albo z bardzo szczególnym i niepokojącym wydarzeniem. Z napięciem czekała na otwarcie luku wejściowego. Jej przewodnik – traktowała go już jako swoją własność – unosił się lekko i poruszał skrzydłami nad jej prawym barkiem.

Otworzył się luk. Na zewnątrz wypłynęło słabe światło. Minęło kilka sekund, ukazała się postać mężczyzny. Stał przez chwilę, próbując widocznie przyzwyczaić wzrok do ciemności. Zauważył Random, co wyraźnie go zaskoczyło. Zaczął iść w jej kierunku. Nagle wydał z siebie okrzyk radości i zaczął biec.

Random nie była osobą, ku której bezpiecznie jest biec w środku nocy, zwłaszcza kiedy jest w kiepskiej formie. Kamień w kieszeni ścisnęła odruchowo już od momentu, kiedy zauważyła lądujący statek.

Artur robił, co mógł. Ślizgał się, buksował nogami, uderzał o drzewa, ale przybył za późno. Statek stał nie dłużej niż trzy minuty, teraz wznosił się bezgłośnie i elegancko ponad

drzewami, zawrócił łagodnie w oparach mżawki, w jaką przemieniła się ulewa, i wznosił się coraz wyżej. Skierował dziób w górę i bez wysiłku pędził przez chmury.

Zniknął. Random była w środku. Nie miał na to dowodu, ale wiedział. Odleciała. Próbował spełniać ojcowskie obowiązki, ale sam nie mógł się nadziwić, jak bardzo wszystko zepsuł. Chciał biec dalej, ale stopy broniły się, kolano wściekle bolało, poza tym wiedział, że jest za późno.

Nie wyobrażał sobie, że mógłby czuć się gorzej, wkrótce jednak okazało się, że był w błędzie.

Pokuśtykał dalej i doszedł do jaskini, w której Random znalazła schronienie i otworzyła pudełko. W błocie znalazł ślady statku, który był tu jeszcze kilka minut temu. Po Random nie było żadnego śladu. Przygnębiony wszedł do jaskini, znalazł puste pudełko i kilka stosów kuleczek z brakującej materii. Trochę go to zezłościło. Tak bardzo starał się nauczyć córkę, że należy po sobie sprzątać... Złość na córkę pomogła mu poczuć się mniej okropnie z powodu jej zniknięcia. Wiedział, że nie ma szansy jej odnaleźć.

Uderzył stopą w jakiś przedmiot. Schylił się, by go podnieść, i z niezmiernym zaskoczeniem odkrył swój stary egzemplarz *Autostopem*. Jak się znalazł w jaskini? Artur nigdy nie wrócił na miejsce katastrofy, by go poszukać. Nie chciał oglądać ani miejsca katastrofy, ani *Autostopem*. Pogodził się z tym, że jest na Lamuelli i że po kres swoich dni będzie robił sandwicze. W jaki sposób przewodnik znalazł się w jaskini? Na dodatek był włączony – na powierzchni świecił napis NIE PANIKUJ.

Kiedy Artur wyszedł z jaskini, oświetliło go zamglone, przepelnione wilgocią światło księżycy. Usiadł na kamieniu, by zajrzeć do *Autostopem*, nagle przekonał się, że kamień nie jest kamieniem, lecz żywą istotą.

## Rozdział 18

Artur stanął na równe nogi z okrzykiem przerażenia. Trudno powiedzieć, co przstraszyło go bardziej: to, że mógł zranić osobę, na której usiadł, czy to, że osoba, na której niechcący usiadł, mogła zranić jego. W trakcie dokładniejszych oględzin okazało się, że nie ma obawy co do drugiej możliwości: człowiek, na którym usiadł, był nieprzytomny. W ten sposób został też dokonany wielki krok naprzód, jeśli chodzi o wyjaśnienie, dlaczego tutaj leży. Człowiek zdawał się normalnie oddychać, Artur zbadał jego puls, wszystko było dobrze. Leżał na boku, lekko zwinięty; ostatni raz Artur udzielał pierwszej pomocy bardzo dawno temu i bardzo daleko stąd, nie mógł więc sobie przypomnieć, co robić. Pierwszą rzeczą, jaką sobie przypomniał, było, że na początku nic nie należy robić, lecz mieć apteczkę. Niech to...

Przewrócić leżącego na plecy? A jeśli ma połamane kości? Jeśli połknął język? A jeżeli go zaskarży? Pominąwszy wszystko inne, kim on jest?

W tym momencie nieprzytomny głośno westchnął i przewrócił się na plecy.

Artur zaczął się zastanawiać, czy...

Obejrzał go dokładnie.

Obejrzał go jeszcze dokładniej.

Obejrzał go jeszcze raz, aby mieć absolutną pewność.

Wbrew temu, co myślał przed chwilą, że gorzej już być nie może, ogarnęło go jeszcze większe przygnębienie.

Mężczyzna ponownie jęknął i powoli otworzył oczy. Potrzebował chwili, by się skupić, następnie zamrugał oczami i zdrętwiał.

– Artur!

– Ford!

Ford jeszcze raz jęknął.

– Co mam ci tym razem wyjaśnić? – spytał Artur i zrozpaczony zamknął oczy.

Pięć minut później Ford siedział i masował sporego guza z lewej strony głowy.

– Kim, do pioruna, była ta kobieta? – spytał. – Dlaczego jesteśmy otoczeni przez wiewiórki i czego one chcą?



– Ta kobieta to moja córka, a wiewiórki męczą mnie już całą noc – odparł Artur. – Bez przerwy próbują wcisnąć mi do ręki kolorowe czasopisma i podobne śmieci.

Ford zmarszczył czoło.

– Nie żartujesz?

– I kawałki szmatek.

Ford myślał.

– Hm... Czy to nie tu rozbił się twój statek?

– Tu – przyznał Artur przez zaciśnięte zęby.

– A więc to pewnie dlatego... To się zdarza. Roboty pokładowe giną, sterujące nimi cybermózgi przeżywają, a uwolniony potencjał umysłowy opanowuje zwierzęta leśne. Całe ekosystemy mogą się przemienić w panoszące się bezładnie sieci usługowe, zajmujące się rozdawaniem każdemu, kto się nawinie, gorących ręczników i drinków. To powinno zostać zabronione. Prawdopodobnie nawet jest zabronione, ale prawdopodobnie zabronione też jest zabranianie tego i w ten sposób ludzie mają na co się wściekać. O rany... Co mówiłeś?

– Powiedziałem, że ta kobieta to moja córka.

Ford przerwał masowanie głowy.

– Powtórz.

– Powiedziałem... że ta kobieta... to... moja... córka.

– Nie wiedziałem, że masz córkę.

– Jest pewnie wiele rzeczy, których o mnie nie wiesz. A jeśli już o tym mówimy, jest też pewnie sporo rzeczy, których nawet ja o sobie nie wiem.

– Dobrze. Znakomicie, wspaniale. Kiedy to się stało?

– Nie wiem.

– Te słowa brzmią w twoich ustach w znajomy sposób. Jest w to zamieszana jakaś matka?

– Trillian.

– Trillian? Nigdy bym nie pomyślał, że...

– Bo nie. Słuchaj, to dla mnie trochę niezręczne...

– Kiedyś wspomniała, że ma dziecko, ale tylko mimochodem. Od czasu do czasu widzujemy się, ale nigdy nie widziałem jej z córką.

Artur pominął to milczeniem.

Ford, trochę oszołomiony, znów zaczął macać się po głowie.

– Jesteś pewien, że to była twoja córka?

– Opowiedz, co się stało.

– Brrr. To długa historia. Przyleciałem odebrać paczkę, którą przysłałem sobie, byś ją przechował...

– Co w niej było?

– Coś, co może się okazać niewyobrażalnie niebezpieczne.

– I wysłałeś to do mnie?

– Twój adres był najbezpieczniejszy ze wszystkich, jakie przysły mi do głowy. Pomyślałem, że dzięki twemu absolutnemu znudzeniu będę miał pewność, że nie otworzysz paczki. Nieważne, w każdym razie nie mogłem po ciemku odnaleźć tej śmiesznej wsi, miałem jedynie podstawowe informacje topograficzne. Nie byłem w stanie znaleźć żadnych sygnałów naprowadzających do lądowania, prawdopodobnie ich nie macie.

– Zgadza się. Dlatego tak mi się tu podoba.

– Później złapałem słaby sygnał z twojego starego *Autostopem* i poleciałem w jego kierunku, bo myślałem, że cię znajdę. Niestety, wylądowałem w lesie. Nie miałem pojęcia, co to ma znaczyć. Zacząłem wysiadać i zobaczyłem tę kobietę. Podchodziłem do niej, by się przywitać, nagle okazało się, że ma to, co ci przysłałem.

– Co?

– To, co ci przysłałem! Nowe *Autostopem*. Ptaka! Miałeś go przechować, a on siedział dziewczynie na ramieniu! Kiedy do niej podbiegłem, uderzyła mnie kamieniem.

– Aha. I co zrobiłeś?

– Upadłem, a co miałem zrobić? Byłem poważnie ranny. Weszła razem z ptakiem do mojego statku. Mówiąc „mój statek”, mam na myśli RW6!

– Co?

– RW6, na Zarkwona! Między moją kartą kredytową i centralnym komputerem *Autostopem* zdążył się nawiązać naprawdę rewelacyjny związek. Artur, nawet sobie nie wyobrażasz, co ten statek...

– To znaczy, że RW6 to statek. Mam rację?

– Masz rację! To... ach, nie mówmy o tym. Arturze, zrób mi przysługę i spróbuj choć raz coś zrozumieć... albo zdobądź katalog. Jak więc mówiłem, miałem poważne problemy i jeśli się nie mylę, lekki wstrząs mózgu. Klęczałem w błocie i krwawiłem obficie, zrobiłem więc jedyne, co mi pozostało: zacząłem błagać. Prosiłem, żeby – na Zarkwona – nie zabierali mi statku i nie zostawiali z nieobandażowaną raną na głowie i w środku pierwotnego lasu. Tłumaczyłem, że może to wywołać niedobre skutki nie tylko dla mnie, ale i dla niej.

– Co ona na to?

– Znów uderzyła mnie kamieniem w głowę.

– Mogę więc uznać za pewne, że to była moja córka.

– Słodki dzieciak.

– Trzeba ją tylko trochę lepiej poznać.

– Wtedy się rozkręca?

– Nie, ale można się nauczyć, kiedy schylać głowę.

Ford trzymał się za głowę i próbował nie ruszać oczami.

Na zachodzie, czyli tam, gdzie wschodziło słońce, powoli widniało. Artur nie przywiązywał zbyt wielkiej wagi do tego, by obejrzeć wschód słońca. Ostatnią rzeczą, jakiej

potrzebował po tak piekielnej nocy, był idiotyczny dzień, obejmujący beztrosko i głośno świat.

– Co ty właściwie robisz w takiej dziurze? – zapytał Ford.

– Wiesz... głównie sandwicze.

– Co?

– Jestem – a raczej byłem – sandwiczmanem pewnego niewielkiego plemienia. Prawdę mówiąc, było to nieco kłopotliwe. Kiedy tu przyleciałem, to znaczy, kiedy wyciągnęli mnie z wraka supernowoczesnego statku kosmicznego, który roztrzaskał się o ich planetę, byli bardzo mili, uznałem, że należy im się odwdziżyć. Wydawałoby się, że będąc wykształconym przedstawicielem rozwiniętej technologicznie kultury, będę w stanie to i owo im pokazać, ale oczywiście nic takiego nie byłem w stanie zrobić. Nie miałem najmniejszego pojęcia, co jak działa. Nie mówię o magnetowidach, bo nikt nie wie, jak działają. Mam na myśli proste rzeczy, jak zaporę na rzece, studnię artezyjską i tym podobne. Nie mam o tym pojęcia. Nie znam się na niczym. Pewnego dnia byłem w dość kiepskim nastroju, zrobiłem sobie sandwicza i właśnie to uznali za niezwykle ekscytujące. Jeszcze nigdy nie widzieli czegoś takiego. Nikt nigdy nie wpadł tu na taki pomysł, a ponieważ tak się składa, że lubię robić sandwicze, sprawa sama się rozwinęła.

– I to ci sprawiało przyjemność?

– Wiesz... tak... Kazałem robić sobie dobre noże i tak dalej...

– Nie uważałeś tego za ogłupiająco, szaleńczo, nieprawdopodobnie, morderczo nudne?

– Wiesz... eee... nie. Właściwie nie. Niekoniecznie morderczo.

– Dziwne. Ja bym tak uważał.

– Mamy różne spojrzenia.

– Najwyraźniej.

– Tak jak dziobokury.

Ford nie miał pojęcia, o czym Artur mówi, wołał jednak nie wiedzieć. Zamiast tego zapytał:

– To jak się stąd wydostaniemy?

– Myślę, że najłatwiej będzie zejść w dolinę, dojść do równiny, co zajmie około godziny, i zatoczyć łuk. Wątpię, bym jeszcze raz zdołał pokonać drogę przez wzgórze, którą przyszedłem.

– Zatoczyć łuk wokół czego?!

– Wrócić do wsi... – westchnął bezsilnie Artur.

– Nie zamierzam iść do żadnej przeklętej wsi! Musimy się stąd wydostać!

– Dokąd? Jak?

– Skąd mam wiedzieć? Ty tu mieszkasz! Przecież musi istnieć jakiś sposób wydostania się z tej zazarkwonionej planety!

– Nie mam pojęcia. Jak to się zwykle robi? Trzeba usiąść i czekać na przelatujący statek.

– Co ty powiesz... Ile statków przeleciało w ostatnim czasie nad tą zazarkwonioną hałdą śmieci?

– No... parę lat temu niechcący rozbił się mój. Była tu Trillian, posłaniec z paczką, ty i...

– Jasne, zgoda, może masz kandydatów z innej listy?

– Hm, no tak... o ile wiem, to chyba nie. Dość tu spokojnie.

Jakby na przekór jego słowom, z oddali dobiegł długi, niski grzmot.

Ford wstał i zaczął nerwowo chodzić w tę i z powrotem w słabym, bolesnym świetle poranka. Niebo w oddali wyglądało, jakby ktoś przeciągnął po nim kawał surowej wątróbki.

– Nie masz pojęcia, jakie to ważne!

– Co? Chodzi o to, że moja córka leci sama przez Galaktykę? Myślisz, że się nie...

– Czy możemy popłakać nad Galaktyką później? Sprawa jest naprawdę bardzo poważna.

Przejęto *Autostopem*. Zostało kupione.

Artur podskoczył.

– Oj! To bardzo poważne! Poinformuj mnie natychmiast o najnowszych wydarzeniach w branży wydawniczej! Nie masz pojęcia, jak bardzo mnie to ostatnio zajmowało!

– Nic nie rozumiesz. Stworzono zupełnie nowe *Autostopem*!

– Oj! – wrzasnął Artur. – Oj! Ojej! Ojoj! Nie posiadam się z radości! Nie mogę się doczekać, kiedy pojawi się na rynku. Sprawdzę, w jakich portach kosmicznych będę mógł się najlepiej nudzić, kiedy utknę w zbiorowiskach gwiazd, o których jeszcze nigdy nie słyszałem. Ford, możemy natychmiast ruszyć do sklepu, w którym go sprzedają?

Ford zmrużył oczy.

– To jest to, co na Ziemi nazywacie „sarkazmem”, prawda?

– Nie uwierzysz – krzyczał Artur – ale chyba tak! Mam nieodparte wrażenie, że do mej wypowiedzi wkradł się delikatny, minimalny ślad tego, co nazywamy sarkazmem. Ford, mam za sobą naprawdę potworną noc! Czy mógłbyś przynajmniej spróbować wziąć to pod uwagę, kiedy rozważasz, jak fascynującymi idiotyzmami, dotyczącymi nic nie znaczących spraw, zamierzasz mnie częstować?

– Weź się w garść, dobrze? Muszę się zastanowić.

– Nad czym chcesz się zastanawiać? Nie możemy po prostu usiąść i pośpiewać budumbudumbudum? Nie możemy trochę się poślinić i pozwolić ciału opaść bezwładnie na lewo? Nie wytrzymam tego, Ford! Mam dość ciągłego zastanawiania się i wymyślania rozwiązań. Wydaje ci się, że tylko stoję sobie i pokrzykuję...

– Na myśl by mi to nie przyszło.

– ... ale nie żartuję! Po co to wszystko? Za każdym razem, kiedy coś robimy, wychodzimy z założenia, że znamy skutki naszego działania, to znaczy wiemy, że nastąpi mniej więcej to, co zamierzaliśmy. To nie tylko częściowo nietrafne, to najdziksza, najbardziej szalona, najgłupsza, najtępsza, pokrecona bzdura!

– Dokładnie to mam na myśli.

– Dziękuję. – Artur usiadł. – Że co?!

– Czasowa mechanika zwrotna.

Artur schował głowę w dłonie i zaczął nią delikatnie kręcić.

– Czy istnieje jakikolwiek humanitarny sposób powstrzymania cię od opowiedzenia mi, co oznacza ta idiotyczna czasowa jak jej tam?

– Nie, ponieważ twoja córka tkwi w jej środku. Sytuacja jest śmiertelnie poważna.

Ciszę wypełnił daleki grzmot.

– Dobrze. Opowiadaj.

– Wskoczyłem z wysokiego piętra w biurowcu.

Artura wyraźnie to rozbawiło.

– Bomba! Dlaczego nie zrobisz tego jeszcze raz?

– Zrobiłem.

– Hmm. Widocznie nic to nie dało.

– Za pierwszym razem – przyznaję to z całą skromnością – uratowała mnie najbardziej zaskakująca kombinacja genialnie szybkiego rozeznania sytuacji, zwinności, doskonałej pracy nóg i ofiarności.

– Na czym polegała ofiarność?

– Pozwoliłem spaść z nóg połowie bardzo kochanej i prawdopodobnie niezastąpionej pary butów.

– Dlaczego była to ofiarność?

– Bo to były moje buty!

– Wygląda na to, że mamy odmienne systemy wartości.

– Ale mój jest lepszy.

– To zależy od tego, jak... dajmy temu spokój. Tak więc po tym, jak za pierwszym razem uratowałeś się w szczególnie sprytny sposób, wyskoczyłeś po raz drugi. Nie mów, dlaczego. Opowiedz jedynie, co działo się dalej, oczywiście, jeśli nie możesz się powstrzymać.

– Wpadłem prosto do otwartego kokpitu przelatującego autobusu odrzutowego, którego pilot niechcący uruchomił katapultę, choć faktycznie zamierzał jedynie zmienić kasetę w magnetofonie. Nawet ja nie mogę więc uznać tego za wielki wyczyn.

– Bo ja wiem – głucho powiedział Artur. – Prawdopodobnie poprzedniego wieczoru włamałeś się do autobusu i włożyłeś kasetę, której pilot nie lubił.

– Nie włamywałem się.

– Byłoby cię na to stać.

– Dziwnym zbiegiem okoliczności zrobił to ktoś inny. W tym sęk. Kiedy prześledzi się daleko wstecz łańcuchy i przecięcia różnych zdarzeń i przypadków, okaże się, że wszystko zorganizowało nowe *Autostopem*. Ten ptak.

– Jaki ptak?

– Nie widziałeś go?

– Nie.

– Ojej. Ten zgubny mały stwór. Wygląda ładnie, dużo mówi, sprawia, że fale opadają, jak chce i kiedy chce.

– Co to oznacza?

– Że operował czasową mechaniką zwrotną.

– No tak – zgodził się Artur. – Oczywiście.

– Pytanie brzmi: dla kogo on naprawdę pracuje?

– Mam w kieszeni sandwicza. Chcesz kawałek?

– Daj.

– Jest trochę zniekształcony i przemoczony.

– Nie szkodzi.

Przez chwilę mlaskali ze smakiem.

– Niezłe. Co to za mięso?

– Całkowicie Normalne Bydlę.

– Nigdy nie widziałem. A więc pytanie brzmi, dla kogo ptak pracuje. Co kryje się za tym, co robi?

– Hmm. – Artur żuł dalej.

– Kiedy znalazłem ptaka, co zawdzięczam wielu szczęśliwym przypadkom, które same w sobie są już interesujące, zrobił mi pokaz najbardziej fantastycznych wielowymiarowych fajerwerków, jakie widziałem. W końcu powiedział, że w moim wszechświecie jest do moich usług. Odpowiedziałem, że dziękuję, nie trzeba, na co odparł, iż będzie mi służył, czy chcę tego czy nie. Ja mu na to, żeby tylko spróbował, na to on, że nie omieszka, poza tym już to zrobił. Ja mu na to, że jeszcze zobaczymy a on – że pewnie. Dlatego postanowiłem go zapakować i wysłać poza krąg wydarzeń. Posłanie go tobie wydało mi się wystarczająco bezpieczne.

– No popatrz. Dla kogo?

– Nie narzekaj. Następnie z różnych powodów uznałem za rozsądne, żeby znów wyskoczyć przez okno, zabrakło mi bowiem chwilowo pomysłów. Na szczęście przelatywał autobus, inaczej pozostałoby mi genialnie szybkie rozeznanie sytuacji, zwinność i może jeszcze jeden but, a gdyby i to nie pomogło, walnięcie w chodnik. Oznaczało to jednak, że – czy mi się podoba, czy nie – *Autostopem* rzeczywiście dla mnie pracuje. Było to bardzo niepokojące.

– Dlaczego?

– Ponieważ znaczyło, że przewodnik umie wywoływać wrażenie, iż pracuje na rzecz swego aktualnego właściciela. Od chwili kiedy zaczął mi służyć, wszystko udawało mi się zadziwiająco gładko, póki nie natknąłem się na osóbkę z kamieniem. Wtedy nagle zrobiło się „bum” i było po mnie. Jakbym został wyrzucony w połowie jazdy.

– Czyżbyś mówił o mojej córce?

– Staram się być jak najmiłszy. Jest następną osobą, której będzie się zdawać, że wszystko odbywa się niezwykle prosto i dokładnie tak, jak sobie życzy. Będzie mogła, kogo tylko zechce, bić po głowie kawałkami krajobrazu, wszystko będzie zgodne z jej oczekiwaniami, póki nie spełni zadania – wtedy i dla niej zabawa się skończy. Wskazuje to na czasową mechanikę zwrotną wydarzeń, nikt chyba jeszcze nie pojmuje, jakie siły wyzwolono.

– Ja na pewno nie.

– Przepraszam? Boże, Artur, obudź się! Posłuchaj, spróbuję wyjaśnić ci to jeszcze raz. Nowe *Autostopem* pochodzi z laboratorium. Jest pierwszym we wszechświecie produktem, działającym dzięki wykorzystaniu techniki niefiltrowanego postrzegania. Wiesz, co to znaczy?

– Przecież ja tylko robiłem sandwicze, na Boba!

– Jakiego Boba?

– Nieważne. Opowiadaj dalej.

– Niefiltrowane postrzeganie oznacza, że *Autostopem* postrzega wszystko. Jasne? Ja nie postrzegam wszystkiego. Ty nie postrzegasz wszystkiego. My mamy filtry poznawcze, on nie. Jego zmysły wchłaniają wszystko. Pod względem technologicznym to nic skomplikowanego, trudność polegała jedynie na tym, jak pozostawić wąski margines informacji nie podlegającej absorpcji. Rozumiesz?

– Załóżmy, że zrozumiałem, możesz mówić dalej, nie zwracając na mnie uwagi.

– Świetnie. Ponieważ ptak może postrzegać każdy istniejący wszechświat, jest w każdym wszechświecie obecny. Zgadza się?

– T... a... a... a... Nie.

– Dotarło to do pustych głów z działu marketingu i księgowości, powiedzieli sobie: „Oj, to brzmi świetnie. Czy to nie oznacza, że wystarczy wyprodukować jeden egzemplarz i sprzedawać go nieskończenie wiele razy?” Nie patrz tak na mnie, tak myślą księgowi!

– To całkiem sprytne, prawda?

– Nie! To nieprawdopodobnie głupie! Ta maszynka to nie tylko przewodnik. Jest naładowana niezwykle inteligentną cybertechnologią, ponieważ jednak dysponuje umiejętnością niefiltrowanego postrzegania, najmniejszy ruch, jaki zrobi, działa jak wirus. Może się roznieść po całej przestrzeni, po całym czasie i po paru milionach innych wymiarów. Wszystko może zostać zogniskowane – w każdym wszechświecie, gdziekolwiek się poruszamy. Działa zwrotnie, czyli samopowielająco. Pomyśl o programie komputerowym. Gdzieś znajduje się kluczowy rozkaz, reszta to jedynie wyzwajające się nawzajem funkcje albo rozgałęziające się w nieskończoność drzewo, wskazujące lokalizację poszczególnych informacji. Co się stanie, kiedy wytrzymamy ścieżki dojścia? Gdzie jest końcowe „zakończ, jeżeli”? Czy cokolwiek będzie miało jeszcze jakikolwiek sens? Artur!

– Przepraszam, na chwilę przysnąłem. Coś ze wszechświatem, tak?

– Tak, coś ze wszechświatem – westchnął Ford ze zmęczeniem w głosie. – W porządku. W takim razie zastanów się nad czymś innym: Jak sądzisz, na kogo natknąłem się w redakcji *Autostopem*? Na Vogonów. Aha! Jak widzę, zrozumiałeś chociaż jedno słowo z tego, co mówię.

Artur stanął na równe nogi.

– Ten odgłos!

– Jaki odgłos?

– Te grzmoty.

– Co ma z nimi być?

– To nie grzmoty. To wiosenne przybycie Całkowicie Normalnych Bydłał. Zaczęło się.

– Coś się tak do nich przyczepił?

– Nie przyczepiam się do nich, robię z nich sandwicze.

– Dlaczego nazywacie je Całkowicie Normalnymi Bydłałami?

Artur wyjaśnił mu.

Nieczęsto miał przyjemność widzieć, jak oczy Forda okrągłeją ze zdziwienia.



## Rozdział 19

Był to spektakl, do którego Artur w rzeczywistości nigdy nie mógł się przyzwyczaić i na który nie mógł się napatrzeć. Przeszli kawałek wzdłuż strumienia płynącego w dolinie, doszli do skraju rozległej równiny i wspięli się na gałęzie rozłożystego drzewa, by podziwiać jeden z najbardziej niezwykłych i najwspanialszych widoków, jakie oferowała Galaktyka.

Olbrzymie, dudniące kopytami stado niezliczonych tysięcy Całkowicie Normalnych Bydłał falowało przez równinę Ahondo w zwartym szyku. W słabym świetle poranka ogromne zwierzęta, galopujące w powstałej z ich potu lekkiej mgłę, zmieszanej z wzniesioną kopytami chmurą brudnego pyłu, wyglądały nierealnie i upiornie; naprawdę jednak dech w piersiach zapierało to, skąd przybywają i dokąd biegną, czyli po prostu: znikąd i donikąd.

Zwierzęta tworzyły zwartą, walącą kopytami kolumnę, szerokości mniej więcej stu metrów i długości około kilometra. Bydła pojawiały się na osiem, dziewięć dni; i przez cały ten czas, jeśli pominiemy drobne przesunięcia w bok lub do tyłu, kolumna niemal się nie poruszała. Choć kolumna była nieruchoma, tworzące ją wielkie zwierzęta gnały z prędkością prawie czterdziestu kilometrów na godzinę – nie wiadomo skąd pojawiały się w migoczącym powietrzu na jednym krańcu równiny i znikwały nagle na drugim.

Nikt nie wiedział, skąd przybywają, nikt nie wiedział, dokąd biegną. Były tak ważne dla utrzymania życia na Lamuelli, że miało się wrażenie, iż nikt nie ma odwagi zapytać. Stary Głędzior powiedział kiedyś, że udzielenie odpowiedzi odbiera czasem pytającemu przedmiot pytania. Kilku mieszkańców wsi mówiło wtedy między sobą, że to jedyna mądra rzecz, jaką kiedykolwiek powiedział Głędzior, po krótkiej dyskusji uznano to za przypadek.

Odgłos dudniących kopyt był tak głośny, że zagłuszał niemal wszystkie inne dźwięki.

– Co mówiłeś?! – krzyczał Artur.

– Mówiłem, że to mi wygląda na dowód na przesunięcie wymiarów! – odrzyknął Ford.

– Co to jest?

– Wiesz, wiele osób martwi się, że czasoprzestrzeń ukazuje objawy pęknięcia na skutek tego, co się jej przydarzyło. Istnieje sporo światów, w których na podstawie niezwykle długich albo skomplikowanych tras przenoszenia się zwierząt można ustalić, jak pękały

kontynenty. Tu może być podobnie. Żyjemy w zwariowanych czasach. Cóż, z braku porządnego kosmodromu...

Artur patrzył na Forda, jakby zamieniono go w kamień.

– Co to ma znaczyć? – zapytał w końcu.

– Jak to, co to ma znaczyć? Dokładnie wiesz, co to ma znaczyć. Będziemy musieli wyjechać z planety na oklep.

– Czyżbyś naprawdę proponował, byśmy spróbowali ujeździć Całkowicie Normalne Bydlę?

– Nnno tak... Musimy sprawdzić, dokąd biegną.

– Zginiemy! Nie – zmienił zdanie Artur – nie zginiemy. Ja nie. Ford, słyszałeś kiedyś o planecie Stavromula Beta?

Ford zmarszczył czoło.

– Chyba nie. – Wyciągnął swój zniszczony egzemplarz *Autostopem*. – Pisze się to jakoś szczególnie?

– Nie mam pojęcia. Do tej pory jedynie słyszałem tę nazwę, w dodatku od istoty, której paszcza była pełna cudzych zębów. Pamiętasz, jak ci opowiadałem o Agrajagu?

Ford przez chwilę się zastanawiał.

– Masz na myśli faceta, który był przekonany, że ciągle go zabijałeś?

– Tak. Jednym z miejsc, gdzie, jak twierdził, go zabiłem, była planeta Stavromula Beta. Ktoś chciał mnie tam zastrzelić, schyliłem się i kula trafiła Agrajaga, a raczej kolejne jego wcielenie. To naprawdę się wydarzyło, zakładam więc, że nie mogę umrzeć, póki nie schylę się na Stavromula Beta. Niestety, nie spotkałem jeszcze nikogo, kto by słyszał o takiej planecie.

– Hmm. – Ford wpisał do przewodnika kilka dalszych haseł, ale nie był w stanie niczego znaleźć. – Nic z tego. Właśnie pomyślałem... nie, nigdy o niej nie słyszałem – powiedział w końcu, niemniej jednak drażyła go myśl, że nazwa wydaje mu się znajoma...

– No to świetnie – uznał Artur. – Obserwowałem, jak lamuellańscy myśliwi zabijają Bydłeta. Jeśli zakłuje się zwierzę w środku stada, jest natychmiast rozdeptywane, trzeba je przed zabiciem wyciągnąć z szyku. Myśliwi robią to niemal jak torreadorzy, za pomocą jaskrawych płacht. Prowokuje się Bydlę do ataku, robi się krok w bok i wykonuje elegancki ruch płachtą. Masz może przy sobie coś przypominającego muletę?

– Może być? – spytał Ford, podając Arturowi ręcznik.

## Rozdział 20

Skok na grzbiet przebiegającego z prędkością czterdziestu kilometrów na godzinę i ważącego półtorej tony Całkiem Normalnego Bydlęcia nie jest taki łatwy, jak mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka. Z pewnością nie taki łatwy, jak można by sądzić na podstawie obserwacji lamuellańskich myśliwych, dlatego Artur liczył się z tym, iż właśnie ta część zadania będzie najtrudniejsza.

Zupełnie nie przewidział, jak niesamowicie trudne okaże się samo dobrnięcie do najtrudniejszej części zadania. Zdawało się to łatwe, ale okazało niemożliwe do wykonania.

Nie udało im się skierować na siebie uwagi ani jednego zwierzęcia. Całkowicie Normalne Bydłeta były tak zajęte dudnieniem kopytami i koncentrowaniem się, z opuszczonymi łbami i wysuniętymi do przodu łopatkami, na miażdżeniu trawy, że wybicie ich z rytmu wymagałoby nie czegoś irytującego, lecz geologicznego.

Dudnienie i tętent okazały się w końcu ponad siły Artura i Forda. Choć spędzili niemal dwie godziny na dzikich podskokach i robieniu coraz bardziej szalonych rzeczy z niedużym ręcznikiem kąpielowym w kwiatki, nie zdołali ściągnąć na siebie nawet ukradkowego spojrzenia któregoś z dudniących i tętniących obok nich wielkich zwierząt.

Zbliżyli się na metr do lawiny spoconych ciał. Jeszcze bliższe podejście oznaczałoby z pewnością natychmiastową śmierć – nieważne, czy byłoby to chronologiczne czy nie. Artur widział, co się działo ze zwierzęciem przebitym włócznią przez młodego i niedoświadczonego myśliwego, nim zostało wyciągnięte ze stada.

Wystarczyłoby jedno potknięcie. Konieczność pojawienia się przedtem na Stavromula Beta – niezależnie od tego, gdzie to przekłete Stavromula Beta jest – nie uratowałaby Artura ani nikogo innego przed dudniącą, miażdżącą potęgą kopyt.

W końcu Ford i Artur zataczając się, odsunęli się do tyłu. Wycieńczeni i pokonani, usiedli i nawzajem krytykowali swe techniki posługiwania się ręcznikiem.

– Musisz nim bardziej machać – mówił Ford. – Wyrzucać go dalej z łokcia, inaczej nie ma mowy, by te okropne zwierzęta cię zauważyły.

– Wyrzucać?! To ty jesteś za sztywny w biodrach! – odcinał się Artur.

– Wyrzucanie zakolem trzeba robić znacznie energiczniej!

- Trzeba mieć większy ręcznik.
- Trzeba mieć – powiedział jakiś obcy głos – dziobokura.
- Trzeba co?

Głos dobiegł z tyłu. Odwrócili się i w świetle porannego słońca ujrzeli Starego Głędziora.

– Żeby zwrócić na siebie uwagę Całkowicie Normalnego Bydlęcia – mówił podchodząc – trzeba mieć dziobokura. Takiego jak ten. – Sięgnął pod podobną do sutanny kurtę z grubo tkanego materiału, którą zawsze nosił, i wyjął niedużego dziobokura. Ptak siedział niespokojnie na dłoni Głędziora; z napięciem wpatrywał się Bob wie w co, co podskakiwało siedemdziesiąt dziewięć centymetrów przed jego dziobem.

Ford natychmiast przyjął postawę gotowości bojowej. Robił tak zawsze wtedy, kiedy nie bardzo wiedział, co się dzieje, albo jak ma postąpić. Powoli krążył ramionami, z nadzieją, że wygląda niezwykle groźnie.

– Kto to? – syknął do Artura.

– To tylko Stary Głędzior – spokojnie odparł Artur. – Możesz sobie podarować te wygłupy. W blefowaniu ma nie mniej doświadczenia od ciebie. Skończy się na tym, że przez cały dzień będziecie się okręzać jak dwa koguty.

– Ptak – syknął Ford. – Co to za ptak?

– Zwykły ptak! – Artur zaczynał się denerwować. – Ptak jak każdy inny. Składa jajka i skrzeczy „ark!” na różne niewidzialne przedmioty. Czasami „kar!” albo „krik!”, albo coś w tym rodzaju.

– Widziałeś, jak składają jajka? – Ford był mocno podejrzliwy.

– Niech cię! Jasne, że widziałem! Zjadłem ich setki. Są z nich znakomite omlety. Tajemnica polega na tym, by wziąć małe, dobrze schłodzone kosteczki masła i powoli...

– Nie zamierzam wysłuchiwać idiotycznych przepisów, chcę się tylko upewnić, że to zwykły ptak, a nie kolejny wielowymiarowy cybernetyczny koszmar. – Powoli się wyprostował i zaczął strzepywać kurz z ubrania. Ani na chwilę nie przestał obserwować ptaka.

– A zatem – odezwał się Głędzior do Artura – przeznaczone jest, by Bob odebrał nam błogosławieństwo sandwiczmana, którego onegdaj sam przysłał?

Ford o mało znów nie przyjął bojowej postawy.

– Uspokój się – mruknął Artur – on zawsze tak gada. – Głośno zaś dodał: – Czcigodny Głędziorze... eee... tak. Obawiam się, że chyba będę musiał odejść. Moje miejsce zajmie jednak dobry sandwiczman, mój pomocnik młody Drimpel. Ma zręczne ręce, jest głęboko oddany sandwiczom, umiejętności, jakie posiada, choć może jeszcze niewystarczające, okrzepną z czasem, a więc... eee... chcę powiedzieć, że chłopak sobie jakoś poradzi.

Głędzior obdarował Artura uroczystym spojrzeniem. Jego stare, siwe oczy poruszały się ze smutkiem. Uniósł ręce w górę – w jednej trzymał dziobokura, w drugiej kostur.

– O, przez Boba przysłany sandwiczmanie! – oświadczył i zamilkł. Zmarszczył czoło, westchnął, zamknął oczy w pobożnym zamyśleniu. – Życie bez ciebie będzie nieco mniej dziwne!

Artur był mocno zaskoczony.

– Wiesz, jeszcze nikt nie powiedział mi czegoś tak miłego.

– Możemy kontynuować? – zapytał Ford.

Coś zaczęło się dziać. Dziobokur w dłoni Starego Głędziora zdawał się wywoływać w dudniącym stadzie dreszcz zainteresowania. Kilka potężnych łbów drgnęło w ich kierunku. Arturowi przypomniały się polowania na Całkowicie Normalne Bydłeta, których był świadkiem: rzeczywiście za każdym torreadorem z płachtą stał ktoś z dziobokurem w ręku. Wtedy wydawało mu się, że przychodzili – tak jak i on – tylko popatrzeć.

Głędzior zrobił krok do przodu. Był bardzo blisko przetaczającego się stada. Kilka zwierząt na widok dziobokura podniosło z zainteresowaniem łby.

Wyciągnięte ręce Głędziora drżały.

Jedynie dziobokur zdawał się nie przejmować tym, co się dzieje. Całą uwagę skupił na anonimowych molekułach powietrza, podskakujących w bliżej nie określonym miejscu na wysokości jego dzioba.

– Teraz! – wykrzyknął Głędzior. – Machajcie ręcznikiem!

Artur ruszył do przodu z ręcznikiem Forda w dłoniach. Poruszał się z gracją torreadora, to znaczy, stapał w zupełnie dla siebie nietypowy, elegancki sposób. Wiedział, co robić, i wiedział, że robi to, jak należy. Kilka razy załopotał i zamachał ręcznikiem dla rozgrzewki, następnie zaczął się rozglądać.

W pewnym oddaleniu zauważył Bydlę, które postanowił złapać. Z opuszczonym łbem galopowało w jego stronę na skraju stada. Głędzior szarpnął dziobokurem, Bydlę podniosło wzrok i odrzuciło łeb do tyłu; kiedy łeb zaczął opadać, Artur zamachał mu tuż przed nosem ręcznikiem. Zirytowane zwierzę znów odrzuciło łeb do tyłu i zaczęło śledzić ruchy ręcznika.

Arturowi udało się przyciągnąć uwagę Bydlęcia.

Od tej chwili nęcenie i wabienie wydało mu się najnaturalniejszą rzeczą na świecie. Łeb Bydlęcia był podniesiony i pochylony lekko w bok. Zwolniło bieg, przeszło w kłus. Kilka sekund później olbrzymie zwierzę stało przed myśliwymi, parskając, dysząc, pocilo się i z podnieceniem obwąchiwało dziobokura, który zdawał się go nie zauważać. Wykonując dziwne, koliste ruchy, Stary Głędzior krążył dziobokurem przed nosem Bydlęcia, starannie przy tym unikał wejścia w jego zasięg i poruszał ptakiem coraz niżej. Artur pomagał mu, wykonując ręcznikiem równie dziwne, coraz niższe, koliste ruchy.

– Czegoś tak idiotycznego jeszcze nigdy w życiu nie widziałem – wymamrotał Ford pod nosem. W końcu oszołomione zwierzę łagodnie jak baranek przyklęknęło na trawie.

– Ruszaj! – natarczywie szepnął Głędzior do Forda. – No już! Teraz!

Ford wskoczył na grzbiet olbrzymiego zwierzęcia i w skłębionej sierści zaczął szukać czegoś, czego można by się uchwycić; kiedy już pewnie usiadł, wpił się obiema dłońmi w brązową gęstwinę sierści.

– Teraz ty, sandwiczmanie! Szybciej!

Po paru długich i skomplikowanych gestach oraz rytualnych uderzeniach dłońmi na pożegnanie, za którymi Artur niezbyt był w stanie nadażyć (pewnie dlatego, że Głędzior wymyślił ceremoniał na poczekaniu), Stary Głędzior popchnął Artura do przodu. Artur wziął głęboki oddech, wdrapał się za Fordem na szeroki, gorący grzbiet Bydłęcia i mocno złapał za sierść. Poczł przesuwanie się i napinanie mięśni potężnych jak u lwa morskiego.

Stary Głędzior nieoczekiwanie szarpnął ptakiem w górę. Bydlę podniosło leniwie łeb. Głędzior raz za razem gwałtownie podnosił ptaka w górę i Bydlę powoli, ociężale uniosło się na kolana, zarzucając zadem. W końcu, choć niepewnie, stanęło prosto. Obaj jeźdźcy nerwowo, ale zawzięcie, wpijali mu się w grzbiet.

Artur patrzył ponad falującym morzem grzbietów, starając się dojrzeć, dokąd zwierzęta pędzą, widział jedynie migoczące w dali rozgrzane powietrze.

– Widzisz coś? – spytał Forda.

– Nic. – Ford spojrzał przez ramię, szukając za swoimi plecami jakiegoś tropu, który naprowadziłby na to, skąd przybywają Bydłęta. Nic nie było widać.

Artur spojrzał na Starego Głędziora.

– Czy wiesz, skąd przybywają albo dokąd się udają?

– Do krainy Króla!

– Króla? – Artur był mocno zdziwiony. – Jakiego króla? – Całkowicie Normalne Bydlę kołysało się pod nim i podrygiwało niespokojnie.

– Jak to jakiego? Króla. Jedyne Króla!

– Nigdy nie wspominałeś o żadnym królu! – odkrzyknął Artur nieco skonsternowany.

– Co...? – Głędzior coś krzyczał, ale dudnienie tysięcy kopyt zagłuszało jego słowa, poza tym ze wszystkich sił koncentrował się na tym, co właśnie robił.

Trzymając ptaka w górze, zmusił Bydlę, by powoli go obeszło i stanęło równolegle do kierunku pędu stada. Zrobił krok do przodu. Bydlę poszło za nim. Zrobił kolejny krok i Bydlę znów za nim poszło. W końcu zwierzę zaczęło powoli dreptać.

– Powiedziałem, że nigdy nie wspominałeś o żadnym królu – powtórzył Artur.

– Bo nie mówiłem o żadnym królu. Mówiłem o Królu.

Zamachnął się i z całej siły wyrzucił dziobokura wysoko ponad stado. Ptak wyglądał na zaskoczonego, widocznie nie docierało do niego nic z tego, co działo się wokół. Minęła chwila, nim zrozumiał, co się dzieje, szybko jednak rozpostarł krótkie skrzydelka i pofrunął.

– Ruszaj! – krzyknął Stary Głędzior. – Ruszaj na spotkanie z losem, sandwiczmanie!

Artur nie był pewien, czy ma ochotę ruszać na spotkanie z losem. Chciał jedynie jak najprędzej dotrzeć tam, dokąd dążyli, ale tylko po to, by zsiąść ze zwierzęcia, na którym

siedział. Nie czuł się bezpiecznie. Próbując dogonić odlatującego dziobokura, Bydlę nabierało prędkości. Kiedy zrównało się z potężną masą ciał wszystkich zwierząt, po kilku sekundach zapomniało o dziobokurze, spuściło łeb i gnało wraz ze stadem do punktu, w którym stado miało zniknąć w powietrzu. Artur i Ford rozpaczliwie trzymali się potwora, otoczeni ze wszystkich stron przez góry falujących ciał.

– Ujeżdżajcie to Bydlę! – wołał Głędzior. Jego głos dobiegał słabo z oddali. – Ujeżdżajcie Całkowicie Normalne Bydlę! Ujeżdżajcie, ujeżdżajcie!

Ford krzyknął Arturowi prosto w ucho:

– Dokąd on powiedział, że jedziemy?

– Mówił coś o jakimś królu! – odkrzyknął Artur, trzymając się rozpaczliwie grzbietu Bydlęcia.

– O jakim królu?

– Kiedy zapytałem, powiedział, że mówi o Królu.

– Nie miałem pojęcia, że któryś z królów jest Królem.

– Ja też nie.

– Oczywiście z wyjątkiem Króla, na którego cały wszechświat nie mówi inaczej jak KING, ale on jest królem tylko w określonym zakresie. Nie... jego na pewno nie miał na myśli...

– W jakim zakresie? Jaki król? – Artur był zdezorientowany. Byli blisko wylotu. Tuż przed nimi Całkowicie Normalne Bydlęta zniknęły w powietrzu.

– Co to znaczy, jaki król? Nie mam pojęcia. Powiedziałem jedynie, że niemożliwe, by miał na myśli króla zwanego KING, nie pytaj więc, kogo miał na myśli.

– Ford, nie rozumiem ani słowa z tego, co mówisz.

– Naprawdę?

W tym momencie nagle rozbłysły gwiazdy, zatoczyły krąg i zawirowały wokół ich głów. Po chwili – tak samo nagle – zgasły.

## Rozdział 21

W szarej mgle powoli rysowały się drżące kontury wieżowców. Poruszały się w górę i w dół w wyjątkowo niemiły sposób.

Co to za budynki?

Czemu służą? Co przypominają?

Kiedy człowiek nagle i nieoczekiwanie znajdzie się w nie znanym sobie świecie, odmiennym kulturowo, opierającym swą egzystencję na zupełnie innych podstawach oraz cechującym się niezwykle nudną i pozbawioną wyrazu architekturą, bardzo trudno powiedzieć, czym są określone rzeczy.

Niebo nad budynkami było zimną, wrogą czernią. Gwiazdy, które w tej odległości od słońca powinny być jaskrawymi punktami, przez grubą ścianę potężnej kopuły wyglądały jak matowe, śliskie plamy. Materiał, z którego zrobiono kopułę, przypominał gruby, choć nieco matowy pleksiglas.

Tricia cofnęła taśmę do początku.

Było w niej coś dziwnego.

Hm, prawdę mówiąc, było w niej kilka milionów dziwnych rzeczy, choć spokoju nie dawała jej jedna. Niestety, nie umiała jeszcze określić, która.

Westchnęła i ziewnęła.

Czekając, aż taśma cofnie się do początku, zebrała ze stołu montażowego brudne plastikowe kubki po kawie i wrzuciła je do kosza. Była w niewielkiej montażowni firmy produkującej filmy wideo w londyńskim Soho. Drzwi okleiła od góry do dołu napisami NIE PRZESZKADZAĆ i zablokowała telefon. Miało to służyć ochronie sensacyjnego znaleziska, teraz jednak chroniło ją jedynie przed wstydem.

Obejrzy taśmę jeszcze raz. Od początku. Jeśli wytrzyma. Być może będzie musiała w paru miejscach przesunąć ją do przodu na szybkim przewijaniu.

Był poniedziałek, tuż przed czwartą po południu, miała nieprzyjemne uczucie w żołądku. Próbowała ustalić jego przyczynę, a tych nie brakowało.

Najpierw nocny lot z Nowego Jorku. Nocny lot przez ocean to zabójstwo.



Następnie, na trawniku przed domem, zaczepka ze strony obcego i lot na Ruperta. Miała zbyt mało doświadczenia z tego typu podróжами, by stwierdzić, że to też zabójstwo; poszłaby jednak o zakład, że ci, co muszą je regularnie odbywać, przeklinają je. Czasopisma ilustrowane ciągle publikują tabele stresu. Strata pracy – pięćdziesiąt punktów. Rozwód albo nowa fryzura – siedemdziesiąt pięć i tak dalej. Nigdzie nie uwzględniono zagadywania we własnym ogródku przez istoty pozaziemskie i lotu na planetę Rupert, ale Tricia była pewna, że dałoby to co najmniej sto punktów.

Sama podróż nie była szczególnie męcząca, była raczej strasznie nudna. Z pewnością nie była bardziej męcząca od lotu przez Atlantyck, trwała mniej więcej tyle samo, niecałe siedem godzin.

Zadziwiająca, prawda? Lot na kraniec Układu Słonecznego trwał tak długo, jak lot do Nowego Jorku. Oznaczało to, że statek musi być wyposażony w fantastyczny, niesłychany napęd. Zapytała o to swych gospodarzy i przyznali, że jest niezły.

– Jak działa? – zapytała z zaciekawieniem. Na początku podróży była bardzo podekscytowana.

Znalazła to miejsce na taśmie i obejrzała je. Grebulończycy – bo tak na siebie mówili – pokazali uprzejmie, które guziki naciskają, by uruchomić statek.

– Tak, ale na jakiej zasadzie działa? – usłyszała własny głos z taśmy.

– Chodzi ci o to, czy ma napęd zaginający czy coś w tym rodzaju?

– Tak. Co to jest?

– Prawdopodobnie coś takiego.

– Jakiego?

– Napęd zaginający, fotonowy, coś w tym rodzaju. Musiałabyś zapytać mechanika pokładowego.

– Który to jest?

– Nie mamy pojęcia. To dlatego że postradaliśmy zmysły.

– Aha. Wspominaliście o tym. Hmm... w takim razie... opowiedzcie dokładnie, w jaki sposób postradaliście zmysły?

– Nie wiemy.

– Ponieważ postradaliście zmysły...

– Chcesz pooglądać telewizję? Lot będzie dość długi. Oglądamy telewizję. Lubimy oglądać telewizję.

Taśma zawierała dużo takich ekscytujących scen, oglądało się je z fascynacją. Pewne utrudnienie stanowiła zła jakość obrazu. Tricia nie wiedziała dokładnie, jaki jest tego powód; podejrzewała, że Grebulończycy reagują na nieco inne długości fal światła i że pracę kamery wideo zakłóciła duża ilość ultrafioletu na pokładzie. Na taśmie było mnóstwo zakłóceń. Prawdopodobnie miało to również związek z napędem zaginającym, o którym żaden z gospodarzy nie miał pojęcia.

Na taśmie miała więc przede wszystkim zamazane i blade postaci, siedzące i wpatrujące się w monitory, na których migotały programy telewizyjne. Próbowwała nakręcić coś przez okienko obok swego siedzenia, uzyskała rozmazane obrazy konstelacji gwiazd. Zdjęcia były prawdziwe, wiedziała jednak, że dobremu kamerzyście zajęłyby trzy lub cztery minuty.

W końcu postanowiła zachować cenną taśmę na samego Ruperta, usiadła więc wygodnie w fotelu i zaczęła razem ze swymi gospodarzami oglądać telewizję. Na kilka minut nawet się zdrzemnęła.

Nieprzyjemne uczucie w żołądku brało się po części stąd, że przebywając tak długo w zdumiewającym technicznie pozaziemskim statku kosmicznym, większość czasu spędziła na oglądaniu powtórek seriali *MASH* i *Cagney and Lacey* i spaniu. Co innego miała robić? Pstryknęła też, oczywiście, trochę zdjęć, niestety, po powrocie okazało się, że wszystkie są zamazane.

Nieprzyjemne uczucie w żołądku musiało zostać po części wywołane również lądowaniem na Rupercie. Przynajmniej ta część podróży była dramatyczna i przerażająca. Statek unosił się nad ponurą, smutną okolicą, terenem tak beznadziejnie oddalonym od Słońca, że zdawał się przypominać sporządzony przez psychologa wykres psychicznych okaleczeń porzuconego dziecka.

Mroźną ciemność rozjaśniło jaskrawe światło, wskazało drogę do czegoś w kształcie jaskini, która zdawała się samoczynnie otwierać, by przyjąć stateczek.

Na nieszczęście, z powodu kąta lądowania statku, niekorzystnego umiejscowienia małego okienka i bardzo grubej w nim szyby, Tricii nie udało się nic sfilmować. Oglądała właśnie ten fragment taśmy.

Kamera była skierowana prosto w słońce. Zazwyczaj dość przeszkadza to przy filmowaniu, jeżeli jednak słońce jest oddalone o miliard dwieście milionów kilometrów, ma niewielki wpływ na pracę kamery. Nie robi na niej wrażenia, nie mówiąc już o zrobieniu jakiegokolwiek zdjęcia. Widać jedynie małe punkciki, który może być wszystkim. Jedną z wielu gwiazd.

Tricia przewinęła taśmę do przodu.

Oj... następny fragment był obiecujący. Wysiedli ze statku i weszli do rozległego, szarego, przypominającego hangar pomieszczenia. Był to niewątpliwie wytwór najnowocześniejszej pozaziemskiej technologii. Olbrzymie szare budowle przykryte ciemną pleksiglasową kopułą. Te same budowle miała na końcu taśmy. Kilka godzin później, odlatując z Ruperta, sfilmowała je jeszcze raz. Co one przypominały?

No cóż, tak samo jak pozostałe ujęcia, przywodziły na myśl scenografię niemal każdego niskobudżetowego filmu science-fiction, nakręconego w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Oczywiście, były znacznie większe, ale na taśmie wideo wszystko wyglądało bardzo tandetnie i nieprzekonywająco. Okropna była nie tylko jakość zdjęć. Było widać, że Tricia musiała walczyć z ubocznymi skutkami nieoczekiwanej mniejszej grawitacji i nie mogła

utrzymać kamery nieruchomo. Taki sposób filmowania przynosi wstyd każdemu zawodowcowi. Z tego powodu nie było najmniejszej możliwości rozpoznania szczegółów.

Teraz podchodzi do niej Przywódca. Uśmiecha się i wyciąga rękę na powitanie.

To było całe jego nazwisko: Przywódca.

Żaden z Grebulończyków nie miał imienia, wynikało to przede wszystkim z tego, że nie mogli ich sobie przypomnieć. Tricia zauważyła, że niektórzy określali się imionami bohaterów programów telewizyjnych, odbieranych z Ziemi. Chociaż bardzo starali się mówić na siebie Wayne, Bobby czy Chuck, spoczywające głęboko resztki przyniesionej z rodzimej planety podświadomości kulturalnej mówiły im, że to nie jest dobre i nie należy tak robić.

Przywódca właściwie prawie niczym nie różnił się od innych. Może tylko nie był aż tak bardzo wychudzony. Powiedział Tricii, jak bardzo podobają mu się jej programy. Wyznał, że jest jej gorącym wielbicielem, że cieszy się, iż udało jej się przylecieć na Ruperta, że wszyscy czekali na jej wizytę, i że ma nadzieję, iż lot był przyjemny, i tak dalej. Nie zauważyła niczego, co by świadczyło, że jest wysłańcem z innej planety. Na taśmie robił wrażenie przebranego i umalowanego faceta, stojącego na tle dekoracji, o które nie można się bez obawy oprzeć.

Tricia siedziała, wpatrywała się w ekran, twarz ukryła w dłoniach i kręciła głową, popadając w stan głębokiego załamania.

To było straszne.

Straszne było także to, co nastąpiło później, kiedy Przywódca zapytał, czy nie jest po tak długim locie głodna i czy nie chciałaby zjeść z nim małego posiłku. Mogliby resztę omówić przy jedzeniu.

Pamiętała doskonale, co wtedy pomyślała: „Pozaziemskie jedzenie”.

Jak sobie poradzi?

Czy naprawdę będzie musiała jeść ich produkty? Czy dostanie serwetkę, w którą będzie mogła wszystko dyskretnie wypluć? Czy nie pojawią się skomplikowane problemy związane z różnicami odporności?

Okazało się, że podano hamburgery.

Co więcej, okazało się, że to nie tylko zwykłe hamburgery, ale hamburgery od McDonalda, które podgrzano w kuchence mikrofalowej. Nie tylko odpowiednio wyglądały. Nie tylko odpowiednio pachniały. Podano je w typowych, zadrukowanych od góry do dołu firmowymi znakami McDonalda, plastikowych pojemnikach..

– Jedz! Smacznego! – zachęcał Przywódca. – Dla honorowego gościa mamy wszystko, co najlepsze!

Jedli w prywatnym apartamencie Przywódcy. Tricia rozglądała się ze zdumieniem graniczącym ze strachem, mimo to wszystko sfilmowała.

W pokoju znajdowało się łóżko wodne, obok wieża hi-fi. Na stole stała szklana lampa, wyglądała jakby była wypełniona dużymi, świecącymi grudami unoszącej się w oleju spermy. Ściany były obite aksamitem.

Przywódca wygodnie usiadł w modnym w latach sześćdziesiątych „fotelu”, czyli wypełnionym kuleczkami styropianu worze z brązowego sztruksu, i przyskał sobie do ust płyn odświeżający. Nagle Tricia potwornie się przestraszyła. Była dalej od Ziemi niż jakakolwiek istota ludzka, przynajmniej tak jej się wydawało, i to w towarzystwie istoty pozaziemskiej, przeciągającej się na worku z brązowego sztruksu i przyskającej sobie do ust płyn odświeżający. Nie chciała zrobić fałszywego ruchu, nie chciała jej przestraszyć, było jednak kilka spraw, których musiała się dowiedzieć.

– Jak pan... skąd pan... to ma? – zapytała, wskazując na sprzęty w kabinie.

– To wyposażenie? Podoba się pani? Bardzo gustowne, prawda? Jesteśmy bardzo kulturalnymi ludźmi, my, Grebulończycy. Kupujemy gustowne meble... wysyłkowo.

Usłyszawszy to, Tricia niezwykle powoli skinęła głową.

– Wy... sył... ko... wo... – wyjąkała.

Przywódca aż się zachłysnął. Było to ciemne, czekoladowe, zapewniające, obślizgłe zachłyśnięcie się.

– Pewnie pani uważa, że dostarczają to nam tutaj... Skądże! Ha ha! Założyliśmy skrytkę pocztową w New Hampshire i regularnie ją opróżniamy. Ha ha! – Opadł rozluźniony na worek, wziął z papierowego talerzyka odgrzewaną frytkę i zaczął jeść, obgryzając koniec jak mysz. Usta miał wykrzywione w uśmiechu zadowolenia.

Tricia poczuła, że jej mózg powoli zaczyna pracować. Nie przerywała filmowania.

– W jaki sposób płacicie za te wszystkie... wspaniałości?

Przywódca znów się zachłysnął.

– Kartą American Express – wyjaśnił z nonszalanckim wzruszeniem ramion.

Tricia znów bardzo powoli skinęła głową. Wiedział, że karty są wydawane niemal wszystkim.

– A to? – spytała, podnosząc hamburgera.

– Bardzo prosto. Stajemy w kolejce.

„Doskonałe wyjaśnienie” – pomyślała Tricia, czując, jak po plecach spływa jej zimny pot.

Znów nacisnęła szybkie przewijanie. Nic z tego, co nakręciła, nie nadawało się do użytku. Stek bzdur. Nie miałyby żadnych trudności ze sfalszowaniem czegoś bardziej wiarygodnego.

Gdy oglądała tę beznadziejną taśmę, w jej żołądku pojawiło się jeszcze jedno niemiłe wrażenie. Z rosnącym przerażeniem zaczęła sobie uświadamiać, że to wyjaśniało wszystko.

To musiało...

Pokręciła głową i spróbowała pomyśleć trzeźwo.

Nocny lot na wschód... tabletki nasenne, by przetrzymać lot. Wódka, którą wypila, by pomóc tabletkom. Co jeszcze? No tak... trwająca siedemnaście lat *idée fixe*, że pewien

czarujący mężczyzna z dwoma głowami, z których jedna była zakamuflowana jako klatka z papugą, próbował ją poderwać na przyjęciu i wreszcie, nie mogąc się jej doczekać, odleciał latającym talerzem na inną planetę. Ta myśl zdawała się nagle mieć mnóstwo kłopotliwych aspektów, których nigdy sobie nie uświadamiała. Nigdy. Przez całe siedemnaście lat.

Zatkała sobie pięścią usta.

Potrzebowała pomocy.

Do tego dochodziła gadanina Eryka Bartletta o statku kosmicznym, lądującym na jej trawniku. Przedtem jeszcze... No cóż, Nowy Jork był naprawdę upalny i męczący. Wielkie nadzieje i gorzkie rozczarowanie. Bzdury z astrologią.

To musiało doprowadzić do załamania nerwowego.

Tak jest. Była przemęczona, przeżyła załamanie nerwowe, tuż po powrocie do domu zaczęła halucynować. Wszystko jej się przyśniło. Pozaziemska rasa, przedstawiciele tej rasy, pozbawieni wszelkiej wiedzy na temat swego pochodzenia i historii, którzy utknęli na najdalszej planecie Układu Słonecznego i wypełniali kulturową pustkę ziemskimi śmieciami. Hola! A więc to w ten sposób matka natura daje człowiekowi do zrozumienia, że powinien natychmiast udać się do jakiejś bardzo drogiej kliniki...

Jest chora, bardzo chora. Sprawdziła, ile kubków kawy zdążyła w siebie wlać i zauważyła, jak ciężko i szybko oddycha.

„Każdy problem jest w połowie rozwiązany – pomyślała – jeśli człowiek zda sobie z niego sprawę”. Skoncentrowała się na oddychaniu. Pozbierała się w odpowiednim momencie. Zauważyła, co się z nią dzieje. Wracała znad psychologicznej przepaści, do której o mało nie wpadła. Powoli się uspokajała, uspokajała, uspokajała. Opadła na krzesło i zamknęła oczy.

Po pewnym czasie, kiedy wyrównała oddech, otworzyła oczy.

Skąd w takim razie ma taśmę?

Taśma ciągle jeszcze szła.

No dobrze. Była fałszerstwem.

Zrobionym przez nią samą fałszerstwem. Tylko ona mogła sprokurować to fałszerstwo, ze ścieżki dźwiękowej dochodził bez przerwy jej zadający pytania głos. Na końcu każdego ujęcia kamera opadała i wtedy widziała swoje buty. Sfalszowała całą taśmę, ale nie mogła sobie przypomnieć ani jak, ani dlaczego to zrobiła.

Na widok migoczącej na ekranie szarobiałej kaszy znów zaczęła szybciej oddychać.

A więc ciągle jeszcze halucynuje.

Pokręciła głową, by przegnać obrazy. Nie mogła sobie w żaden sposób przypomnieć, jak fałszowała tę bez wątpienia sfalszowaną taśmę. Z drugiej strony, przypominała sobie, że przeżywała rzeczy bardzo podobne do tych na sfalszowanej taśmie. Wpatrywała się w ekran w otępiłym transie.

Osobnik, który w jej chorej wyobraźni nazywał się Przywódcą, pytał ją o różne rzeczy z zakresu astrologii, odpowiadała bardzo spokojnie i logicznie. Tylko ona słyszała w swym głosie głęboko ukryte, ale rosnące przerażenie.

Przywódcą nacisnął na guzik. Obita kasztanowym aksamitem ściana odsunęła się na bok i odsłoniła widok na wysoką i szeroką ścianę płaskich ekranów. Każdy pokazywał kalejdoskop różnych obrazów: kilka sekund teleturnieju, kilka sekund serialu policyjnego, kilka sekund nakręconych kamerą obserwacyjną domu towarowego, kilka sekund amatorskiego filmu z urlopu, kilka sekund filmu pornograficznego, kilka sekund wiadomości, kilka sekund komedii. Przywódcą był niezwykle dumny z tej mieszanki, machał rękami jak dyrygent, nie przestając opowiadać kompletnych bzdur.

Inny ruch jego ręki sprawił, że wszystkie monitory ściemniały i połączyły swe funkcje w ten sposób, że powstał jeden olbrzymi ekran – ukazał się na nim niezwykle szczegółowy obraz zawieszony na tle gwiazd Układu Słonecznego. Obraz był nieruchomy.

– Posiadamy wielką wiedzę – mówił Przywódcą – w kalkulacji stosowanej, trygonometrii kosmologicznej i trójwymiarowym nawigacyjnym rachunku różniczkowym. Wielką wiedzę. Naprawdę bardzo wielką wiedzę, tyle że ją straciliśmy. Straszna szkoda. Uwielbiamy posiadać wiedzę, ale nam zniknęła. Unosi się gdzieś w przestrzeni razem z naszymi imionami i wiedzą o naszej planecie, przyjaciółach i rodzinach. Proszę – dał ręką znak, by usiadła za pulpitem komputera – udostępnić nam swoją wiedzę.

Tricia pośpiesznie umocowała kamerę na statywie, by nakręcić to, co się będzie działo. Ustawiała ją tak, by filmowała fotel przed gigantycznym ekranem, usiadła, zaczęła się zapoznawać z interfejsem i sprytnie udawać, że ma choć odrobinę pojęcia, co robić.

W rzeczywistości nie okazało się to takie trudne.

W końcu była z wykształcenia matematykiem i astrofizykiem oraz miała praktykę jako prezenterka telewizyjna; to co przez lata zapomniała, była w stanie zastąpić blefowaniem.

Komputer, przed którym ją posadzono, bez wątplenia świadczył o tym, że Grebulończycy przybywali ze znacznie bardziej rozwiniętej i złożonej kultury, niż mógłby wskazywać ich obecny stan pustki umysłowej; w niecałe pół godziny była w stanie z jego pomocą poskładać jako tako działający model Układu Słonecznego.

Nie był szczególnie dokładny, ale wyglądał nie najgorzej. Planety śmigają dookoła po dobrze symulowanych orbitach, ruch całego wirtualnego kosmologicznego mechanizmu można było obserwować z dowolnego miejsca – przynajmniej z grubsza. Można było oglądać wszystko z Ziemi, z Marsa itd. Można było oglądać wszystko z powierzchni Ruperta. Tricia była pod wrażeniem swojego dokonania, a także pod wrażeniem komputera, dzięki któremu stworzyła swoje dzieło. Gdyby miała do dyspozycji komputer ziemski, opracowanie czegoś podobnego wymagałoby roku programowania albo i więcej.

Kiedy skończyła, stanął za nią Przywódcą i zaczął się przyglądać. Był bardzo zadowolony z uzyskanego wyniku.

– Bardzo dobrze – powiedział. – Teraz chciałbym, byś pokazała, jak użyć stworzonego przez ciebie systemu do przełożenia na język praktyczny informacji z tej książki.

Delikatnie położył przed nią książkę.

Było to *Ty i twoje planety* Gail Andrews.

Tricia znów zatrzymała taśmę.

Czuła się wewnętrznie roztrzęsiona. Wrażenie, że halucynuje ustąpiło, ale nie zrobiło w jej głowie miejsca dla czegoś łatwiejszego albo jaśniejszego.

Odsunęła fotel do tyłu i zaczęła się zastanawiać, co robić dalej. Wiele lat temu porzuciła badania astronomiczne, ponieważ spotkała istotę z innej planety. Na przyjęciu. Zdawała sobie doskonale sprawę z tego, że gdyby kiedykolwiek komukolwiek się do tego przyznała, zrobiłaby z siebie pośmiewisko. Jak jednak mogłaby zajmować się kosmologią i nic nie powiedzieć o tej najważniejszej rzeczy? Jedyne co jej pozostało, to porzucić swój zawód. Teraz pracowała w telewizji i to samo zdarzyło się ponownie. Miała taśmę, najprawdziwszy materiał zdjęciowy, przedstawiający najbardziej niezwykłą sprawę w historii... no, historii świata, pokazujący zapomniany posterunek obcej cywilizacji, porzucony na najdalszej planecie Układu Słonecznego.

Miała to nagrane.

Była tam osobiście.

Widziała wszystko na własne oczy.

Miała najprawdziwszy materiał zdjęciowy.

Jeśli komukolwiek go pokaże, zrobi z siebie pośmiewisko.

Jak mogłaby cokolwiek udowodnić? Szkoda było nawet marzyć. Z każdego punktu widzenia sprawa była jednym wielkim koszmarem. Zaczynało jej boleśnie pulsować w głowie.

Miała w torebce aspirynę. Wyszła z maleńkiej montażowni i poszła do stojącego w głębi korytarza automatu z wodą. Połknęła aspirynę i wypila kilka kubków wody. Wokół panowała niecodzienna cisza. Zazwyczaj po korytarzu kręciło się znacznie więcej osób... to znaczy, zazwyczaj ktoś się kręcił. Wsunęła głowę w drzwi sąsiedniej montażowni, nikogo nie było. Aby odstraszyć nieproszonych gości, umieściła na drzwiach napisy: NIE PRZESZKADZAĆ. NAWET NIE MYŚL O TYM, BY WEJŚĆ. NIE INTERESUJE MNIE, O CO CHODZI. IDŹ SOBIE! JESTEM ZAJĘTA.

Kiedy wróciła do siebie, zauważyła że migocze światelko na telefonie. Ciekawe, od jak dawna? Podniosła słuchawkę.

– Halo – odezwała się do telefonistki w centrali.

– Och, jak dobrze, że pani dzwoni, pani McMillan. Wszyscy chcą się z panią porozumieć. Dyrekcja stacji telewizyjnej. Rozpaczają, że nie można pani złapać. Mogłaby pani oddzwonić?

– Dlaczego nie połączyła ich pani ze mną?

– Kazała pani z nikim nie łączyć. Kazała pani nawet mówić, że nie ma pani w studio. Nie wiedziałam, co robić. Weszłam nawet na górę, żeby przekazać to pani osobiście, ale...

– Nic się nie stało... – Przeklinając samą siebie, zadzwoniła do redakcji.

– Tricia! Gdzie, do cholery, jesteś?!

– W montażowni.

– Powiedzieli tam...

– Wiem, co powiedzieli. O co chodzi?

– O co chodzi?! Tylko o statek z kosmosu!

– Co? Gdzie?

– W Regent's Park. Wielkie srebrne urządzenie. Wsiadła z niego dziewczynka z ptakiem. Mówi po angielsku, obrzuca ludzi kamieniami i każe sprowadzić kogoś, kto naprawi jej zegarek. Biegnij tam szybko!

Tricia wpatrywała się w statek.

Nie był grebuloński. Oczywiście, nie stała się nagle ekspertem w zakresie pozaziemskich statków kosmicznych, miała jednak przed sobą gładką, przepięknie lśniąca srebrem i bielą konstrukcję wielkości jachtu pełnomorskiego, z którym zresztą natychmiast porównała statek. W porównaniu z nim olbrzymi, rozpadający się statek grebuloński przypominał pancernik z wieżyczkami strzelniczymi. Pancernik z wieżyczkami strzelniczymi – to właśnie przypominała szara, obła konstrukcja. Co dziwne, kiedy mijała go, idąc do stateczku, który miał ją zawieźć do domu, wieżyczki poruszyły się. Takie myśli przemykały jej po głowie, kiedy wysiadła z taksówki i biegła w stronę czekającej na nią ekipy filmowej.

– Gdzie dziewczynka? – wrzasnęła, przekrzykując helikoptery i syreny policyjne.

– Tam! – odkrzyknął kierownik produkcji. Dźwiękowiec przypiął jej do kłapy mikrofon.

– Twierdzi, że jej rodzice pochodzą z Ziemi, choć z równoległego wymiaru czy coś w tym rodzaju, że ma zegarek ojca i... nie mam pojęcia. Co ci mam radzić? Zadaj jej parę pytań. Zapytaj, jak to jest, kiedy przybywa się z kosmosu.

– Dzięki, Ted... – mruknęła Tricia, sprawdziła, czy mikrofon jest dobrze przypięty, dała dźwiękowcowi kilka próbek głosu, wzięła głęboki oddech, odrzuciła włosy do tyłu i zamieniła się w profesjonalną reporterkę, umiejacą sobie radzić ze wszystkimi, przygotowaną na wszystko.

No, prawie na wszystko.

Spojrzała na dziewczynkę. To musi być ona... to jej włosy, jej oczy... Dziewczynka obróciła się w stronę Tricii. Wbiła w nią wzrok.



– Mamo! – krzyknęła i zaczęła obrzucać Tricię kamieniami.

## Rozdział 22

Wokół eksplodowało światło dnia. Gorące, ciężkie słońce. Aż po horyzont rozciągała się wypalona równina, nad którą unosiło się drżące powietrze. Wskoczyli prosto na nią.

– Skacz! – krzyknął Ford Prefect.

– Co? – zapytał Artur Dent, wbijając mocno palce w sierść Całkiem Normalnego Bydłęcia.

Ford nie odpowiedział.

– Co mówiłeś? – krzyknął Artur; w tym momencie zdał sobie sprawę, że Ford zniknął. Rozejrzał się, przerażony, i zaczął się zsuwać z grzbietu Bydłęcia. Kiedy uświadomił sobie, że nie będzie już w stanie dłużej się na nim utrzymać, odepchnął się w bok najmocniej jak potrafił; gdy dotknął piaszczystego gruntu, zwinął się w kulkę i odtoczył się jak najdalej od tętniących kopyt.

„Co za dzień” – pomyślał i zaczął gwałtownie kasłać, by wyrzucić z płuc pył i piasek. Tak złego dnia nie miał od momentu, kiedy wysadzono Ziemię. Drżąc z wycieńczenia, ukląkł, następnie stanął i zaczął uciekać. Nie miał pojęcia przed czym ani dokąd ucieka, ale wydawało mu się to rozsądne.

Wpadł na Forda Prefecta, który stał i rozglądał się wokół.

– Popatrz – powiedział Ford. – Właśnie tego potrzebujemy.

Artur wykasłał jeszcze trochę pyłu, strząsnął piasek z włosów i przetarł oczy. Dysząc, rozejrzał się wokół, by zobaczyć, czym Ford się zachwyca.

Nie sprawiało to wrażenia królestwa KRÓLA, Króla ani nawet króla, okolica wyglądała jednak zachęcająco.

Byli na spalonej słońcem pustynnej równinie. Pylisty grunt miał konsystencję stwardniałego gipsu, na każdym kawałku ciała Artura, który nie był jeszcze poobijany przez rytuały minionej nocy, pozostawił spore siniaki. Przed sobą mieli wysokie, pionowe ściany (chyba z piaskowca), w których wiatr i – chyba rzadko tu goszczący – deszcz wyrzeźbiły fantastyczne kształty, odpowiadające fantastycznym kształtom olbrzymich kaktusów, wyrastających tu i ówdzie z jałowej, pomarańczowej ziemi.

Przez ułamek sekundy Artur miał nadzieję, że nieoczekiwanie znaleźli się w Arizonie, Nowym Meksyku albo Południowej Dakocie, ale zbyt wiele świadczyło o tym, że tak nie jest.

Całkowicie Normalne Bydłeta ciągle dudniły i tętniły. Nadbiegały dziesiątkami tysięcy zza horyzontu, znikwały w pewnym miejscu, by pojawić się kilometr dalej i gnać, dudniąc i tętniąc, ku przeciwległemu horyzontowi.

Przed knajpką stały zaparkowane statki kosmiczne. Nazywała się... oj... „Królestwo Króla”... Arturowi wydało się to nieco... mało oryginalne. W rzeczywistości przed „Królestwem Króla” parkował tylko jeden statek kosmiczny, pozostałe trzy stały na parkingu. Właśnie ten jeden przyciągnął wzrok. Był piękny. Wokół kadłuba miał fantazyjnie ukształtowane lotki, dokładnie pochromowane, cały kadłub był polakierowany na różowo. Stał jak olbrzymi, wysiadający jaja owad, wydawało się, że lada chwila skoczy na coś oddalonego o kilometr.

„Królestwo Króla” znajdowało się dokładnie w miejscu, przez które przebiegłyby Całkiem Normalne Bydłeta, gdyby nie przeszły na krótko do innego wymiaru. Knajpka stała cicho i spokojnie. Najnormalniejsza w świecie knajpka dla kierowców. Gdzieś na pustkowiu. Cicha i spokojna. „Królestwo Króla”.

– Kupimy ten statek – mruknął Ford.

– Kupimy? To do ciebie niepodobne – odparł Artur. – Zdawało mi się, że zwykle kradniesz statki.

– Czasem trzeba mieć trochę szacunku.

– I pewnie nieco gotówki. Ile to może kosztować?

Ford zgrabnym ruchem wyciągnął z kieszeni kartę kredytową. Artur zauważył, że jego dłoń lekko drży.

– Jeszcze pożałują, że kazali mi zostać krytykiem gastronomicznym – prychnął.

– Co masz na myśli?

– Zaraz zobaczysz – odparł Ford ze złośliwym błyskiem w oku. – Wejdźmy do środka i zrobmy parę wydatków służbowych...

– Dwa piwa i kilka bułek z szynką, czy co tam macie... aha, i to różowe coś na zewnątrz.

Ford rzucił kartę na kontuar i zaczął się rozglądać.

Zapadła cisza.

Kiedy weszli, na sali nie było szczególnie głośno, teraz zaś panowała kompletna cisza. Nawet daleki tętent Całkowicie Normalnych Bydłał, starannie omijających „Królestwo Króla”, wydał się nagle bardzo stłumiony.

– Właśnie przyjechaliśmy do miasta konno – wyjaśnił Ford, jakby nie było w tym ani w niczym innym nic dziwnego. Opierał się o bar pod ekstrawagancko niedbałym kątem.

Poza nim i Arturem w środku znajdowało się około trzech gości, bardzo zajętych swoimi kufkami. Około trzech. Niektórzy powiedzieliby jednoznacznie: trzech, ale knajpka nie była

miejscem na tego typu oświadczenia. Był jeszcze potężny facet, ustawiający na niewielkiej scenie instrumenty. Starą perkusję. Kilka gitar. Zwyczajny zestaw country.

Barman nie bardzo spieszył się z realizacją zamówienia Forda. Ściśle mówiąc – wcale się nie ruszał.

– Nie sędzę, żeby to różowe coś było na sprzedaż – powiedział w końcu, cedząc każde słowo bardzo długo.

– Na pewno. – Ford nie tracił animuszu. – Ile pan chce?

– Cóż...

– Proszę powiedzieć jakąś sumę, dam dwa razy tyle.

– Nie należy do mnie – odparł barman.

– A do kogo?

Barman skinął głową w kierunku potężnego faceta na scenie. Wielkiego, grubego, poruszającego się leniwie faceta, niemal całkiem łysego.

Ford skinął głową i szeroko się uśmiechnął.

– Wszystko gra. Przynieś pan piwo i kanapki. Nie zamykaj rachunku.

Artur siedział przy barze i odpoczywał. Był przyzwyczajony do tego, że nie wie, co się wokół dzieje. Było to bardzo przyjemne. Piwo było niezłe i trochę go usypiało, ale wcale się tym nie przejmował. Bułki z szynką nie były z szynką, lecz z mięsem Całkowicie Normalnych Bydłał. Wymienił na ten temat kilka zawodowych uwag z barmanem i pozwolił Fordowi robić, na co ma tylko ochotę.

– Wszystko gra – powiedział Ford, siadając obok. – Załatwione. Różowe urządzenie jest nasze.

Barman był mocno zdziwiony.

– Sprzedaje je wam?

– Oddaje za darmo – odparł Ford, odgryzając kawałek bułki. – Zaraz, nie zamykaj pan jeszcze rachunku! To nie koniec. Ekstrabułki. – Pociągnął duży łyk piwa. – Niezłe piwo. Niezły statek – dodał, patrząc na różowego, chromowanego owada za oknem. – Wszystko jest świetne. Znakomite. Wiecie co... – odchylił się do tyłu i zamyślił – w takich momentach jak ten często zadaję sobie poważnie pytanie, czy warto zastanawiać się nad strukturą czasoprzestrzeni, związkami przyczynowo-skutkowymi wielowymiarowej macierzy prawdopodobieństw, potencjalnym załamaniem się wszystkich form fal w Całkowitym Zbiorze Wszelkiego Ogólnego Poplątania i pozostałymi męczącymi sprawami. Może prawdą jest to, co mówi ten dryblas: „Machnij na wszystko ręką. O co chodzi? Machnij ręką”.

– Który dryblas? – spytał Artur.

Ford skinął w stronę sceny. Olbrzym kilka razy powiedział do mikrofonu: „raz, dwa”. Na scenie pojawiło się paru ludzi. Perkusista. Gitarzysta.

Barman, który zamilkł na dłuższą chwilę, zapytał:

– Chce pan powiedzieć, że oddał wam statek?

– Oczywiście. Wszystko, co powiedział, to: „Machnij na wszystko ręką. Bierz statek. Masz moje błogosławieństwo. Zaopiekuj się staruszką”. Właśnie to zamierzam zrobić. – Pociągnął łyk piwa. – Tak jak powiedziałem. W takich momentach jak ten, człowiek też ma ochotę sobie powiedzieć: „Machnij na wszystko ręką”, ale zaraz przypominają się tacy faceci jak z „NieskończoMętu” i natychmiast przechodzi ci ochota puścić im wszystko płazem. Zapłacą za swoje. Jest moim świętym obowiązkiem sprawić, by zapłacili za swoje. Wpisz pan na mój rachunek coś z konta solisty. Poprosiłem go o specjalny numer i dogadaliśmy się. Idzie na mój rachunek, dobra?

– Jak pan sobie życzy – ostrożnie odparł barman. – Ile?

Gdy Ford powiedział ile, barman poleciał do tyłu między butelki i kieliszki. Ford zajrzał za bar, by sprawdzić, czy nic mu się nie stało, i pomóc wstać. Barman przeciął sobie palec i łokieć, chwiał się nieco na nogach, ale nic wielkiego mu się nie stało. Dryblas na scenie zaczął śpiewać. Barman pokuśtykał do końcówki komputera, by potwierdzić ważność karty Forda.

– Czy dzieje się coś, o czym nie mam zielonego pojęcia? – zapytał Artur.

– Czy nie jest tak zazwyczaj?

– Nie ma powodu tak się zachowywać. – Artur zaczynał przychodzić do siebie. – Nie powinniśmy już iść? – wyrzucił z siebie. – Czy ten statek zawiezie nas na Ziemię?

– Oczywiście.

– Random na pewno tam poleciała! – powiedział, strząsając resztki otępienia. – Możemy za nią polecieć! Tylko... że...

Ford pozostawił Artura samego z myślami i wyjął swój stary egzemplarz *Autostopem przez Galaktykę*.

– Gdzie jesteśmy na osi prawdopodobieństwa? – zapytał Artur. – Ziemia będzie na swoim miejscu? Tak długo jej szukałem, znajdowałem jedynie planety trochę podobne albo wręcz wcale niepodobne, choć sądząc po układzie kontynentów, powinny nią być. Najgorsza była pewna planeta, która nazywała się AToCo, gdzie ugryzł mnie wredny zwierzak. Tak się porozumiewają, za pomocą gryzienia. Potwornie bolesny sposób. W połowie przypadków Ziemi po prostu nie ma, bo wysadzili ją ci krwiożerczy Vogoni. Mówię choć trochę zrozumiale?

Ford nie skomentował, ponieważ czemuś się przysłuchiwał. Podał Arturowi *Autostopem* i wskazał na coś na ekranie. Artur przeczytał: ZIEMIA – W ZASADZIE NIEGROŻNA.

– A więc istnieje! – wykrzyknął z podnieceniem Artur. – Ziemia istnieje! Random tam poleciał! Ptak pokazywał jej w deszczu Ziemię!

Ford dał Arturowi znak, by krzyczał nieco ciszej. Przysłuchiwał się czemuś.

Artur zniecierpliwiał się, już nieraz słyszał śpiewane po knajpach *Love Me Tender*. Był nieco zaskoczony, że słyszy piosenkę właśnie tutaj, w środku nie wiadomo czego, co na

pewno nie było Ziemią, chociaż obecnie niewiele rzeczy tak go zaskakiwało jak dawniej. Solista był niezły, przynajmniej jak na zwykły bar i jeśli lubiło się tego typu muzykę, powoli jednak Artur robił się coraz bardziej drażliwy.

Popatrzył na zegarek, ale przypomniał sobie, że nie ma zegarka. Zegarek, a raczej jego resztki, miała jego córka.

– Nie uważasz, że powinniśmy iść? – zapytał natarczywie.

– Ciii! Zapłaciłem za tę piosenkę. – Wyglądało na to, że ma łzy w oczach, co mocno irytowało Artura. Jeszcze nigdy nie widział, by Forda poruszyło coś poza bardzo mocnym drinkiem. Na pewno coś mu wpadło do oka, wokół było mnóstwo kurzu. Czekał, nierytmicznie stukając palcami w kontuar.

Piosenka skończyła się. Solista przeszedł do „Heartbreak Hotel”.

– Tak czy owak – szepnął Ford – muszę zrecenzować ten bar.

– Co?

– Muszę napisać o nim recenzję.

– Recenzję? O tej dziurze?

– Napisanie recenzji uzasadnia dokonanie wydatków służbowych. Zorganizowałem wszystko tak, by odbyło się całkowicie automatycznie i było niemożliwe do prześledzenia, ale ten rachunek musi mieć jakieś uzasadnienie – powiedział cicho, uśmiechając się złośliwie i wpatrując w swoje piwo.

– Za parę piw i bułek?

– I napiwek dla solisty.

– Ile mu dałeś?

Ford podał sumę.

– Nie mam pojęcia, ile to jest. Ile to będzie w funtach szterlingach? Co można by za to kupić?

– Prawdopodobnie można by kupić za to... tak mniej więcej... eee... – Ford przewracał oczami i dokonywał obliczeń w pamięci – ...Szwajcarię. – Wziął *Autostopem* i zaczął coś wpisywać.

Artur inteligentnie skinął głową. Bywały momenty, kiedy bardzo chciał rozumieć, o czym Ford mówi, bywały jednak i takie, kiedy uważał, że lepiej tego nie wiedzieć. Zajrzał Fordowi przez ramię.

– Dużo czasu ci to zajmie?

– Co ty... Machnę to raz-dwa. Napiszę tylko, że bułki były smaczne, piwo zimne i niezłe, miejscowe dzikie zwierzęta ekscentryczne, śpiewak najlepszy we wszechświecie, i starczy. Dużo nie trzeba, wystarczy tylko potwierdzenie, że tu naprawdę byłem. – Dotknął na ekranie obszaru oznaczonego ENTER i wiadomość zniknęła na falach sub-eta.

– Naprawdę uważasz, że solista był dobry?

– Tak.

Barman szedł w ich stronę z kawałkiem papieru drżącym mu w dłoni.

– Dziwne... – powiedział. – Najpierw system kilka razy nie chciał przyjąć, czego się spodziewałem, nagle okazało się, że wszystko w porządku i potwierdził ją. – Na czole perlił mu się pot. – O tak. Zechce pan podpisać?

Ford rzucił okiem na rachunek. Cmoknął.

– Nieźle to dokuczy „Nieskończoności” – rzekł ze współczuciem. – O tak... nieźle da im popalić. – Zamaszystym ruchem podpisał rachunek i wręczył go barmanowi. – To więcej, niż zrobił dla niego Pułkownik poprzez te wszystkie tandetne filmy i występy po kasynach. W dodatku za to, co umie najlepiej – śpiewanie w barze. Sam tak chciał. Myślę, że to dla niego piękna chwila. Przekaż mu podziękowania i postaw na mój koszt drinka. – Rzucił na bar kilka monet, ale barman odsunął je.

– Myślę, że to niekonieczne – stwierdził lekko zachrypniętym głosem.

– Tak bym wolał – powiedział Ford. – Okay, spadamy.

Stali w upale i kurzu, ze zdumieniem i zachwytem obserwowali wielką, różową chromowaną konstrukcję. Przynajmniej Ford patrzył ze zdziwieniem i zachwytem. Artur jedynie patrzył.

– Nie sądzisz, że to nieco przesadzone?

Powtórzył to samo pytanie, kiedy wsiadali. Siedzenia były pokryte futrem i zamszem, podobnie jak spora część wyposażenia. Na środku głównej konsoli znajdował się wielki złoty monogram EP.

– Wiesz – powiedział Ford, włączając silniki – zapytałem go, czy to prawda, że uprowadzili go obcy z kosmosu, i wiesz, co odpowiedział?

– Kto?

– Król. No, w zasadzie KRÓL.

– Jaki król? Zaraz, zaraz, już na ten temat dyskutowaliśmy, prawda?

– Nieważne. W każdym razie powiedział, że nie. Odszedł z własnej woli.

– W dalszym ciągu nie bardzo wiem, o kim mówisz...

Ford pokręcił głową.

– Słuchaj, na półeczce z lewej strony masz parę kaset. Weź może którąś i włącz.

– Jak chcesz. – Artur zaczął przeglądać kasety. – Lubisz Elvisa Presleya?

– Można tak powiedzieć... – odparł Ford. – No, mam nadzieję, że ta maszynka umie tak latać, jak wygląda. – Odpalił główny silnik. – Juhuuu! – krzyknął, kiedy wystrzelili w górę z przyspieszeniem przyklejającym uszy do czaszki.

Maszynka umiała latać.

## Rozdział 23

Specjaliści od podawania wiadomości nie lubią tego rodzaju wydarzeń. Najpierw w środku Londynu pojawia się znikąd najprawdziwszy statek z kosmosu, co staje się, oczywiście, największą sensacją. Trzy i pół godziny później przybywa kolejny statek, tym razem wiadomość nie jest już tak sensacyjna.

KOLEJNY STATEK KOSMICZNY! – głosiły tytuły i tablice reklamowe przy kioskach. RÓŻOWY. Gdyby przyleciał po kilkumiesięcznej przerwie, dziennikarze mieliby większe pole do popisu. Trzeci statek, który zjawił się po półgodzinie – niewielki czteromiejscowy hrudowy gazik – dostał się jedynie do wiadomości lokalnych.

Ford i Artur wypadli z hukiem ze stratosfery i zaparkowali zgodnie z przepisami na Portland Place. Właśnie minęło w pół do siódmej wieczór, przy krawężnikach były wolne miejsca. Szybko wmieszali się w tłum gapiów i powiedzieli głośno, że jeśli nikt nie zamierza wołać policji, to oni to zrobią i w ten sposób udało im się zgrabnie uciec.

– Dom... – wydyszał Artur lekko schrypniętym głosem, rozglądając się wokół mętnym wzrokiem.

– Daj spokój, nie rozklejaj się – parsknął Ford. – Musimy znaleźć twoją córkę i ptaka.

– Jak? Na tej planecie żyje pięć i pół miliarda ludzi...

– Zgadza się, ale tylko jedna osoba przybyła właśnie z kosmosu w wielkim srebrnym statku w towarzystwie mechanicznego ptaka. Proponuję znaleźć telewizor i coś do picia na czas, kiedy będziemy przed nim siedzieć. Do tego będzie nam potrzebna naprawdę dobra obsługa.

Wzięli duży apartament z dwoma sypialniami w hotelu „Langham”. W tajemniczy sposób karta kredytowa, wystawiona na planecie znajdującej się ponad pięć tysięcy lat świetlnych od Ziemi nie sprawiła żadnych kłopotów hotelowemu komputerowi.

Ford natychmiast złapał za słuchawkę, Artur zaś ruszył w poszukiwaniu telewizora.

– A więc – mówił Ford – chciałbym zamówić trochę margarity. Kilka dzbanków. Do tego kilka sałatek szefa kuchni. Pasztet z gęsich wątróbek – wszystko, co macie. I jeszcze londyńskie zoo.

– Pokazują ją w wiadomościach! – krzyknął Artur z pokoju obok.



– Dobrze pani słyszała, jak najbardziej – mówił Ford. – Londyńskie zoo. Proszę dopisać je do rachunku.

– Zaraz będą... Boże drogi! – wykrzyknął Artur. – Wiesz, kto będzie z nią robić wywiad?

– Ma pani trudności z rozumieniem języka urzędowego? Mówię o zoo, które znajduje się przy tej samej ulicy co hotel. Nie interesuje mnie, że jest już zamknięte. Nie chcę biletu, chcę kupić całe zoo. Nie interesuje mnie, czy jest pani zajęta. Pani zadaniem jest obsługa pokoi, a ja siedzę w pokoju i potrzebuję obsługi. Ma pani jakąś kartkę? Świetnie. Proszę zająć się następującą sprawą: wszystkie zwierzęta, które można bez problemów odesłać na łono natury, mają tam powrócić. Proszę zebrać kilka ekip, które będą obserwować ich postępy w przystosowaniu się do warunków naturalnych.

– To Trillian! – krzyczał Artur – albo... o rany... nie wytrzymam tego bałaganu z równoległymi wszechświatami! To tak mąci w głowie... Wygląda na inną Trillian. To Tricia McMillan, czyli Trillian, jak ją nazywano przedtem... ee... chodź tutaj i popatrz sam, może ty się połapiesz.

– Za sekundę! – zawołał Ford, chcąc dokończyć negocjacje z obsługą. – Będziemy potrzebowali kilku stref ochronnych dla zwierząt, które nie poradzą sobie w warunkach naturalnych. Proszę stworzyć zespół, który zajmie się wyszukaniem najlepszych miejsc. Może się zdarzyć, że będziemy musieli kupić na przykład Zair i kilka wysp. Madagaskar. Ziemię Baffina. Sumatrę. Takie miejsca. Będziemy potrzebować bardzo różnorodnych środowisk. Co? Nie, nie rozumiem, na czym miałyby polegać trudności. Niech się pani nauczy zlecać zadania. Niech pani zatrudni, kogo trzeba. No to do pracy! Moja karta kredytowa ma stuprocentowe pokrycie. A sałatkę poproszę z sosem z gorgonzoli. Dziękuję. – Odłożył słuchawkę i poszedł do Artura, który siedział na skraju łóżka i oglądał telewizję. – Zamówiłem trochę pasztetu z gęsich wątróbek.

– Co? – spytał Artur, całkowicie pochłonięty wydarzeniami na ekranie.

– Powiedziałem, że zamówiłem trochę pasztetu z gęsich wątróbek.

– Aha... Mam przy nim zawsze wyrzuty sumienia – odparł Artur wymijająco. – Nie sądzisz, że to dość brutalne, tak tuczyć gęsi?

– Pies je drapał – uznał Ford i opadł na łóżko. – Nie można martwić się każdą bzdurą.

– Łatwo to mówić, ale...

– Przestań! Jak nie chcesz, to zjem i twoje. Dzieje się coś ciekawego?

– Chaos! Totalny chaos! Random nie przestaje się awanturować, zarzuca Trillian, Tricii czy kto to jest, że ją porzuciła, zażądała, by natychmiast ją zaprowadziła do nocnego klubu. Tricia wybuchnęła płaczem i powiedziała, że nigdy w życiu nie widziała Random, nie mówiąc już o jej urodzeniu. Potem Tricia zawyła coś o jakimś Rupercie, który stracił rozum czy coś w tym rodzaju. Muszę uczciwie przyznać, że nie bardzo to rozumiem. W końcu Random zaczęła rzucać wszystkim, co wpadło jej pod rękę, dali blok reklamowy, żeby sytuacja się uspokoiła. O! Teraz przelączają do studia. Siedz cicho i patrz!

Na ekranie pojawił się wyglądający na zmęczonego prowadzący i przeprosił za przerwanie programu. Powiedział, że nie ma nowych, jednoznacznych wiadomości, oprócz tej, że tajemnicza dziewczynka, która każe na siebie mówić Random Dużo Latająca Dent, opuściła studio, żeby... eee... odpocząć. Tricia McMillan – taką ma przynajmniej nadzieję – wróci jutro. Ostatnio pojawiły się kolejne informacje o pojawieniu się UFO.

Ford stanął na równe nogi, złapał słuchawkę i wystukał numer.

– Służba? Chce pani mieć ten hotel na własność? Będzie należał, do pani, jeśli w ciągu pięciu minut dowie się pani, do jakich klubów należy Tricia McMillan. Proszę wystawić rachunek na mój pokój.

## Rozdział 24

Daleko w atramentowoczarnych głębiach przestrzeni dokonano niewidocznych ruchów.

Były niewidoczne dla mieszkańców dziwnej i niepokornej strefy pluralowej, w centrum której znajdowały się nieskończenie liczne potencjalne formy planety zwanej Ziemia, ale nie były dla nich bez znaczenia.

Na krańcu Układu Słonecznego, na obitej zielonym skajem kanapie, siedział skulony przywódca Grebulończyków, był bardzo zmartwiony i wpatrywał się z niepokojem w szereg telewizorów i monitorów komputerowych. Pomajstrował to i owo przy tym i przy owym. Zajrzał do księgi astrologii. Poprawił to i owo przy konsolcie komputera. Porobił to i owo przy ekranach, by pojawiały się na nich po kolei obrazy ze wszystkich skierowanych na Ziemię urządzeń obserwacyjnych.

Cierpiał. Jego misją było obserwowanie, ale dyskretne. Prawdę mówiąc, miał już trochę dość swej misji, zwłaszcza że był niemal pewien, że musiała polegać na czymś więcej niż bierne obserwowanie przez lata ekranów i monitorów. Mieli na pokładzie mnóstwo sprzętu, który musiał mieć inne przeznaczenie, nie znane im, gdyż potracili rozumy. Potrzebował celu w życiu, aby wypełnić ziejącą w jego umyśle i duszy pustkę, więc zajął się astrologią. Wierzył, że coś mu ona powie.

Trzeba przyznać, że coś mu powiedziała.

Powiedziała mu, o ile dobrze zrozumiał, że czeka go kiepski miesiąc i że jeśli nie zapanuje nad pewnymi sprawami, nie przejmie inicjatywy i nie zacznie myśleć o sobie, będzie jeszcze gorzej.

To była prawda. Jasno wynikało to z mapy gwiazd, którą przygotował na podstawie podręcznika astrologii oraz programu komputerowego, jaki przemiła Tricia McMillan opracowała w celu poprawienia trygonometrycznych wskaźników wszystkich niezbędnych danych astronomicznych. Astrologię opartą na danych ziemskich należało całkowicie przetworzyć, by uzyskać wyniki mające sens dla Grebulończyków przebywających na dziesiątej planecie na mroźnych krańcach Układu Słonecznego.

Poprawione obliczenia absolutnie jasno i jednoznacznie pokazywały, że Przywódcę czeka ciężki miesiąc. Zaczynał się dzisiaj, ponieważ Ziemia wchodziła w znak Koziorożca, a to musiało być niekorzystne dla przywódcy, który był klasycznym Bykiem.

Horoskop mówił, że nadszedł czas na przejęcie inicjatywy, podjęcie śmiałych decyzji, przyjrzenie się faktom i dokonanie tego, co konieczne. Wszystko to było bardzo trudne, ale nikt nigdy nie twierdził, że podejmowanie śmiałych decyzji jest łatwe. Komputer był właśnie w trakcie przewidywania toru Ziemi w każdej sekundzie przyszłego miesiąca. Przywódca wydał rozkaz uaktywnienia wielkich szarych wież strzelniczych.

Ponieważ cały sprzęt obserwacyjny Grebulończyków był skierowany na Ziemię, nie zauważyli, że w Układzie Słonecznym pojawiło się nowe źródło danych.

Nawet gdyby tak nie było, szansa, by odkryli to źródło – masywny żółty statek budowlany – była bliska zeru. Znajdował się w podobnej odległości od Słońca co Rupert, ale dokładnie po przeciwnej stronie, tak że Słońce niemal całkiem go przed nimi zakrywało.

Niemal.

Masywny statek budowlany chciał obserwować wydarzenia na Dziesiątej Planecie, nie będąc zauważonym, i doskonale mu się to udało.

Istniało jeszcze wiele innych cech, sprawiających, że statek ten był dokładnym przeciwieństwem statku Grebulończyków.

Jego dowódca, Komendant, miał bardzo jasno określony cel życia. Był on bardzo prosty i nieskomplikowany, i starał się go prosto i nieskomplikowanie od dłuższego czasu realizować.

Każdy, kto znał ów cel, mógłby powiedzieć, że jest bezsensowny i wstrętny, że nie jest celem szlachetnym, sprawiającym, że nadchodzi wiosna, śpiewają ptaki i kwitną kwiaty. Raczej wręcz przeciwnie. Zupełnie przeciwnie.

Martwienie się tym nie było jego sprawą. Jego sprawą było robienie tego, co do niego należy. Nawet jeśli powodowało to pewne zawężenie perspektywy i zapętlenie myślowe, martwienie się tym nie było jego sprawą. Jeśli coś takiego się pojawiało, było przekazywane innym, którzy z kolei mieli innych, którzy to przekazywali.

Wiele lat świetlnych stąd – a właściwie skądkolwiek – znajdowała się ponura i dawno opuszczona planeta Vogosfera. Gdzieś, na jakiejś śmierdzącej, zasnutej mgłą łasze błota na tej planecie, otoczony brudnymi, połamanymi i pustymi skorupami kilku ostatnich, lśniących jak klejnoty krabów, stoi niewielki kamienny postument, oznaczający miejsce, gdzie miał się pojawić gatunek *Vogon vogobrzydalis*. Na postumencie jest wyryta strzałka, wskazująca bliżej nie określone miejsce we mgle, pod nią wyryto prostymi literami napis: OD TEGO MIEJSCA NIKT NIE BIERZE ZA NIC ODPOWIEDZIALNOŚCI.

Siedzący w głębi niewidocznego żółtego statku dowódca Vogonów, chrząkając, wyciągnął rękę po wyblakły kawałek papieru z pozawijanymi rogami. To był rozkaz zniszczenia.

Żeby ustalić, gdzie dokładnie zaczyna się zadanie Komendanta, który miał się martwić jedynie tym, czym miał się martwić, należało odwołać się do tego kawałka papieru, przekazanego mu dawno temu przez bezpośredniego przełożonego. Na papierku była napisana instrukcja, zadaniem Komendanta było wprowadzić ją w życie i umieścić znaczek w kratce z prawej strony.

Komendant wprowadził w życie instrukcję już dawno temu, niestety, wiele przykrych okoliczności nie pozwoliło mu na postawienie znaczka w kratce z prawej strony.

Jedną z przykrych okoliczności była pluralistyczna natura tego sektora galaktycznego, co powodowało, że możliwe nieustannie krzyżowało się z prawdopodobnym. Zwykle zniszczenie czegokolwiek powodowało mniej więcej to samo, co likwidowanie pęcherza powietrza pod źle przyklejoną tapetą. Zlikwidowany w jednym miejscu, natychmiast pojawiał się w innym. To jednak wkrótce się skończy.

Drugą przykrą okolicznością była grupka ludzi, którzy nigdy nie znajdowali się tam, gdzie mieli być, i wtedy, kiedy mieli tam być. To też wkrótce się skończy.

Trzecią przykrą okolicznością było irytujące, anarchiczne urządzenie, przewodnik zwany *Autostopem przez Galaktykę*. Na szczęście odpowiednio nim się zajęto i nie tylko przestał być źródłem kłopotów, ale dzięki fenomenalnym możliwościom czasowej mechaniki zwrotnej stał się narzędziem ich likwidacji. Komendant przybył właściwie tylko po to, by popatrzeć na finał dramatu. Nie będzie musiał nawet ruszyć palcem.

– Pokaż mi – powiedział.

Niewyraźny cień ptaka rozpostarł skrzydła i uniół się w powietrze obok Komendanta. Na mostku zapanowała ciemność. W czarnych ślepiach ptaka zamigotały na chwilę mętne światełka – w głębinach jego pamięci zostały zamknięte ścieżki dojścia do wszelkich informacji, zakończone wszelkie procedury „jeżeli... to”, zatrzymane pętle powtarzania informacji, zaktywizowane po raz ostatni mechanizmy zwrotne.

W ciemności rozbłysnął jaskrawy, trójwymiarowy obraz, w błękicie i zieleniach unosił się w powietrzu jak wąż, przypominający posiekany sznur parówek.

Komendant Vagonów wydał z siebie odgłos zadowolenia, opadł na fotel i zaczął się przyglądać.

## Rozdział 25

– Dokładnie tutaj, czterdzieści dwa! – wrzasnął Ford Prefect do taksówkarza. – To tu!

Taksówka zatrzymała się tak gwałtownie, że lekko zarzuciła, Ford i Artur szybko wyskoczyli. Nim tu dojechali, zatrzymali się przy paru bankomatach, Ford wrzucił kierowcy przez okno garść bilonu.

Wejście do klubu było ciemne, eleganckie i bez jakichkolwiek ozdób. Informowała o nim jedynie mała plakietka. Członkowie wiedzieli, gdzie klub się znajduje; jeśli nie było się członkiem, wiedza o tym, gdzie klub się znajduje, w niczym nie pomagała.

Ford Prefect nie był członkiem klubu Stavra, ale był kiedyś w jego pierwszym klubie w Nowym Jorku. Miał bardzo prostą metodę radzenia sobie z organizacjami, których członkiem nie był. Zastosował ją i tu. Kiedy otworzyły się drzwi, wszedł po prostu do środka, wskazał palcem na Artura i powiedział:

– Wszystko w porządku. On jest ze mną.

Zbiegał zważo ciemnymi, połyskującymi schodami, czuł się znakomicie w nowych butach. Były z granatowego zamszu. Ford był zachwycony, że wbrew wszystkiemu udało mu się je wypatrzeć na wystawie w czasie jazdy taksówką.

– Chyba już ci mówiłem, żebyś tu nie przychodził.

– Słucham? – spytał Ford.

Na schodach minął ich wychudzony, niezdrowo wyglądający mężczyzna, ubrany w coś workowatego i włoskiego. Zapalił papierosa i nagle się zatrzymał.

– Nie ty. On. – Patrzył na Artura, po chwili jakby nieco się zmieszał. – Przepraszam. Musiałem pana z kimś pomylić. – Zaczął iść schodami w górę, nagle znów się ku nim odwrócił. Był jeszcze bardziej zakłopotany i jeszcze uważniej wpatrywał się w Artura.

– No i co teraz? – spytał Ford.

– Przepraszam, co pan powiedział?

– Zapytałem, co teraz.

– Tak, też tak sędę – powiedział mężczyzna, zatoczył się lekko i wypuścił z rąk zapalki. Słabo poruszał ustami. Podniósł dłoń do skroni. – Proszę mi wybaczyć, próbuję sobie z całej

siły przypomnieć, jaki narkotyk właśnie wziąłem, na pewno coś, co pozwala zapomnieć. – Pokręcił głową, odwrócił się i poszedł w kierunku toalety.

– Idziemy! – rzucił Ford i szybkim krokiem zbiegli na dół. Artur szedł za nim nerwowo. Spotkanie z dziwnym człowiekiem trochę nim wstrząsnęło, choć nie wiedział, dlaczego.

Nie lubił tego typu miejsc. Mimo wieloletnich marzeń o Ziemi i domu, bardzo mu brakowało chaty na Lamuelli, noży i sandwiczów. Brakowało mu nawet Starego Głędziora.

– Artur!

Efekt był niesamowity – wykrzyczano jego imię w stereo. Odwrócił się gwałtownie. Ze schodów zbiegała ku niemu Trillian, ubrana w cudownie pognieciony kombinezon z rymplonu. Nagle spojrzała z ogromnym zdumieniem. Artur odwrócił się w drugą stronę, by zobaczyć, co ją tak zdumiało.

Na dole stała Trillian. Miała na sobie... nie, to musiała być Tricia. Tricia, którą niedawno widział rozhisteryzowaną w telewizji. Za nią stała Random i patrzyła jeszcze dziwnym wzrokiem niż zwykle. Goście znajdujący się w eleganckim, skąpo oświetlonym klubie zamarli, patrząc z niepokojem na spotkanie na schodach.

Przez kilka sekund nikt się nie poruszył, jedynie muzyka nie przestawała się rozlegać.

– Broń, jaką trzyma w ręku, to wabanatta 3 – spokojnie powiedział Ford, nachylając się ku Random. – Była w statku, który mi ukradła. Jest dość niebezpieczna. Nie ruszajcie się przez chwilę, niech wszyscy stoją spokojnie, dowiem się, co ją denerwuje.

– Gdzie jest moje miejsce? – wykrzyknęła nagle Random. Ręka trzymająca broń wyraźnie drżała. Drugą rękę włożyła do kieszeni i wyjęła resztki zegarka Artura. Wymachiwała w kierunku swoich adwersarzy. – Myślałam, że tu jest moje miejsce! Na świecie, który mnie stworzył! Okazało się, że nawet moja matka nie wie, kim jestem! – Z całej siły rzuciła zegarkiem, który uderzył w stojące za barem kieliszki i rozprysnął się na kawałki.

Przez chwilę panowała cisza.

– Random... – cicho odezwała się stojąca na górze schodów Trillian.

– Zamknij się! – wrzasnęła dziewczynka. – Porzuciłaś mnie!

– Random, to bardzo ważne, żebyś mnie wysłuchała i spróbowała zrozumieć, co chcę powiedzieć – spokojnie, ale z determinacją mówiła Trillian. – Nie zostało wiele czasu. Musimy opuścić to miejsce. Wszyscy musimy stąd jak najszybciej wyjechać.

– Znowu?! Ciągłe musimy dokąds wyjeżdżać! – Trzymała teraz broń obydwiema drżącymi rękami. Nie celowała w nikogo, celowała w świat jako taki.

– Posłuchaj – ponownie odezwała się Trillian. – Zostawiłam cię, ponieważ musiałam zająć się sprawozdaniami z wojny. Bardzo niebezpiecznej wojny. Przynajmniej wydawało mi się, że będzie bardzo niebezpieczna. Kiedy przyjechałam na miejsce, okazało się nieoczekiwanie, że nie mogła się odbyć. Z powodu anomalii czasowej... posłuchaj! Proszę

cię, posłuchaj! Gdzieś zniknął statek rozpoznania, a reszta floty rozproszyła się w groteskowym nieładzie. Ostatnio często to się zdarza.

– Nie obchodzi mnie to! Nie mam ochoty słuchać o niczyjej pracy! – wrzasnęła Random.  
– Chcę mieć dom! Chcę gdzieś należeć!

– Tu nie jest twój dom. – Trillian w dalszym ciągu mówiła bardzo spokojnie. – Nie masz domu. Nikt z nas nie ma domu. W ogóle prawie nikt nie ma już domu. Weź dla przykładu ten zaginiony statek, o którym właśnie wspomniałam. Jego załoga nie ma domu. Ci, którzy nim lecą, nie wiedzą, skąd pochodzą, stracili wręcz pamięć o tym, kim są i jaki jest cel ich istnienia. Są zagubieni, zdezorientowani i przerażeni. Znajdują się w Układzie Słonecznym, gdzie teraz my jesteśmy, i zamierzają właśnie zrobić coś bardzo... niewłaściwego, a to dlatego że są tak bardzo zagubieni i zdezorientowani. Musimy... natychmiast... opuścić... to... miejsce... Nie umiem powiedzieć, dokąd będziemy mogli się udać. Może donikąd, ale tu nie możemy zostać. Proszę cię. Jeszcze raz. Możemy iść?

Random drżała z przerażenia i niezdecydowania, co robić.

– Nie przejmujcie się – wtrącił się Artur. – Dopóki jestem z wami, jesteśmy bezpieczni. Nie pytajcie, dlaczego jestem o tym przekonany, ale naprawdę jestem bezpieczny i wy razem ze mną.

– Słucham? – spytała Trillian.

– Odprężmy się wszyscy. – Artur był niezwykle spokojny. Jego życie chroniło zaklęcie, nic nie wydawało się realne.

Powoli, stopniowo, Random zaczęła się rozluźniać i centymetr po centymetrze opuszczać broń.

Nagle dwie rzeczy wydarzyły się jednocześnie.

Otworzyły się drzwi męskiej toalety u szczytu schodów, wyszedł z niej, pociągając nosem, mężczyzna, który kilka minut temu zagadnął Artura. Zaskoczona nieoczekiwanym ruchem, Random szarpnęła broń w tym samym momencie, w którym chciał ją jej odebrać stojący z tyłu mężczyzna. Artur rzucił się ku nim. Rozległ się ogłuszający wystrzał. Artur upadł niezgrabnie na podłogę, Trillian skoczyła ponad nim. Zapadła cisza. Artur podniósł wzrok, mężczyzna stojący na szczycie schodów, wpatrywał się w niego z wyrazem całkowitego osłupienia.

– To ty... – wydyszał i powoli, w przerażający sposób, osunął się na podłogę.

Random odrzuciła broń i padła na kolana. Pochlipując, bezładnie powtarzała:

– Przepraszam! Przepraszam! Tak mi przykro...

Podeszła do niej Tricia. Podeszła do niej Trillian.

Artur siedział na schodach, głowę ukrył w dłoniach; nie miał najmniejszego pojęcia, co robić. Poniżej siedział Ford. Podniósł coś z ziemi, obejrzał z zainteresowaniem i podał Arturowi.

– Coś ci to mówi? – zapytał.



Było to pudełko zapalek, które przed pójściem do toalety upuścił zabity przed chwilą mężczyzna. Nadrukowano na nim nazwę klubu i nazwisko właściciela. Wyglądało to tak:

**STAVRO MÜLLER**  
**BETA**

Artur przez chwilę wpatrywał się w pudełko, powoli wszystko zaczęło mu się rozjaśniać w głowie. Zadał sobie pytanie, co robić, ale nie szukał na nie odpowiedzi. Ludzie wokół niego zaczęli się krzątać i pokrzykiwać; nagle stało się dla niego jasne, że nie pozostało już nic do zrobienia ani teraz, ani kiedykolwiek. Poprzez dziwne dźwięki i światła widział Forda Prefecta, który oparł się o schody i zaśmiewał się dziko.

Artura opanował niezwykle spokoj. Wiedział, że nareszcie, na zawsze i ostatecznie, jest po wszystkim.

W ciemności panującej na mostku vogońskiego statku, samotnie siedział Proteźnik Vogon Jeltz. Przez ekrany zewnętrznych kamer, znajdujących się na ścianie, przemknął błysk światła. Unoszące się nad głową Proteźnika nieciągłości, przypominające sznur błękitnozielonych parówek, zaczęły znikać. Rozpadły się opcje, możliwości złożyły się w sobie i cała konstrukcja rozplynęła się w niebycie.

Zapadła bardzo głęboka ciemność. Komendant Vogonów pogrążył się w niej na kilka sekund.

– Światło! – rozkazał w końcu.

Nic mu nie odpowiedziało. Ptak też skurczył się do niebytu.

Vogon sam zapalił światło. Wziął do ręki kawałek papieru i postawił znaczek w kratce z prawej strony.

Zadanie zostało wykonane. Jego statek opadł w atramentową pustkę.

Mimo że grebuloński Przywódca wykazał dużo – jak na niego – inicjatywy, miał naprawdę kiepski miesiąc. W zasadzie był taki sam jak poprzednie, poza tym, że w telewizji już nic nie było. Zamiast tego słuchał lekkiej i przyjemnej muzyki.